

PRZE

Numer 50/2947

16 grudnia 2001 r.

KRÓJ

Żegnaj marko – witaj euro

(złotówka przetrwa do 2008 roku)

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



ISSN 0033-2488

50



Indeks 371424 • Y-9013-C

RACJE DEMOKRACJI

Po ostatnich zmianach szaty graficznej, układu treści i całej koncepcji „Przekroju”, wciąż się do niego na nowo przyzwyczajam. Mimo to jedna z nowości od razu przypadła mi do gustu – „Instrukcja obsługi TV”. Jak dotąd mogłam podpisać się pod każdym z zamieszczonych odcinków. Znalazłam w nich potwierdzenie moich własnych odczuć i poglądów na temat telewizyjnych środków przekazu, ich funkcji (misji?) i technik manipulowania widzem. Czytając „Instrukcję”, wreszcie miałam poczucie, że w swojej podejrzliwości wobec wszystkiego, co się serwuje pod płaszczykiem komercji, nie jestem osamotniona.

Tak było dotąd. Jednak zmieniło się po lekturze „Obiektywizmu czasu wojny” z „P” 2943.

Zarzuty pod adresem mediów o popadanie w skrajności, o bałamucenie widza, o „huśtanie emocjami mieszkańców globalnej wioski” są jak najbardziej słuszne, ale, niestety, całkowicie nie trafione. Wolność słowa, a co za tym idzie – wolność wyboru metody mówienia, jest jednym z przywilejów demokracji. Żąda-

nie pryncypiów i podlegania wyższym racjom, nawet od dziennikarza, uderza w podstawy demokratycznego ustroju.

Nie zgadzam się z tezą, że dziennikarz jest jak lekarz. To nieporozumienie. Żaden dziennikarz nie jest w stanie niczego uleczyć: ani chorej wyobraźni telewidza, ani chorych stosunków międzynarodowych. Nie należy się dziwić pogoni mediów za sensacją, skoro żądają jej telewidzowie.

Jeśli akceptuje się prawa i wolności gwarantowane przez demokrację, trzeba też uznać prawo do swobodnego prezentowania każdego tematu. Niezaprzeczalnym prawem każdego obywatela jest także niechęć wobec toczącej się wojny, nawet jeśli jest to wojna ze światowym terroryzmem. Właśnie istota demokracji prawo to gwarantuje. Oczekiwania jednoznaczności poparcia, zaangażowania społeczeństw – to jakieś horrendalne nieporozumienie.

Nie chodzi tu o rozstrzygnięcie, czy wojna jest słuszna, czy nie, ale o konsekwencję. Jeżeli najpierw na każdym kroku ustroj demokracji wynosi się na piedestał, a to oznacza, że kon-

trola poczynań obywateli jest zredukowana do minimum; jeżeli mass media stale i skutecznie obniżają swoje loty do poziomu odbiorcy najmniej inteligentnego, karmiąc go papką sztucznej krwi, „mięsem” wulgaryzmów, wygryzaniem się mieszkańców domu „Wielkiego Brata” na tle muzyki disco polo; jeżeli widzowi ambitnemu (czytaj: normalnemu) uniemożliwia się obejrzenie Teatru Telewizji i programów edukacyjnych o przyzwoitej porze w imię dyktatu populistycznej większości; jeżeli dla użytku tzw. przeciętnego widza (istoty całkowicie fikcyjnej) kreuje się na idoli ludzi, którzy niczego mądrego nie mają do powiedzenia, a kiedy jakimś cudem otworzą usta, okazuje się, że ojczystym językiem nie potrafią się posługiwać – to w imię jakiej racji wysuwać nagle żądanie odpowiedzialności i umiaru?

Wyraźny tu brak konsekwencji: z jednej strony w akceptowaniu zasad demokracji w całej rozciągłości, wręcz do granic absurdu, a z drugiej, w oczekiwaniu, że właśnie ona jest zdolna terrorystycznemu złu skutecznie się przeciwstawić.

Przecież to dzięki niej terroryzm ma się tak dobrze! Bo nie można obywateli nadmiernie kontrolować! Bo każdy ma prawo się wypowiedzieć! (Głupio czy mądrze, nieważne). Bo nawet najgorszy zbrodniarz ma zagwarantowane prawo do humanitarnego traktowania, do tego stopnia, że to ofiara czuje się jak przestępca. Dzięki temu nawet bin Laden zostałby przed demokratycznym sądem uniewinniony. Skoro żyję w takim systemie i jest mi z tym dobrze, nie będę się dziwił, że z wojny zrobiono spektakl.

Nie twierdę, że demokracja to najlepszy z systemów politycznych, ale tak rozumiem konsekwencje. Racje, w imię których chce się narzucić „jedynie słuszny” model dziennikarstwa, są, trzeba jasno powiedzieć, zupełnie niedemokratyczne. Tak samo jak racje, w imię których podejmuje się decyzję o jakiegokolwiek wojnie.

IWONA STARTEK, Biłgoraj

PRZE KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

Wydawca: **EDIPRESSE POLSKA SA** ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa tel. (0-prefix-22) 628-05-29, fax: (0-prefix-22) 621-19-76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierala
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH: Agnieszka Smit
DYREKTOR WYDAWNICZY: Ewa Niezbecka
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek
DYREKTORZY ARTYSTYCZNI: Elżbieta i Bogdan Zochowscy

REDAKCJA W WARSZAWIE: ul. Wiejska 16, tel. (0-prefix-22) 627-23-07, fax: (0-prefix-22) 627-23-05

REDAKCJA W KRAKOWIE: 31-012, ul. Reformacka 3 lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533, e-mail: redakcja@przekroj.pl
Telefony – łączą centrala: (0-prefix-12) 422-18-33, 422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37 fax (0-prefix-12) 421-49-29, 422-70-61

REDAKTOR NACZELNY, SZEF NOWEGO PROJEKTU „P”: Jacek Rakowiecki
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko, Joanna Gromek Ilg, Andrzej Ruchalowski (sekretarz), Anna Rudnicka

DZIAŁY:
Kultura: Włodzimierz Jurasz (kierownik), Benjamin Lazar, Jacek Ziemek
Krajowy: Łukasz Działkiewicz, Jakub T. Janicki, Barbara Pajchert, Roman Polesek, Tomasz Wołski
Reportaż: Izabela Bonnar, Dariusz Wojtala
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska, Janusz Marjan (kierownik), Lesław Peters
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Wojtek Kocłowski, Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz, Dorota Terakowska, Bogna Wernichowska

Pracownia graficzno-komputerowa: Piotr Gidlewski (kierownik artystyczny), Maria Klich, Jan Kozak, Joanna Sroka,
Dział fotograficzny: Marek Szczepański (fotodoryt), Bogdan Kręžel, Jan Zych
Korekta: Małgorzata Strakowska-Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Andrzej Laurisz

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefix-22) 628-05-29 w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik), Anna Korwin, Wacław Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Agata Eigner
Warszawa – ul. Wiejska 16 tel./fax (0-prefix-22) 627-23-09
tel. (0-prefix-22) 627-23-06 do 08 w. 128, 228
Kraków – ul. Reformacka 3 tel. (0-prefix-12) 422-70-61, Marzena Kiedacz

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5, 64-920 Pila, tel. (0-prefix-67) 210-84-00

Okładka – Galerie Fine 90 gsm; Producent – Metsa Serla Kirkinniemi Mills.
Srodek – Stellapress 60 gsm; Producent – Stora Enso.

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel./fax (0-prefix-22) 625-08-20, tel. (0-prefix-22) 628-05-29 w. 210

Przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju
Przez RUCH S.A. – informacja tel.: (0-prefix-22) 532-87-31, fax: (0-prefix-22) 532-87-32

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

PODWÓJNE ŚWIĄTECZNE WYDANIE
Program tv na święta
PL ISSN 00332534 INDEKS 371556 2,99 Zł

przyjaciółka

14 – 26 XII 2001 NR 50/51 (2788/89)

Wielki horoskop 2002

PIERWSZA DAMA RP



Co pan prezydent ugotuje mi na Wigilię

STYPENDIA OD „PRZYJACIÓLKI”
Dzięki wam możemy dalej studiować, mówią Lidka i Wiesiek

4 pomysły



Udekoruj stół pięknie jak nigdy

Z gwiazdkową wizytą u Miss Polonii 2001

ROZRYWKA DLA RODZINY
Czekają na was 784 nagrody

Tylko 2,99 zł



Specjalny dodatek – przepisy na świąteczne dania

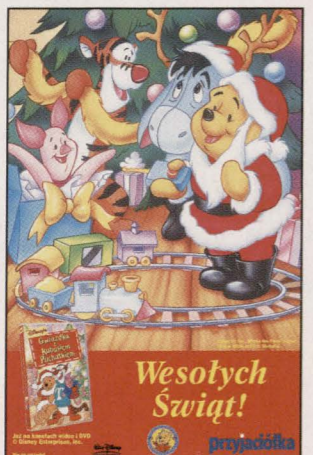


Saszetka aromatycznej kawy Prima

Podarunek dla dzieciaków

Witrazek z Kubusiem Puchatkiem Do wyboru jeden z trzech wzorów

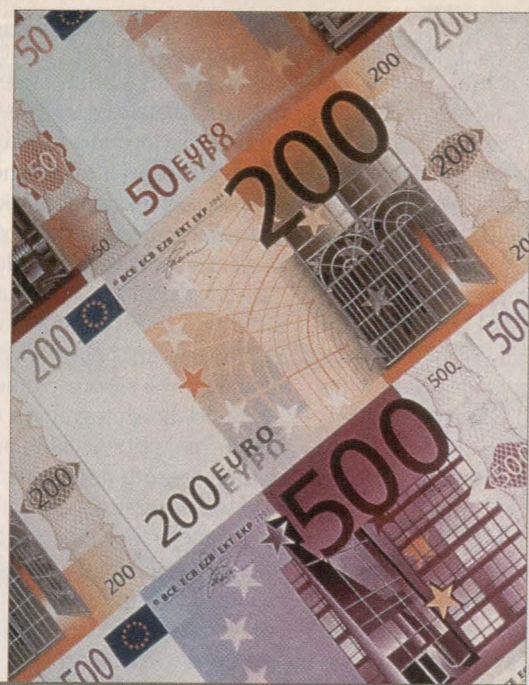
Rozdajemy prezenty dla całej rodziny!



Euro w portfelu

Żegnajcie franki, marki, pesety, szylingi, liry, guldeny.

LESŁAW PETERS



NUMER 50
16.12.2001



OKŁADKA:
fot. Bartłomiej Zborowski
Rzeczpospolita / Reporter

Listy **3, 6**

CZECZOT w „Przekroju” **3**

ANDRZEJ MLECZKO
Przygody rycerza z kucykiem **7**

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia **8**

RYSZARD TERLECKI
Rocznica, której nie umiemy nazwać **12**

LESŁAW PETERS
Euro w portfelu **14**

ANDRZEJ PISOWICZ
Kara-bach znaczy czarny ogród **18**

LESZEK MAZAN
Matysiakowie, Państwo Bardzo Dobrze **22**

ROBERT ZIĘBIŃSKI
Milczenie cichego beatlesa
George Harrison **26**

KATARZYNA MACIOŁ
KAMILA PAWLIK
Łódź inna niż Wenecja. Camerimage **28**

BARBARA PAJCHERT
Hotel nadziei **30**

MAREK SZCZEPAŃSKI
Paris Photo 2001 **32**

SYLWIA WYSOCKA
Watykan pod specjalnym nadzorem **34**

JACEK NAPIÓRKOWSKI
Polak rysuje Niemca,
Niemiec - Polaka **36**

Galeria
WOJTEK KOCOŁOWSKI
RAFAŁ MILACH
Żywot Karola. Bajka o karpniu **38**

Obyczaje

LESZEK MAZAN **44**

Pożeraj, a znajdziesz **44**

MAGDA HUZARSKA-SZUMIEC **46**

Mercedesem w świat literatury **46**

HOFF Zbliżają się balangi **48**

WIEDEMANN Dziennik „duszy” **49**

Historie

PAUL RIMPLE **50**

Żelazny Józef **50**

Rozmowy przy obrazach

JOANNA BONIECKA **54**

ZBYLUT GRZYWACZ **54**

Edward Burne-Jones **54**

Szatnia ANTONI PAWLAK **56**

Odwieczny problem berka **56**

Instrukcja obsługi TV **57**

Program pozytywny **57**

Media TOMASZ WOLSKI **58**

Teledysk na raty **58**

Rozrywka ANNA PIECZARA **60**

Czyszczenie stojaka. Scrabble **60**

POD CHOINKĘ: **62**

gry komputerowe **64**

współczesna sztuka **66**

wideofilm **68**

bilet do teatru **70**

płyty **72**

książki **72**

Klub Smakosza TADEUSZ PIÓRO **74**

Salatki zimowe, cd. **74**

Lustro weneckie **75**

JANUSZ WEISS **75**

Mieszanka firmowa **76**

Krzyżówka z jolką **80**

i STEFANIAKIEM **80**

Co Pan na to, Panie LEM? **82**

Rozmaitości **84**

Żywot Karola

Ilustrowana bajka o karpniu,
co uszedł z życiem
i dużo zrozumiał.

WOJTEK KOCOŁOWSKI
RAFAŁ MILACH



FOT. RAFAŁ MILACH

38

14



Matysiakowie, Państwo Bardzo Dobrze

O rodzinie z ulicy Dobrej
Polska dowiedziała się 45 lat
temu.

LESZEK MAZAN

22

Watykan pod specjalnym nadzorem

Ojciec Święty nie
jest wrogiem świata
islamskiego.
Jest nim Bazylika
św. Piotra
- symbol
chrześcijaństwa.

SYLWIA WYSOCKA



FOT. VINCENTO PANTUCCI/REPORTUM

34

Żelazny Józef

Dla Gruzynów stalinizm jest czarną kartą
historii, albo wspomnieniem lepszych czasów.

PAUL RIMPLE



FOT. JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

50



Pod choinkę

Trudny wybór: gry komputerowe,
nagrania muzyczne, filmy,
książki. A może bilet do teatru
lub ulotne dzieło sztuki
współczesnej?

62

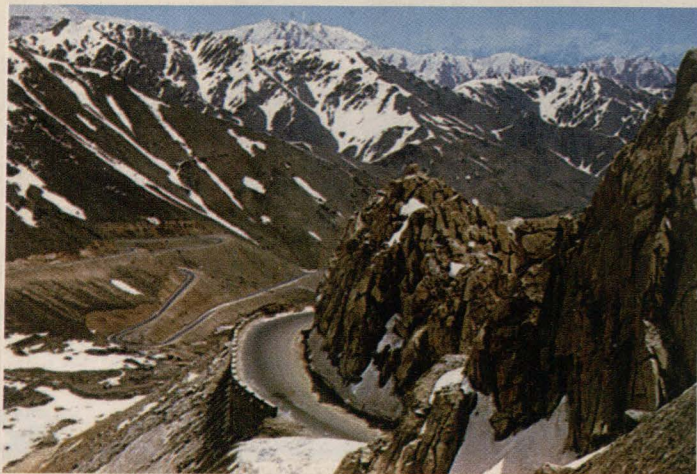
5



PIĘKNY, GÓRZYSTY KRAJ

Afganistan. To słowo elektryzuje niemal wszystkich. Nie ma obecnie ani jednego dziennika radiowego czy telewizyjnego, ani jednej gazety, w których nie wymieniono by tego kraju. Oczywiście również i w „Przekroju”. Pragnę więc i ja dorzucić swoje „trzy grosze” na temat tego pięknego, górzystego kraju.

W „Przekroju” nr 2939 w rubryce „Na skraju globalnego konfliktu” pani Barbara Jaworek pisze m.in.: „W Afganistanie nie ma ani jednej asfaltowej drogi”. Po przeczytaniu tego listu nasunęły mi się dwie refleksje. Po pierwsze: być może obecnie w Afganistanie nie ma ani jednej CAŁEJ asfaltowej drogi (po licznych konfliktach zbrojnych, walkach i bombardowaniach od czasu inwazji radzieckiej), ale Afganistan miał drogi, i to bardzo dobre, od dawna. Ten górzysty kraj odwiedziłem po raz pierwszy już w 1977 roku. Wtedy były już dobre asfaltowe drogi (oczywiście



nie wszędzie), jak chociażby ta prowadząca z Kabulu przez Przełęcz Salang (3500 m n.p.m.!) do Przełęczu Chajber na granicy afgańsko-pakistańskiej.

I refleksja druga. Wprowadzie Afganistan należy do najbardziej ubogich krajów świata, o jednym z najniższych dochodów narodowych na mieszkańca, ale nie możemy chyba mieć takich stereotypów i uogólnień: Jak biedny kraj, to tam nic nie ma.

Załączam zdjęcie drogi zrobione w rejonie Przełęczu Salang.

WITOLD SIECZKO, Kielce

JESTEM ZA, A NAWET PRZECIW

Już kilka razy zwierzałem się listownie „Przekroju” z moich różnych wątpliwości, więc i teraz się pożałem! 25 listopada w Katowicach organizatorzy zgromadzili tłumy na ogólnopolskim dyktandzie. Sama akcja, pomysł, organizacja, rosnąca liczba chętnych, możliwość pisania w domach, wszystko to zasługuje na wielkie dzięki. Trud organizatorów sownie zostanie opłacony wdzięcznością piszących.

Jestem z wykształcenia polonistką, wiele lat pracowałam w ukończonym zawodzie, postanowiłam (przed telewizorem!) sprawdzić się, będąc już w „stanie spoczynku”!

Zrobiłam dziewięć błędów, bardzo zasmucił mnie ten wynik, ale moje „przeciw” tyczy czegoś innego.

Pan profesor Dunaj naszpikował treść rzeczywiście trudnymi wyrazami i to jest zrozumiałe.

Nie rozumiem jednak, dlaczego znalazły się tam: „beaujolais”, „chianti”, „jive’a”, „boogie-woogie” i kilka innych, skoro chodzi o znajomość polskiej ortografii?

I jeszcze jedno. Pan redaktor Sznuć (przemily, uroczy, doskonały – same serdeczności przy okazji!) – nie umie dyktować dyktanda! To rozumiałe, do tego potrzebny jest nauczyciel polonista, intonacją głosu pozwalający „wychwycić” znaki interpunkcyjne oraz bardziej „fachowo” dyktujący. W sumie akcja piękna, chwalebna, święto ojczystego języka (właśnie! ojczystego!) – duże dzięki.

J. O. Gliwice

O POTRZEBIE METAFORY

Odnoszę wrażenie, że bardzo prozaiczne czasy, jakich dożyliśmy, wyzwoliły w zmęczonym Narodzie ogromną potrzebę Metafory.

W ten nurt wpisuje się również Redakcja „Przekroju” (mniej zorientowanych czytelników przestrzegam, że wiele poważnych bądź frywolnych artykułów i rysunków w tym piśmie zawiera ogromny ładunek metaforyczny).

Potrzeba Metafory rozprzestrzenia się zresztą jak jakiś wirus i dopada ludzi różnych światopoglądów i temperamentów, co prowadzi do oczywistych mutacji i komplikacji. Chciałoby się rzec: pokaż mi swoją Metaforę, a powiem ci, kim jesteś.

Z radością przesyłam własną radosną twórczość (pierwszą zwrotkę śpiewa się w tonacji ludowej, pointa powinna być wyartykułowana w sposób dramatycznie chwytający. To uwaga dla ewentualnych krytyków).

Pewnemu tŕurcy spod Łobola przedziurawiła się gondola.

A że był przy tym bałwan

stodki,

więc rozczulało to idiotki.

(hej!)

A morał z tego??? Może taki:

Serfujcie gondolą chłopaki!

(hej?)

ROZAMUNDA
PACIORKIEWICZÓWNA

Nie rozumiemy tej Metafory, ale drukujemy. (Red.)

DOŚWIADCZENIA XX WIEKU

Uczniów gimnazjów i szkół średnich zapraszamy do udziału w konkursie historycznym, który już po raz szósty organizujemy wspólnie z Fundacją Batorego.

Tematowi konkursu 2001/2002 patronuje hasło: „Obcy wśród swoich – doświadczenia XX wieku”.

Dwudzieste stulecie zapisało się szczególnie wywołującą na masową skalę nienawiścią do obcych: innych narodów, innych klas społecznych, wyznawców innych religii, a także – ludzi inaczej myślących. Pragniemy, aby uczestnicy tegorocznego konkursu podjęli próbę zbadania i opisanego na podstawie doświadczeń społeczności, z jakiej się wywodzą lub w jakiej żyją – w mieście, na wsi, w kręgu rodzinnym, przyjacielskim czy sąsiedzkim – stosunków z mniejszościami narodowymi, religijnymi czy kulturalnymi. Aby przedstawić to, co w tych doświadczeniach było dobre i złe, co wzbogacało i co niszczyło, co było „normalną codziennością” w obcowaniu z odmiennymi kulturowo ludźmi, a co stawało się źródłem drastycznych problemów. Żeby poprzez swoje badania pogłębili wiedzę o dawnej – bardziej zróżnicowanej niż obecnie – Polsce.

Na konkurs nadsyłane mogą być wyłącznie prace oryginalne, oparte na samodzielnie zebranych, wcześniej nie publikowanych materiałach źródłowych (wywiady, kwerendy w archiwach domowych czy publicznych); powinny zawierać krytyczną ocenę wiarygodności źródeł, dowodzić zdolności wyciągania wniosków. Ważna jest również atrakcyjność prezentacji wyników badań.

Dopuszczalne są różne formy prac konkursowych: opracowany zbiór dokumentów; zdobyta i krytycznie opracowana relacja świadka lub świadków historii; zbiór zdjęć z autorskim opisem i komentarzem, opracowany dziennik czy pamiętnik; amatorski film wideo czy audycja radiowa; mogą być także formy mieszane.

Termin nadsyłania prac – 10 lutego 2002 r. Na nagrody i wyróżnienia Fundacja Batorego przeznaczyła 66 000 zł.

Zgłoszenia i prace należy nadsyłać pod adresem: Ośrodek KARTA, 02-536 Warszawa, ul. Narbutta 29. Informacje i wyjaśnienia można uzyskać także pod tel. 0... 22 848 07 12, fax: 0... 22 646 65 11, e-mail: historia.bliska@karta.org.pl. Informacje znajdziecie też w Internecie pod adresem: <http://karta.org.pl>

FUNDACJA BATOREGO
I OŚRODEK KARTA, Warszawa

A JEDNAK SZKODZĄ

Ostatnio w „Przekroju” dyskutuje się wiele na temat gier komputerowych. Chcę podzielić się informacjami z artykułu w niemieckim czasopiśmie fachowym na ten temat. Są one szczególnie ważne dla młodzieży do lat 20.

Otóż w skrócie: gry komputerowe mogą mieć szkodliwy wpływ na rozwój mózgu. Japońscy naukowcy stwierdzili, że młodzież traci samokontrolę nie przez agresywne gry komputerowe, lecz z powodu ich szkodliwego wpływu na jeszcze nie uformowane ostatecznie przednie części mózgu, które rozwijają się u ludzi mniej więcej do 20. r. życia (a więc u młodzieży są jeszcze w stadium rozwoju).

W swych badaniach naukowcy porównali aktywność mózgu studentów-graczy-nastolatków z aktywnością mózgu uczestników eksperymentu, którzy rozwiązywali łatwe, po-

wtwarzające się zadania matematyczne. Niespodzianką dla specjalistów było to, że zadania matematyczne stymulowały aktywność przedniej prawej i lewej części mózgu, które rządzą uczuciami, pamięcią, przyswajaniem wiedzy.

A więc uczeni twierdzą: im więcej mają dzieci korzystnych warunków do rozwoju właśnie tych części mózgu, tym większą zyskują zdolność (gotowość) do samokontroli. Tam właśnie kształtują się „hamulce”, dzięki którym nie dochodzi do bójek, zaczepek, innych form agresji.

Zdaniem naukowców gry komputerowe nie przyczyniają się do rozwoju tej części mózgu, mogą zaś przyczyniać się do kształtowania się pokolenia, które może mieć trudności z kontrolą własnego zachowania się.

Może warto to przemyśleć? Ale czy młodzież ma ochotę rozwiązywać wyłącznie zadania matematyczne?

CHRISTIANA PIEPER,
pieper@brimail.de

POMOC DLA POLAKÓW NA WSCHODZIE

W nrze 2941 z 4.11.2001 r. ukazał się artykuł pani Izabelli Bodnar „Wyspa Lwów”. Został tam podany numer konta bankowego, na który można wpłacać pieniądze.

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU NA DRZEWO GENEALOGICZNE

Redakcja „Przekroju” oraz wydawnictwo Znak pragną najserdeczniej podziękować wszystkim, którzy nadesłali swoje drzewa genealogiczne. Ponieważ liczba prac przerosła nasze najśmielsze oczekiwania, zmuszeni jesteśmy przenieść wystawę pokonkursową z niewielkiej sali Piwnicy pod Baranami do piwnicy wydawnictwa Znak (w Krakowie przy ul. Kościuszki 37). Tam też pragniemy zaprosić wszystkich autorów oraz Czytelników „Przekroju” na wernisaż, który odbędzie się 15 grudnia o godzinie 17.00. Listę nagrodzonych opublikujemy w następnym numerze.

KRÓTKO

Ostatnio chciałem wpłacić pieniądze przelewem, jednak w banku odmówiono mi przyjęcia przelewu z powodu braku informacji o posiadaczu rachunku – znalazłem tylko informacje o banku (Deutsche Bank 24), numerze konta i opisie, jaki należy podać na przelewie: „Pomoc dla Polaków na Wschodzie”.

Aby bank mógł sprawdzić, czy przelew trafia na właściwy rachunek, potrzebna jest jeszcze nazwa tego właściciela.

Czy mogę prosić o pomoc w tej sprawie?

KRZYSZTOF GRABOWSKI,
K.Grabowski@astercity.net

Jak się dowiedzieliśmy, to sporadyczny przypadek odmowy przyjęcia przelewu. Podajemy pełną nazwę i numer konta: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Deutsche Bank 24, Kraków ul. Bracka 10, nr 19101048-40029344-27016-110500012 – z dopiskiem „Opuszczeni Polacy we Lwowie i na Kresach”. (Red)

Pan Andrzej Filipowicz, redaktor naczelny KAW, cytując zdanie z artykułu „Mantu – archeolog Himilsbacha” („P” 2941): „O pracy nad filmem powstaje film i książka. Książkę pisze sam Manturzewski na zamówienie jednego z krakowskich wydawnictw” i informuje nas, że pan Stanisław Manturzewski zawarł 24 IV 1998 r. z KAW-em w Warszawie umowę na napisanie utworu literackiego – biografii Himilsbacha, z czego się jeszcze nie wywiązał, choć termin upłynął 5 września 1998 r.

Pan Aleksander Krzyżagórski z Poznania i kilku innych Czytelników zwróciło nam uwagę na błąd w podpisie pod zdjęciem w „P” 2944 na s. 15: „W tle nie znajduje się kopia kościoła Marii Magdaleny, który takowej nie posiada, ale jest to „Hotel des Invalides” (w Paryżu, oczywiście).





SZTUKA EJFMANA

Niezwykły choreograf i niezwykły zespół. Każda premiera Borisa Ejfmana jest inna, ale w każdej można poznać indywidualny styl choreografa z Petersburga, który przed laty potrafił złamać obowiązujące w rosyjskim balecie skostniałe zasady i stworzyć się ze swoją sztuką na świat. Od tamtego czasu konsekwentnie tworzy swój teatr baletu, najbardziej mu bliską formę porozumiewania się z publicznością.

Ejfmán znalazł coś, co zdobywa mu widzów znużonych baletową klasyką, ale nie na tyle, aby dali się porwać eksperymentalnym formom tańca. Dzięki sztuce Ejfmana i jego tancerzy można patrzeć na balet jak na teatr, można się w nim przejrzeć jak w lustrze. Tancerze Ejfmana posiadają siłę mówienia prawdy bez użycia słów. Kto zobaczył Igora Markowa w roli Moliera, zrozumie, jaką

rolę w teatrze Ejfmana ma do spełnienia osobowość artysty. Polska premiera najnowszego baletu Borisa Ejfmana „Don Juan i Molier” odbyła się w ramach Krakowskiej Wiosny Baletowej, która w tym roku sięgnęła aż do późnej jesieni. Zanim zespół pojechał do Warszawy i Poznania, zaprezentował się w Krakowie, dokąd przyjeżdża z każdą swoją premierą, gdzie ma swoją

publiczność, która i tym razem owacją na stojąco nagrodziła spektakl. Oklaskiwany zresztą wszędzie, gdzie go pokazano od dnia prapremiery w nowojorskim City Center, w maju tego roku. Eifman wyrwał się z Rosji, ale do niej powraca, ponieważ jest w nim wciąż ta sama rosyjska dusza, ubrana za każdym razem w inny, wyszukany kostium.

DAJCIE MI CZAS

W czterech samobójczych zamachach członków palestyńskiego Hamasu zginęło 26 Izraelczyków, a ponad dwustu zostało rannych. Przywódca Palestyńczyków w dramatycznej wypowiedzi dla amerykańskiej telewizji ABC poprosił o danie mu czasu na aresztowanie ekstremistów. Izrael twierdzi, że Jaser Arafat zamyka tylko „plotki”, a nie tych, którzy odpowiadają za zamachy.

RZĄD USTĄPIŁ

Rząd wycofał się z zamiaru podniesienia stawek VAT w budownictwie oraz przy sprzedaży mieszkań przez spółdzielnie i developerów. Wicepremier Marek Belka powiedział, że to z jego inicjatywy. Zdementował w ten sposób plotki, że rząd ustąpił pod naciskiem PSL, które było przeciwne podwyżkom.

OBRONA WYNALAZCY

Wiceminister obrony narodowej, Janusz Zemke, osobiście dopilnuje wdrożenia wynalazku Wojciecha Steckiego. Chorąży z 56. Pułku Śmigłowców Bojowych wynalazł bowiem nabój, który nie rani ani nie zabija, lecz powala – jak cios rękawicy bokserskiej. Fachowcy z zakładów „Mesko” pomysł przyjęli bez większego zainteresowania i byli na dobrej drodze, aby amatorowi w mundurze wybić z głowy skłonność do wynalazków.

CZARNA TECZKA LEPPERA

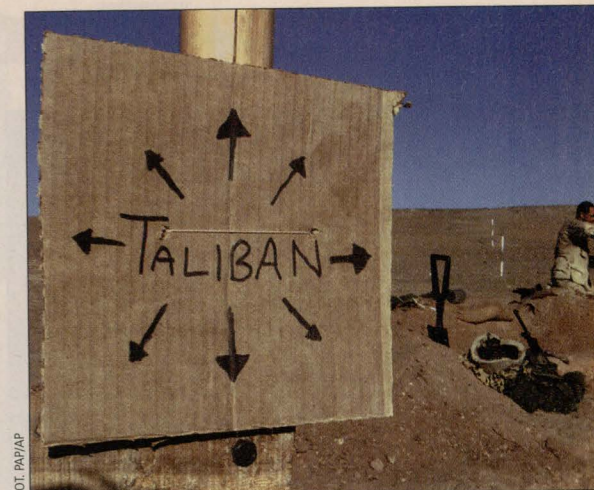
Prokuratura wezwała Andrzeja Leppera do przekazania jej materiałów, o których mówił w Sejmie, sugerując, że kilku posłów, w tym dwóch ministrów, brało łapówki. Prywatny detektyw i poseł Samoobrony, Krzysztof Rutkowski, zaprzeczył, aby miał cokolwiek wspólnego z materiałami, na które powołuje się Lepper.

KACI OFIARAMI

Dyrektor jerozolimskiego biura Centrum Wiesenthala wezwał władze łotewskie do odwołania rehabilitacji 41 nazistowskich zbrodniarzy wojennych, których skazano w ZSRR, a po odzyskaniu przez Łotwę niepodległości uznano za ofiary komunizmu. W ciągu 10 lat niepodległości nie rozpoczęto ani jednego procesu łotewskich nazistów, którzy brali udział w zagładzie Żydów.

O CZECZENII INACZEJ

Lord Judd, szef delegacji Rady Europy, która przebywała w Czeczenii, wezwał władze Kremla do negocjacji z czeczeńskim prezydentem Aslanem Maschadowem. „Niektóre grupy walczące w Czeczenii – powiedział – nazywane są w innych częściach świata bojownikami o wolność”.



Ostrzeżenie, że talibowie mogą być wszędzie, traci sens. Podało się ostatnie opanowane przez nich miasto, Kandahar i górską twierdzę talibów Tora Bora, w której nie znaleziono jednak Osamy bin Ladena.



„Polska musi się jakoś dostosować do Unii Europejskiej, a Unia do Polski” – mówił szef Komisji Europejskiej, Romano Prodi, po spotkaniu w Brukseli z premierem Leszkiem Millerem. Dla Prodiego rozszerzenie Unii jest historycznym celem, który wart jest kompromisu z obydwu stron.



Szejk Ahmed Jasin, duchowy przywódca i twórca Hamasu, znalazł się w areszcie domowym nałożonym na niego przez władze Autonomii Palestyńskiej. Częściowo sparaliżowany i niewidomy, jest odpowiedzialny za akcje terrorystyczne Hamasu.



Na skutek pomyłki pilotów bombardujących pozycje talibów koło Kandaharu zginęło trzech Amerykanów i pięciu Afgańczyków walczących przeciwko talibom. Lekko ranny został szef nowego rządu afgańskiego, Hamid Karzaj.



Co zrobić z duchowym przywódcą talibów? Podczas konferencji prasowej w Pentagonie sekretarz obrony USA Donald Rumsfeld zapewnił, że Stany Zjednoczone nie zgodzą się, aby mułła Omar pozostał na wolności.



W pierwszy czwartek grudnia przy pomniku Mickiewicza na krakowskim Rynku tradycyjny 59. Konkurs Szopek.

ŻYJMY DŁUŻEJ

Fundacja Batorego przedstawiła raport o korupcji w służbie zdrowia, która w opinii Polaków ustępuje w przekupstwie tylko politykom. Najwięcej płaci się za operacje i przyjmowanie poza kolejnością. Im wyżej w hierarchii zawodowej, tym większe obowiązują haracze. W połowie przypadków wręczenie „dowodów wdzięczności” poprzedza leczenie, które ewentualnie może być powodem okazywania wdzięczności.

ZACISKANIE PASA

Rząd zaproponował obcięcie o 75 proc. subwencji na partie polityczne, a o połowę – refundacji za kampanię wyborczą. Wysokość subwencji zależy od liczby głosów, jakie partiom udało się zdobyć w wyborach. Projekt rządowy nie wywołał entuzjazmu w szeregach partyjnych.

PRAWDA SZKODZI

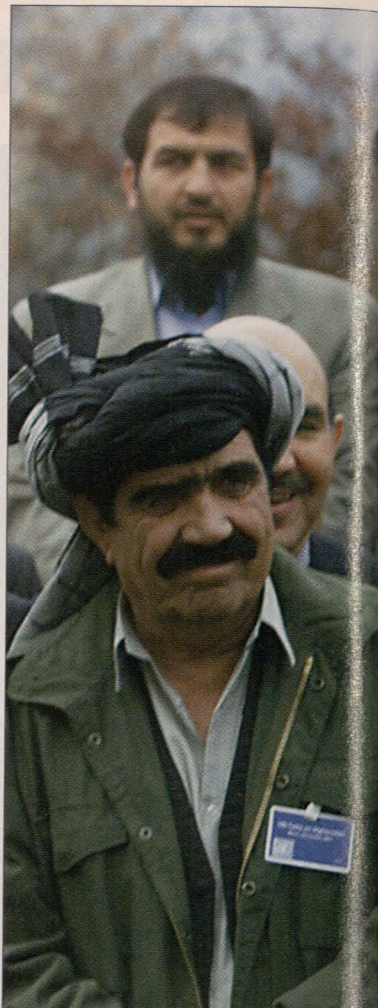
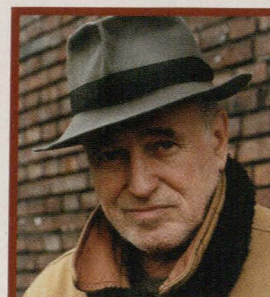
Nauczycielka szkoły podstawowej w australijskim mieście Corowa straciła pracę po tym, jak obwieściła uczniom, że opowieści o świętym Mikołaju to jedna wielka bzdura. Dzieciaki przeżyły szok, a rodzice poskarżyli się władzom, że nauczycielka sieje zgorznienie.

RONDO Z GIERKIEM

Koło Weteranów Lewicy złożyło w radzie miasta wnioski o nazwanie ronda w Piotrkowie Trybunalskim imieniem Edwarda Gierka. W odpowiedzi radni z prawicy postanowili budowniczego „drugiej Polski” przebić „Prymasem Tysiąclecia”. Ostatecznie rondo zostanie przy Gierku, a kardynał Wyszyński będzie patronował jednemu z miejscowych parków.

WIZJE OLIMPIJSKIE

Prezydent Krakowa, Andrzej Gołaś, wymyślił sobie zorganizowanie olimpiady zimowej w 2014 roku pod Wawelem. Gotów jest nawet do większych poświęceń: wybrania się osobiście na igrzyska w Salt Lake City i zabiegania o poparcie dla swego pomysłu. Wbrew temu, co mówią prześmiewcy, prezydent zjazdowe trasy olimpijskie dostrzega nie na stokach kopca Kościuszki, lecz w Innsbrucku.



FOT. PAPIERA

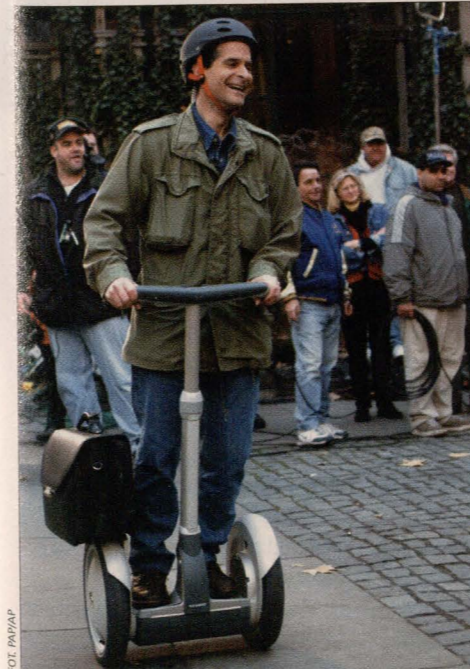


Dziewięć dni trwały w niemieckim Petersbergu targi, kto ma objąć rządy w Afganistanie po obalonych talibach. Uczestnicy „okrągłego stołu” ustalili w końcu skład nowego rządu, na czele którego stanął 44-letni Hamid Karzaj. Konferencja stała się osobistym sukcesem kanclerza Niemiec.



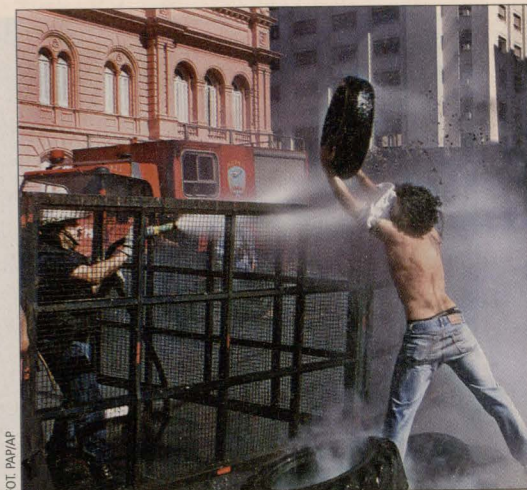
FOT. PAPIERA

Sekretarz generalny ONZ Kofi Annan zaprezentował się z żoną w telewizji jako skuteczny negocjator w sporze między mieszkańcami Ulicy Sezamkowej.



FOT. PAPIERA

Dean Kamen zaprezentował w Nowym Jorku elektryczny pojazd, który, jego zdaniem, zastąpi w miastach samochód. Twórca nie ukrywa, że jest niepoprawnym optymistą.



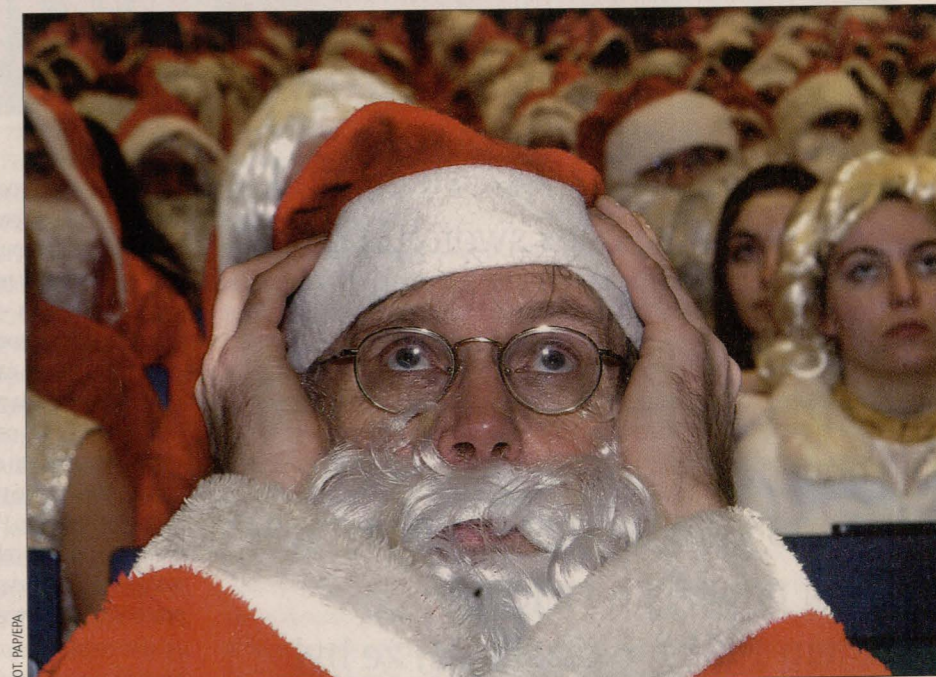
FOT. PAPIERA

Próba sił przed budynkiem parlamentu w Buenos Aires. Zamieszki wybuchły z powodu kryzysu ekonomicznego. Zadłużenie Argentyny sięga 132 miliardów dolarów.



FOT. PAPIERA

Dziesiątki tysięcy Japończyków wpuszczono do parku wokół cesarskiego pałacu w Tokio, aby mogli pisemnie pogratulować parze księżęcej narodzin córki.



FOT. PAPIERA

Około 600 Mikołajów i Aniołków zebrało się na spotkaniu organizacyjnym w audytorium Uniwersytetu Humboldta w Berlinie. Zaczął się okres wzmożonego zapotrzebowania na świętych.

MYŚL TYGODNIA

Pomysł uroczy, ale głupi.

Jan Nowicki o zorganizowaniu Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Krakowie.

FOT. JAN ZICH



Rocznica, której nie umiemy nazwać

Polakom było już wszystko jedno, wielu bało się o los swoich rodzin, o warunki życia. Przywódcy „Solidarności” lekceważyli ostrzeżenia, brakowało jasnej koncepcji oporu na wypadek użycia siły. 13 grudnia 1981 r. generałowie mieli powody do triumfu. Latem 1982 r. okazało się, że był to triumf przedwczesny.

Organizując uroczystości w dwudziestą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, postępujemy tak, jakbyśmy – zachowując pamięć o powstaniu styczniowym – czcili rocznicę branki (tj. przymusowego poboru polskiej młodzieży do carskiej armii, który był bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania). A przecież to nie generała Jaruzelskiego chcemy wspominać 13 grudnia, ale tych wszystkich, którzy w tym dniu i przez następne dziesięć lat nie wyrzekli się pragnienia wolności i nie zrezygnowali z oporu przeciw komunistycznej dyktaturze.

Na mapie świata

W popularnych podręcznikach dziejów świata, wydanych za lat sto

gdzieś w Australii, w Kanadzie czy w Singapurze, Polska ma szansę dwukrotnie pojawić się w rozdziale poświęconym wydarzeniom drugiej połowy XX wieku. Po raz pierwszy z powodu wyboru dokonanego w Rzymie w 1978 roku, gdy papieżem został kardynał przybyły zza żelaznej kurtyny. Po raz drugi przy okazji 1980 roku, gdy w Polsce rozpoczął się bunt, największy i najbardziej brzemienisty w skutki w całej siedemdziesięcioletniej historii sowieckiego imperium.

Po zakończeniu II wojny światowej w Europie Wschodniej, kontrolowanej kolejno przez Stalina, Chruszczowa i Breżniewa, kilkakrotnie dochodziło do poważnych kryzysów. W maju 1953 roku wybuchło powsta-

nie w Niemczech Wschodnich, w październiku 1956 roku spod sowieckiej kurateli usiłowały uwolnić się Węgry, a w 1968 roku w Czechosłowacji podjęto próbę gruntownej reformy systemu. Za każdym razem konieczna okazywała się interwencja Czerwonej Armii; jej dywizje (a w Czechosłowacji także dywizje sojusznicze) najpierw przywracały naruszony porządek, a następnie pomagały utrzymać go miejscowym kolaborantom.

W Polsce protesty i zamieszki wybuchwały częściej, ale nigdy na tak znaczną skalę, zawsze też radziła sobie z nimi PRL-owska milicja, czasem wspierana przez wojsko. Tak było w czerwcu 1956 w Poznaniu, w miastach akademickich w marcu 1968,

na Wybrzeżu w grudniu 1970, w czerwcu 1976 w Radomiu i Ursusie. Jednak podczas fali strajków latem 1980 roku stało się oczywiste, że tym razem niezbędne będzie zastosowanie nadzwyczajnych środków.

Własnymi siłami

Gierek, nauczony doświadczeniem Gomułki z 1970 roku, nie zdecydował się na użycie siły wobec strajkujących stoczniowców i zgodził się na podpisanie porozumień. Zapłacił za to utratą władzy, ale jego następca kontynuował politykę ustępstw i gry na zwłokę, co mocno zaniepokoiło sąsiadów. Jesienią 1980 roku Związek Sowiecki rozpoczął przygotowania do inwazji na Polskę. Pomysł ten gorąco popierały Czechosłowacja i NRD, deklarując udział swoich dywizji. Na początku grudnia wszystko wydawało się już gotowe, a informacje o koncentracji wojsk wokół granic Polski potwierdzał amerykański wywiad satelitarny.

Dziś jeszcze nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, czy niebezpieczeństwo interwencji było wówczas realne, czy też przywódcy Kremla zamierzali jedynie nastraszyć kierownictwo PZPR i zmusić je do energiczniejszego działania. W każdym razie Zachód poważnie potraktował sowieckie groźby, zapowiadając liczne i dotkliwe sankcje polityczne oraz ekonomiczne.

Ponieważ Związek Sowiecki od roku prowadził wyczerpującą i przynoszącą coraz więcej strat wojnę w Afganistanie, równoczesna operacja wojskowa w Polsce mogła spowodować trudne do przewidzenia skutki. Prawdopodobnie na przełomie 1980 i 1981 roku Kreml ostatecznie zrezygnował z planów kampanii wojskowej w Polsce, bynajmniej jednak nie zamierzając informować o tym swoich polskich popleczników. Tymczasem plany opanowania sytuacji „własnymi siłami”, rodzące się w Warszawie już w 1980 roku, od wiosny 1981 weszły w fazę realizacji.

Trzeba było jeszcze kilku miesięcy, aby wprowadzenie stanu wojennego przygotować organizacyjnie i propagandowo. Paradoksalnie, najważniejszym sojusznikiem reżimu okazała się katastrofa gospodarcza, spychająca kraj na dno nędzy, nie spotykanej nawet w Związku Radzieckim. Polacy byli zmęczeni wielo-



dzinnym wystawianiem w kolejkach, kartkami na większość niezbędnych do życia produktów, brakiem benzyny i widokiem pustych półek w sklepach.

Oficjalna propaganda umiała to wykorzystać: jesienią w telewizji i gazetach straszono nadchodzącą zimą, brakiem węgla, wyłączeniami prądu, wstrzymaniem komunikacji, kartkami na chleb. Groza codziennego życia przesłaniała radość z odzyskiwanej wolności. W końcu zmęczenie było tak wielkie, że coraz częściej powtarzano: niech będzie, co ma być.

Zwycięstwo pokonanych czy pokonani zwycięzcy

5 grudnia na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR zapadła ostateczna decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego. W dyskusji przeważały opinie, że „teraz albo nigdy”, że za kilka tygodni może być już za późno. Rządząca partia szła w rozsypkę, zastanawiano się nawet, czy nie należy jej rozwiązać. Pozostawała tylko siła milicji i wojska, było też coraz bardziej oczywiste, że nie ma co liczyć na pomoc sojuszników. Spodziewano się znacznego oporu, także zbrojnego.

Jednak wielu Polakom było już wszystko jedno, wielu bało się o los swoich rodzin, o warunki życia w ciągu najbliższych miesięcy. Przywódcy „Solidarności” lekceważyli ostrzeżenia, brakowało jasnej koncepcji oporu na wypadek użycia siły przez reżim Jaruzelskiego. W krytycznej chwili nie zachowano nawet elementarnej ostrożności i większość potencjalnych organizatorów protestów po-

zwoliła się aresztować w pierwszych godzinach wojskowej operacji.

Wprowadzenie stanu wojennego zakończyło się sukcesem władz. Nie wybuchł strajk powszechny, poszczególne ogniska oporu likwidowano jedno po drugim. Pewne trudności pojawiły się na Śląsku, ale do świąt sytuacja została opanowana i generałowie mieli powody do triumfu. Dopiero wiosną, a jeszcze wyraźniej latem 1982 roku, okazało się, że był to triumf przedwczesny.

Wbrew pozorom kryzys trwał, a nawet nasilał się, powoli i systematycznie. Wielu działaczy oficjalnie rozwiązanej „Solidarności” uznało za punkt honoru udział w związkowym podziemiu. Pokolenie ich dzieci upodobało sobie uliczne zadymy, które stały się utrapieniem władz. Równocześnie postępowała korozja administracji i frustracja władz PRL-u. Gdy okazało się, że Związek Sowiecki ma poważniejsze kłopoty niż troszczenie się o swoich polskich towarzyszy, trzeba było usiąść do rozmów z opozycją niedawno wypuszczoną z więzień i ośrodków internowania.

Historycy jeszcze nie wymyślili nazwy okresu, który jak kłamrą spinają dwa zdjęcia, znane na całym świecie: Lecha Wałęsy, wielkim długopisem podpisującego Sierpniowe Porozumienie, oraz okrągłego stołu, jak z lotu ptaka fotografowanego z telewizyjnego podnośnika – stołu, przy którym dokonuje się wybór drogi wychodzenia z systemu dyktatury. Na razie mówimy: stan wojenny, chociaż wciąż nie do końca jesteśmy zgodni, jaką treścią wypełnić te dwa złowrogie słowa.

RYSZARD TERLECKI

Zegnajcie franki,
marki, pesety,
szylingi, liry,
guldeny...
Za kilka tygodni
będzie euro.
Nas ta operacja
czeka najpóźniej
w roku 2008.



Tego jeszcze nie było. Mieszkańcy dwunastu krajów Wspólnoty Europejskiej, które zdecydowały się wziąć udział w największym eksperymencie walutowym naszych czasów, od 1 stycznia będą płacić jednakowymi pieniędzmi. Już od rana zakup gazety i świeżego pieczywa będzie im przypominać, że żyją w zjednoczonej Europie.

Bez kalkulatora ani rusz

Na godzinę zero czeka 15 mld banknotów i 50 mld monet o łącznej wadze 250 tys. ton. Zarządy w nich metal wystarczyły do zbudowania 24 wież Eiffla. Już samo wyprodukowanie takiej ilości pieniądza oraz jego rozprowadzenie było kolosalną operacją. Do banków i firm dwunastu krajów nowe monety i banknoty musiały trafić jesienią

br., aby kasjerzy mieli czas na oswojenie się z nimi.

Teraz pora na przeciętnych mieszkańców eurolandu. 1 stycznia jest wszędzie świętem, więc nowej waluty zaczną w praktyce używać od następnego dnia. Jak sobie z tym poradzą?

Do dziś starsi Francuzi wspominają wymianę pieniądza, jaką zafundował im w 1960 r. generał de Gaulle. Była to stosunkowo prosta operacja: frankowi obcięto dwa zera. 100 starych franków zastąpił jeden nowy, „ciężki” frank. Mimo to wielu

ludzi przez długie lata operowało cenami wyrażanymi w starej walucie (podobnie jak my niechętnie rozstawaliśmy się z naszymi milionami po denominacji złotych).

Teraz będzie o wiele trudniej. Jedno euro jest warte 6 franków i 56 centymów. Włoch otrzyma euro w zamian za 1936 lirów, Austriak – za 13 szylingów 76 groszy, Hiszpan – za 166 peset 39 centymów. Bez kalkulatora ani rusz. Najłatwiej mają Niemcy, którym wystarczy podzielić ceny w markach przez

dwa, aby otrzymać niemal dokładną wartość w euro: 1 euro równe jest 1,96 DM.

Na zakupy do sąsiadów

Klienci sklepów dwunastu państw już od miesiąca na sucho „trenują” posługiwanie się nową walutą: mogą porównywać ceny wyrażone w dotychczasowej walucie i w euro. Wydaje się, że jednak nie taki diabeł straszny, jak go malują, bo w sondażu Komisji Europejskiej z październi-

kańcy małego Luksemburga, gdzie normą jest robienie zakupów u sąsiadów.

Ludzie też cenią sobie możliwość bezpośredniego porównywania cen towarów i usług w poszczególnych krajach bez sięgania po kalkulator. Zalety wprowadzenia trzy lata temu wspólnej waluty w rozliczeniach bezgotówkowych odczuli już Włosi: euro przyczyniło się do zduszenia w tym kraju inflacji i zrównoważenia finansów publicznych.

Euro – nie krowa

Europa mieć będzie wspólną walutę po raz pierwszy od czasów Cesarstwa Rzymskiego. Pieniądz Rzymian rozprzestrzenił się jednak w sposób naturalny, w ślad za ekspansją militarną, handlową i cywilizacyjną antycznego mocarstwa. Teraz nic nie może odbywać się żywiołowo. Szczególnie zadbało o to, aby euro nie stało się wyrazem dominacji któregoś z najsilniejszych gospodarczo państw Unii Europejskiej nad pozostałymi partnerami.

Dlatego podczas wyboru nazwy nowej jednostki monetarnej z miejsca odpadły wszelkie propozycje nawiązujące do istniejących walut. Zdyskwalifikowany został „franken”, porzucono też myśl o związaniu używanej dziś nazwy z przedrostkiem „euro”. Niemcom trudno byłoby przekonać, że dostają pensję w „eurofrankach”, a Francuzom nie byłoby w smak trzymać w portfelach „euromarki”.

Na cenzurowanym znalazły się też nazwy historyczne. Nie przebrnął przez sito selekcyjne „floreń” wywodzący swój rodowód ze średniowiecznej Florencji. Przepadł „dukat”, choć świetnie nadawał się do wystąpienia w nowej roli, bo przecież pełnił już w Europie przed wiekami rolę monety międzynarodowej, uniwersalnej (był notabene dobrze znany i bity od czasów Łokietka w Polsce). Dukatowi wypomniano jego weneckie korzenie.

Nie zyskała też akceptacji pierwotna nazwa wspólnej waluty europejskiej – ecu. Niektórym za bardzo kojarzyła się z portugal-

skim escudo, a Helmut Kohl – jeszcze z wysokości piastowanego wtedy urzędu kanclerza – zaprotestował przeciw słowu brzmiającemu po niemiecku jak krowa (Kuh).

Potworek od urodzenia

Czy jednak nie można było wymyślić nic bardziej oryginalnego ponad banalne „euro”? Nazwa ta, choć spełnia wymogi poprawności politycznej i wszędzie łatwo się wymawia, jest dziwołagiem językowym.

Do tej pory funkcjonowała jako przedrostek geograficzny w złożeniach z innymi wyrazami, którym nadawała specyficzne znaczenie. Mówimy o europejskości, europeizacji i europocentryzmie, mamy Eurowizję i Eurotunel, słuchamy opinii eurosceptyków i euroentuzjastów – i każde z tych określeń doskonale opisuje pewne pojęcie. Natomiast użycie samego przedrostka w roli rzeczownika jest co najmniej dziwne i razi niezręcznością.

Wybitny pisarz francuski Maurice Druon takie „euro-nic” nazwał potworkiem od urodzenia. Cytując słowa Alberta Camusa: „Nadając rzeczom niewłaściwe

nazwy, mnożymy niedole świata”, prorokował, że fatalna nazwa wspólnej waluty przyczyni się do niedoli Europy.

Zamiast „euro” zaproponował „talenta”. Nazwa ta nie wiąże się z żadnym z nowożytnych państw, a sięga do korzeni naszej kultury śródziemnomorskiej (talenty znano w starożytnej Grecji). Druon szczególnie podkreślał, że tym mianem określano monetę o wartości odpowiadającej wartości zawartego w niej kruszcu. Pisarz przywoływał też ewangeliczną przypowieść o talentach, które można zakopać lub wykorzystać. Jego głos spotkał się jednak z odzewem opisanym w innej biblijnej przypowieści – tej o człowieku wołającym na pustyni.

Co zrobić z markami

Szok spotkania z nowym pieniądzem będzie udziałem nie tylko mieszkańców dwunastu krajów należących do strefy euro. Do wspólnej waluty będą musieli się przyzwyczaić również mieszkańcy zachodniej Afryki, pozostający od czasów kolonialnych w strefie wpływów francuskiego franka oraz Antyli Holenderskich. Zastępując markę nie-

Euro w portfelu



PROTOPLASTA EURO

Ideę połączenia wielu krajów jednym pieniądzem wysunął blisko półtora wieku temu Napoleon III. Próbował on utworzyć unię monetarną, która docelowo miała stać się organizacją o zasięgu globalnym. Zakładano, że kraje należące do unii będą bić monety złote i srebrne o jednakowej wadze i wartości. W 1863 r. do porozumienia – oprócz Francji – przystąpiły Belgia, Szwajcaria i Włochy. Dwa lata później dołączyły Bułgaria i Grecja. Niebawem jednak Napoleon III stracił władzę, cesarstwo upadło i projekt poszedł w niepamięć.

miecką, banknoty euro napłyną też obficie do krajów byłej Jugosławii i do naszej części Europy, w tym również do Polski. Osoby mające na kontach marki niemieckie czy waluty innych państw strefy euro mogą spać spokojnie. Ich pieniądze zostaną automatycznie przeliczone po sztywnym (obowiązującym od trzech lat) kursie na nową walutę. Ci, którzy mają gotówkę w domu, będą mogli po 1 stycznia wymienić ją na euro w bankach. Ale uwaga: za taką operację trzeba będzie zapłacić prowizję, więc bardziej opłaca się założyć przed końcem roku konto w posiadanej walucie, gdyż pieniądze zostaną automatycznie przeliczone na euro bez obciążania właściciela rachunku kosztami.

Sprintem do eurolandu?

W dalszej perspektywie czeka nas zamiana złotych na euro. Nie brak ekonomistów, którzy najchętniej zrobiliby to natychmiast. Niespełna trzy lata temu padła w prasie propozycja, aby Polska przystąpiła jednostronnie do eurolandu już w 2001 r. - nie czekając na wejście do Unii Europejskiej.

Jej autorzy, Andrzej Bratkowski i Jacek Rostowski z Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych, przekonywali, że krok taki przyniesie rozliczne korzyści: da silny impuls dla wzrostu gospodarczego, szybko obniży inflację, deficyt budżetowy i stopy procentowe oraz przyniesie wzrost inwestycji zagranicznych, owocujący spadkiem bezrobocia. A przede wszystkim zapobiegnie ryzyku nadejścia kryzysu gospodarczego. Przyjęcie euro miało też przyspieszyć termin naszego wejścia do struktur UE.

Polemiści nie podzielali optymizmu obu autorów. Korzyści - owszem, odpowiadali, ale nie tak szybko i nie tak wielkie. Wskazywali też na groźbę destabilizacji gospodarki. Ówczesna prezes Narodowego Banku Polskiego, Hanna Gronkiewicz-Waltz, twierdziła, że pomysł jest niewykonalny z prawnego punktu widzenia.



FOT. BARTOŃCIEK Z DZIENNIKU WIECZNIK POLITYKI WIECZNIK

Dyskusje na ten temat nie milkną, ale dziś za wariant najbardziej optymistyczny uważa się nasze wejście do eurolandu w 2006 r. - pod warunkiem że w 2004 znajdziemy się w Unii Europejskiej. Ponieważ jednak droga do euro

najeżona jest licznymi pułapkami, realiści wolą mówić o roku 2007, a nawet 2008. Aby znaleźć się w elitarnym euroklubie, trzeba spełnić szereg wymagań dotyczących stabilności waluty oraz poziomu inflacji, stóp procento-

wych, deficytu budżetowego i długu publicznego.

A złotych żal

Ekonomiści na ogół zgadzają się, że dołączenie do strefy euro jest dla Polski konieczne i korzystne, zarówno z punktu widzenia gospodarki, jak i pojedynczego obywatela. A koszty? Państwo straci możliwość prowadzenia polityki kursowej i zyski wynikające z emisji własnego pieniądza (szacowane na 0,5 do 1,5 proc. PKB). Przyjęcie waluty używanej w Niemczech i większości krajów UE pozbawi też właścicieli kantorów znacznej części zysków.

Dla wielu ludzi z pewnością najtrudniejsze będzie rozstanie ze złotym jako jednym z symboli narodowych. Wszak od początków swego istnienia moneta była oznaką suwerenności władcy, który wprowadzał ją do obiegu. Nie przypadkiem pojawieniu się na mapie Europy państwa polskiego towarzyszył denar Mieszka I. W dzisiejszym świecie zacierających się różnic kulturowych pieniądź stał się tą oznaką przynależności do własnego narodu, z którą stykamy się bodaj najczęściej.

A poza tym, co tu dużo mówić, żal będzie pożegnać złotówkę, z którą tyle przeszliśmy w ostatnich dziesięcioleciach. Ale co mają powiedzieć Grecy rozstający się 1 stycznia z drachmą, której używano jeszcze w starożytnych w Atenach 25 wieków temu?

LESŁAW PETERS

NOTATKI Z EUROLANDU

* Do strefy euro należą: Austria, Belgia, Finlandia, Francja, Grecja, Hiszpania, Holandia, Irlandia, Luksemburg, Niemcy, Portugalia, Włochy. Z państw Unii Europejskiej wspólnej waluty nie chcą Dania, Szwecja i Wielka Brytania.

* Symbol euro zapożyczono od greckiej litery epsilon. Użycie podwójnej kreski poziomej ma wyrażać stabilność nowej waluty.

* Kilka tygodni przed wprowadzeniem do obiegu wspólnej waluty okazało się, że monety zawierające dużą ilość niklu mogą wywoływać dolegliwości skórne u alergików. W krajach UE mniej więcej jedna osoba na dziesięć jest uczulona na nikiel.

* Wprowadzenie do obiegu banknotów euro w Finlandii i Włoszech to złoty interes dla producentów z branży galanterii skórzanej. Mieszkańcy tych krajów będą musieli wymienić swoje portfele na większe.

* W jedenastu krajach eurolandu liczbę mnogą od euro tworzy się przez dodanie litery „s”: euros. Jedynie we Włoszech używa się w tym wypadku słowa euri. W języku polskim wyrazów pochodzenia obcego zakończonych na „o” nie odmienia się, więc mamy zarówno „jedno euro” jak i „100 euro” (a nie np. „eurów” lub „eur”).

* Euro w Portugalii? Mieszkańcom tego kraju do dziś zdarza się przeliczać ceny na reale wycofane z obiegu prawie 100 lat temu.

* Dla wielu polskich firm i niektórych osób prywatnych euro to dobry znajomy. Odkąd na początku 1999 r. walutę tę wprowadzono jako pieniądź rozliczeniowy, funkcjonujący równoległe z walutami narodowymi, również w naszych bankach można zakładać konta w euro. Ci, którzy jednak liczyli, że szybko się na tym wzbogacą, przeżyli rozczarowanie.

cyfrowe laboratorium fotograficzne w domu!

www.foto.onet.pl



PARTNER SERWISU
www.photonext.pl

PhotoNEXT

Fotografujesz aparatem cyfrowym? Dzięki Foto.Onet.pl Twoje cyfrowe zdjęcia mogą mieć jakość klasycznej fotografii!

Wyślij je przez Internet do naszego Laboratorium, a otrzymasz dowolną ilość odbitek na papierze fotograficznym. Możesz również przysłać tradycyjne slajdy albo negatywy

- odeślemy Ci pliki „wypalone” na CD!

Foto.Onet.pl to także szansa na debiut w Internecie!

W naszym Albumie możesz zamieścić swoje najlepsze zdjęcia i obejrzeć fotografie innych autorów.

Do dzieła! Każda chwila może być warta uwiecznienia...

www.foto.onet.pl

- > laboratorium
- > albumy
- > galeria
- > porady

onet.pl
polski portal internetowy

Przed wyjazdem do Karabachu przestrzegano mnie: „Uważaj na siebie, jedziesz w niebezpieczne miejsce!”.

ANDRZEJ PISOWICZ

Minęło już osiem lat od ustania walk w Karabachu i na przyległych terenach, a zawieszenie broni zawarto w 1994 r. W latach 1992-1993 Ormianie wyparli Azerów niemal z całego Karabachu (wyjątkiem jest miasteczko Szahumian na północy), zdobywając także sąsiednie rejony, przede wszystkim pas ziemi oddzielający Karabach od Armenii. Ormiańska enklawa na terenie Azerbejdżanu jest terenem faktycznie niezależnym od władz w Baku, rządzone przez Ormian. Azerowie opuścili te ziemie, dobrowolnie lub pod przymusem. Część z nich znalazła schronienie w obozach dla uchodźców w sąsiednim Iranie. Reszta przebywa na terenie Republiki Azerbejdżańskiej.

Proszenie w kumy

Stosunki ormiańsko-azerbejdżańskie układały się różnie w ciągu wieków: nie zawsze tak konfliktowo, jak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Symbolem dobrego sąsiedztwa obu grup etnicznych: chrześcijańskich od 1700 lat Ormian i muzułmańskich od ponad 1000 lat północnych Azerów było słowo „kirwa”. Tak nazywano kumów rodzin, które zawierały trwałą, rozciągającą się na pokolenia przyjaźń. Ormiański „kirwa” chodził na uroczystość obrzezania do rodziny muzułmańskiej, a przedstawiciel zaprzyjaźnionej rodziny azerskiej brał udział w przyjęciu organizowanym przez Ormian z okazji chrzcina. Ormianie „azerbejdżańscy” no-



Takich pomników w Karabachu już nie ma.

KARA-BACH ZNACZY CZARNY OGRÓD

szą niekiedy muzułmańskie imiona, np. Raszid - rezultat owych bliskich kontaktów rodzinnych. W starym mieście Szuszi, 10 km na południe od Stepanakertu, współistniały od wieków kościoły i meczety. Tak jest i obecnie, z tym że meczety są puste, bo Azerów już w Szuszi nie ma. Sfotografowałem tam bramę meczetu z napisem w języku ormiańskim, informującym, iż „obiekt pozostaje pod ochroną państwową”. Cieszymy się bodaj tą drobną, optymistyczną oznaką. Można sobie przecież wyobrazić zburzone, a nie tylko opuszczone meczety. Na Bałkanach to widok wcale nie taki rzadki.

A przecież z tego właśnie Szuszi w 1992 r. Azerowie ostrzelali leżący o prawie 500 m niżej,

na wysokości ok. 800 m, Stepanakert. Chcieli zmusić do posłuszeństwa Ormian domagających się wyłączenia Karabachu spod coraz cięższej dla nich, bezlitosnej władzy azerbejdżańskiej i przyłączenia do macierzystej Armenii.

Pogrom

Kulminacyjnym momentem napięć w stosunkach ormiańsko-azerbejdżańskich był pogrom Ormian w miejscowości Sumgajit, leżącej nad Morzem Kaspijskim w pobliżu Baku. Milicja (jeszcze wówczas, w ostatnich dniach lutego 1988 r., sowiecka) praktycznie nie zrobiła nic dla zapobieżenia rzezi, która przyniosła kilkadziesiąt, a może i kilkaset ofiar śmiertelnych. Wyroki dla spraw-

ców pogromu Ormianie uznali za zbyt łagodne. Dalsze napięcia doprowadziły do wojny w latach 1992-1993.

Obecnie rejon ten jest faktycznie niezależny od Azerbejdżanu. Jego ormiańska nazwa Lernajin Gharabaghi Hanrapetutjun znaczy dosłownie Republika Górskiego (nie: Górnego, jak się to u nas często pisze) Karabachu (bez terminu „ormiańska”!). Nie uznaje tego żadne państwo świata, z Armenią włącznie, choć oczywiście związki Karabachu z Armenią są bardzo silne, zarówno polityczne, jak i gospodarcze.

Dla Karabachu wraz z terenami Azerbejdżanu okupowanymi obecnie przez Ormian używa się też niekiedy lokalnej starej nazwy prowincji Arcach, która w staro-

nięto pomnik Szahumiana. Po paru latach dyskusji, w których wykazano, że ów bolszewik zasłużył się jednak swym rodakom, pomnik ponownie ustawiono na pierwotnym miejscu.

Teraz kamienny Stepan Szahumian patrzy dumnie ze skweru położonego przy budynku rządowym na opadającą stamtąd w dół długą ulicę Azatamartikneri („Bojowników o wolność”).

Mieści się tu wiele sklepów (wszystkie prywatne) i różnych instytucji, m.in. poczta, w której można kupić znaczki z napisem ormiańskim i angielskim: „Republic of Mountainous Karabakh”. Ostrzegano mnie, że kraje zachodnioeuropejskie odsyłają do nadawcy listy ze znaczkami Karabachu, bo przecież takiego państwa oficjalnie nie ma. Nadałem kilka kartek do Polski i jedną do Holandii. Te wysłane do Polski dotarły do rąk adresata bez przeszkód. Polscy pocztowcy zapewne nie czytali napisów wnikliwie w napisy na znaczkach. Natomiast kartka nadana do Holandii została przez tamtejszą pocztę, poprawniejszą politycznie, odesłana do nadawcy na podany adres zwrotny w... Krakowie. Dowód, że Polska nie należy jeszcze do Unii Europejskiej.

Krajobraz po bitwie

W wojnie ormiańsko-azerbejdżańskiej lat 1992-1993 nowo powstała niepodległa Republika Armenińska nie brała udziału, choć ochotnicy z tego kraju walczyli po stronie ormiańskiego Karabachu. Zginęło co najmniej kilkanaście tysięcy ludzi. Szczególnie ostre walki toczyły się wokół miasta Szuszi. Ormianie zdobyli je 8 maja 1992 r. Dla upamiętnienia piątej rocznicy zwycięskiej bitwy umieścili tzw. chaczkar, czyli „kamień krzyżowy”, wyrzeźbiony misternie według starej tradycji, w murze niedaleko postumentu zwieńczonego popiersiem dwukrotnego bohatera Związku Radzieckiego (z czasów II wojny światowej), Nelsona Stepaniana.

W Szuszi sporo jest jeszcze zrujnowanych domów. Mniej ich się widzi w Stepanakercie, w któ-

rym intensywniej wzięto się za odbudowę zniszczeń. Wiadomo – stolica. Dokładna liczba mieszkańców miasta nie jest znana, ponieważ wojna i przesiedlenia ludności przyniosły ogromne zmiany. Mówi się o około 80 tysiącach. Wielu ludzi wyjechało z powodu biedy, w następstwie bezrobocia, a może także obawiając się azerbejdżańskiego odwetu, który wciąż trzeba poważnie brać pod uwagę, skoro problem Karabachu nie doczekał się jeszcze oficjalnego międzynarodowego uregulowania. Z drugiej strony tu właśnie, w Stepanakercie, osiedlili się uciekinierzy ormiańscy z rdzennego Azerbejdżanu, m.in. część kolonii ormiańskiej z dotkniętego pogromem 1988 r. Sumgajitu.

Zgoła apokaliptyczny widok oglądałem w mieście Aghdam, a raczej wśród jego ruin, bo w następstwie ostrzału artyleryjskiego nie ostał się tam ani jeden dom. Miasto leży parę kilometrów na wschód od Karabachu, już na terenie rdzennego Azerbejdżanu. Pozostaje pod okupacją ormiańską (termin strony azerbejdżańskiej), której manifestacją są nieliczni, stacjonujący gdzieś w pobliżu żołnierze ormiańscy, smętnie pilnujący owych ruin.

Kapitalizm z pewnym trudem toruje sobie drogę w Karabachu. Wprawdzie kołchozów już nie ma, a sklepy w prywatnych rękach, ale dawna mentalność ma się dobrze. Oto np. koncerty w Pałacu Młodzieży są bezpłatne. A te, przeznaczone oczywiście nie tylko dla gości zagranicznych, ale i dla miejscowej ludności, odbywają się przez dwa sierpniowe

tygodnie co wieczór. Chóry i zespoły taneczne nie występują przecież za darmo: z czegoś artyści muszą żyć. Pewnie ubogi budżet republiki uznaje dotacje na kulturę za ważniejsze od innych wydatków. Rozumiem, choć mam zastrzeżenia, wiedząc, że np. najniższe emerytury nie przekraczają tam 10 dolarów miesięcznie, a ceny żywności nie są o wiele niższe niż np. w Polsce.

Samoobrona jako jedyny środek

W sobotni wieczór ostatniego dnia pobytu w Karabachu idę na koncert przybyłego z Paryża emigracyjnego zespołu ormiańskiego Nawasart. Ormianie francuscy równie dobrze tańczą i śpiewają jak zakaukascy. Koncert odbywa się na stadionie. Zespół jest z Zachodu, więc kasa sprzedaje bilety, ale nie wszyscy je kupują, bo kontrolerzy często opuszczają posterunek.

Zamiast wszechobecnych w innych krajach świata reklam nad trybunami stadionu w Stepanakercie są dwa ogromne napisy przypominające formą dawne hasła partyjno-socjalistyczne. Ale treść jest zupełnie inna. Napis ormiański głosi: „Chwała ci, wieczna chwała, odrodzona ojczyzna ormiańska!”. Natomiast po rosyjsku czytamy: „Samoobrona jest jedynym środkiem zapewniającym przetrwanie narodowi i jego bogom”.

Tak Ormianie odraewują zarzuty kierowane nieraz pod ich adresem, że w stosunku do Azerbejdżanu dopuścili się agresji, skoro wyszli poza terytorium Karabachu i okupują dotąd część ziem azerbejdżańskich (m.in. zniszczone miasto Aghdam).

Dla Ormian wojna lat 1992-1993 była wojną o przetrwa-



„Kamień krzyżowy w Szuszi – 1997”.



Zespół klasztorny Dadiwank (XIII w.).

nie. Walczyli przeciwko przeważającemu liczebnie wrogowi z determinacją, świadomi niebezpieczeństwa całkowitej zagłady lub wypędzenia. Do dziś podkreślają: dla Azerów wojna ta była sprawą honoru (zmusić buntowników do posłuszeństwa), dla Ormian – sprawą życia lub śmierci. Zajęcie przygranicznych ziem przeciwnika dla zapewnienia własnego bezpieczeństwa wydawało się więc całkowicie usprawiedliwione.

Dziadek zastąpił towarzysza

Do Karabachu pojechałem, by wziąć udział w międzynarodowej konferencji dialektologii ormiańskiej. Wygłosiłem referat o wyrazach „muzułmańskich” (tj. arabskich, perskich i tureckich) w dialekcie polskich Ormian, którego ostatnim ośrodkiem były Kuty nad Czeremsem. Nie wzbudził on większych emocji z racji względnej „odległości tematycznej”. Gorąco się zrobiło natomiast podczas dyskusji, jaka się wywiązała po innym referacie, dotyczącym ewentualnych wpływów azersko-azerbejdżańskich na ormiańską ludową kulturę Karabachu. Usłyszałem m.in. dobiegające zza stołu prezydenckiego patetycznie wypowiedziane zdanie: „Nienawidzimy Turków i będziemy ich nienawidzili” (tym terminem określa się po ormiańsku także Azerów).

Ale akcentów ściśle politycznych na konferencji nie zauważyłem. Choć można się ich było spodziewać. Bo przecież specjali-

sta zajmujący się dialektologią ormiańską mógłby łatwo wykazać bezzasadność wysuwanych niekiedy przez stronę azersko-azerbejdżańską argumentów, jakoby Ormianie byli w Karabachu elementem napływowym, przybyłym tu dopiero w XIX w. Dialektolodzy dowiedli bowiem, że Ormianie byli tu od wieków.

Na kursie dialektologicznym, prowadzonym przez miejscowe nauczycielki gimnazjalne, trafiłem bardzo szczęśliwie, wybierając grupę pani Sirun Baghdasarian. Miała świetną dykcję, umiała zwięźle przedstawić, mówiąc oczywiście językiem literackim, najważniej-

sze cechy swego dialektu. Pani Baghdasarian chętnie udzielała informacji.

Spytałem ją m.in., jak miejscowi Ormianie, nie znający się osobiście, zwracają się do siebie. Słusznie wątpiłem, by posługiwali się „towarzyszem” czy „obywatelem”, jak za Sowietów. Otóż mówią do siebie „bracie”, „siostrze”. Bardzo ładnie. A do starszego pana, takiego jak ja, per „dziadku”. Tej ostatniej informacji pani Baghdasarian taktownie mi nie udzieliła, ale zetknąłem się z tą właśnie grzecznościową formą w praktyce. Tak się do mnie zwracał kierowca taksówki.

Świadectwem zakończenia sowieckiej epoki jest również powszechne używanie przez inteligencję ormiańską wyrazu paron, wywodzącego się z kontaktów Ormian z krzyżowcami. Byłem zatem paronem Pisowiczem. Ormianie z diaspory wymawiają ten wyraz zgodnie z francuskim oryginałem: baron.

Na cztery sopran i bas

Kościół w Stepanakerkie Sowietci zamienili na teatr. Działa on także obecnie, ale jego górne piętro znów pełni funkcje domu Bo-

żego. Codziennie są tam śpiewane przez księży i diakonów modlitwy (żamergutjun), a w niedziele i święta – msze (patarag). W niedzielę 12 sierpnia obchodzono uroczyste święto Wniebowzięcia Marii Panny. Msza wraz z towarzyszącymi jej obrzędami trwała ponad trzy godziny. Zakończyła się święceniem winogron, które od tej pory uważa się już za dojrzałe.

Słuchając przepięknych, wzniosłych pieśni liturgicznych – cztery sopran i jeden bas – zdałem sobie sprawę, że właśnie w tym śpiewie najlepiej chyba odczuwa się długą, 1700-letnią tradycję chrześcijaństwa ormiańskiego. Mam na myśli niezwykłą, wyrafinowaną subtelność, która wskazuje na całe wieki dążeń do jak najpełniejszego wyrażenia głosem pierwiastka duchowego. Z pokorą przypomniałem sobie w stepanakerckim teatrze-kościół, że w IV w. nie było jeszcze Polaków, Czechów i Rusów. Byliśmy po prostu Słowianami dzielącymi się dopiero na plemiona. A Ormianie już wtedy mieli za sobą co najmniej osiemsetletnią tradycję odrębności etnicznej.

ANDRZEJ PISOWICZ



Dzień niepodległości Karabachu.



LEON SCHILLER

PASTORAŁKA

MISTERIUM BOŻONARODZENIOWE

z muzyką:

LEONA SCHILLERA I JANA MAKLAKIEWICZA

Reżyseria: Jarosław Kilian

Scenografia: Adam Kilian

Choreografia: Jacek Tomasik

Udział bierze niemal cały zespół Teatru Polskiego



Grafika: Adam Kilian

Terminy przedstawień:

15, 21, 22, 26 grudnia 2001 roku, godz. 18

12, 13, 16, 18, 19, 20, 23 grudnia 2001 roku oraz 3, 4 stycznia 2002 roku, godz. 12

TEATR POLSKI, ul. Karasia 2, 00-327 WARSZAWA, kasa tel. 826-79-92

Telefoniczna rezerwacja biletów: ul. Krakowskie Przedmieście 6, od poniedziałku do piątku w godz. 10.00–18.00, w soboty w godz. 10.00–13.00, tel./fax 826-61-64, e-mail: galeria@teatrpolski.waw.pl

Przedprzedaż prowadzą także kasy ZASP, Al. Jerozolimskie 25, tel. 621-94-54, 621-93-83



Rodzina Matysiaków w 1964 r. – z dyplomem Centralnej Rady Związków Zawodowych. Stoją od lewej: red. Żesławski, Fijewski, Łączyńska, Janczar, Dżanet Stampf'łowa, Janicki, Jaworski, Łuczycza, Stanisław Stampf'ł. W dolnym rzędzie: Friedman, Perzanowska, Ciecierski, Sereżyńska (klęczy), Nardelli (reżyser).

Matysiakowie

PAŃSTWO BARDZO DOBRZE

LESZEK MAZAN

O rodzinie z ulicy Dobrej dowiedziała się Polska 45 lat temu.

Bodaj w 1962 roku jedno z polskich pism ogłosiło plebiscyt na Polaka Roku. Zwyciężył bezapelacyjnie Józef Matysiak z Warszawy. Wyników nigdy nie opublikowano: nie chciano zawstydząć społeczeństwa, które przez nieuwagę zapomniało o Władysławie Gomułce.

Lionsi i Archersi

Słowom i czynom I sekretarza KC partii media poświęcały nieporównywalnie więcej miejsca, ale osobą, której się wierzyło, był prosty robotnik z ulicy Dobrej. O istnieniu jego i jego rodziny Polska

dowiedziała się z radia po raz pierwszy 45 lat temu.

Na fali październikowej odwilży A.D. 1956 redaktor Jerzy Janicki popłynął do ojczyzny powieści radiowych – Anglii, do BBC, gdzie przedstawiony został dwu takim właśnie radiowym rodzinom. Wrócił zniechęcony. I Lionsi, i Archersi byli całkowicie wymyśleni. Anglikom to nie przeszkadzało, oni takie zabawy literackie lubią. Janicki, wprost przeciwnie, uważał, że dobra jest tylko „fikcja nie do końca”. Wymyślanie całych scen i dialogów męczyło go okrutnie, rzeczy podsłuchane, podparzone „same skapywały z pióra”.

PP. Lionsowie i Archerowie wędrowali na antenie po pubach, parkach, jeździli tramwajami do krewnych etc. Pierwsza polska powieść radiowa – „Dni powszednie państwa Kowalskich” Marii Kuncewiczowej – opierała się głównie na narracji okraszanej scenkami dialogowymi.

Podsłuch na Dobrej

Teraz miała to być ni to powieść, ni to słuchowisko – właściwie do dziś nie wiadomo, jak to nazwać. W mieszkaniu Matysiaków zainstalowano na stałe nieruchomy mikrofon i podsłuch:



Gienek – Stefan Friedman

w każdą niedzielę, w porze największej słuchalności przełączano ów podsłuch na antenę. Dla znacznej rodziny nie stanowiło to zagrożenia: Matysiakowie nigdy nie rozmawiali o polityce, a ściślej – nie wieszali psów na uprawiających ją ludziach.

PAŃSTWO BARDZO DOBRZE – tak mieli się nazywać i oni, i cały serial. Ale było to straszliwie wymyślone. Lepiej już brzmiało „Mieszkamy na Latawcu”. Latawcem nazywano rejon Warszawy między Alejami Ujazdowskimi, Agrykołą i Nowowiejską. Powstały tam właśnie nowe bloki. W jednym z nich mieli zamieszkać bohaterowie radiowej powieści. I zamieszkali, ale tylko na trzy odcinki, które nigdy nie poszły na antenę. Dlaczego? – Dlatego, że były do dupy – mówi Jerzy Janicki, który w przeciwieństwie do Matysiaków chętnie i ze smakiem używa słów powszechnie uznanych za nieprzyzwoite.



Tadeusz Fijewski



FOT. PAWEŁ KULYRPA

Najpierw zmarła Grzelakowa

Stało wreszcie na „Matysiakach” – nazwisku na poły proletariackim, na poły mieszczańskim. Matysiakowie nie zamieszkali ani na „czerwonej Woli”, ani na knajpako-nożowniczym Czerniakowie, ale na neutralnym Powiślu,



Ludmiła Łączyńska

kojarzącym się łagodnie z Uniłowskim i Prusem. A dlaczego na Dobrej? Dlatego, że na Dobrej mieszkał Jerzy Janicki, który mógł bez wysiłku wpisywać scenki i dialogi w miejscową topografię.

Pierwotnym celem powieści było stworzenie „rodziny reprezentującej właściwe stosunki międzyludzkie, będącej antidotum na zdziczenie obyczajów”.

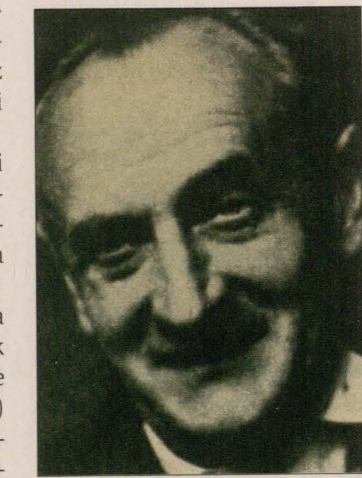
Matysiakowie – pani Helenka (przy mężu), pan Józef (robotnik wykwalifikowany), ich synowie Stach (muzyk) i Gienek (małolat) oraz wiejska krewna Zosia (uczennica szkoły krawieckiej) – mieszkali w ocalałym z powstania i wyre-

montowanym przez siebie mieszkaniu, w ciasnocie tak straszliwej, że autorzy powieści po kilku latach przydzielili im mieszkanie na Starym Mieście. Runęła lawina listów z protestami: Niby dlaczego? Oni są nasi, bo są tacy jak my i taką samą klepią bidę. Więc szybko wymyślili, że się kwaterunek pomylił, że chodziło o innego Matysiaka. I mieszkanie na Dobrej rodzina – opanowawszy lokale pod i nad sobą – zajmuje do dziś.

Ruchy personalne na Dobrej wymuszała przede wszystkim biologia. Reżyser „Matysiaków”, sławny Zdzisław Nardelli, sięgnął po pierwszy garnitur: panią Helenkę grała Stanisława Perzanowska, pana Józefa – Jan Ciecierski, Stacha – Tadeusz Janczar, Gienka – Stefan Friedman, zakochanego w ich kuzynce Klemensa Kolańskiego – Stanisław Jaworski. Z wyjątkiem Stefana Friedmana wszyscy oni już dziś słuchają kolejnych odcinków powieści gdzieś kędyś na Mlecznej Drodze nad Powiślem.

Kiedy, wracając z Ameryki, zmarła aktorka grająca żonę przyjaciela pana Józefa – Wojciecha Grzelaka (Tadeusz Fijewski), aktorzy zdecydowali, że wraz ze śmiercią któregoś z nich umiera i postać powieściowa. I tak jest do dziś.

Bywały i inne przypadki. Ktoś, kto (jak np. jedna z kolejnych żon Sokorskiego, Barbara Klimkiewicz) wyjechał na Zachód i lektorował we wrażliwych rozgłośniach,



Jan Ciecierski

ten zniknął z polskich anten, w tym i z „Matysiaków”. Ruchy personalne w rodzinie spowodował też stan wojenny i aktorski bojkot radiowej anteny. Z perspektywy czasu niesłuszny: w przeciwieństwie do TV, radio potrafiło zachować przyzwoitość. Ale niektórzy aktorzy, jak np. Stefan Friedman, występować w nim nie chcieli. I Gienkiem Matysiakiem został Jerzy Bończak.



Stanisława Perzanowska

Przez 45 lat „Matysiaków” trzy pokolenia mieszkańców i gości domu przy Dobrej reprezentowało ponad 400 aktorów.

Pralka pani Helenki

List, który nadszedł po pierwszym odcinku na adres Józefa Cyrankiewicza: „Towarzyszu Premierze! W ostatnią niedzielę października br. w Polskim Radio program drugi jakichś dwóch mężczyzn, przy wódce, ale i piwie, rozmawiało na całą Polskę o naszym pierwszym sekretarzu naszej partii, żeby nie jechał do Moskwy, bo nieraz niejeden już tam pojechał, a wrócił w trumnie. Do tego wszystkiego, mówili o pierwszym sekretarzu naszej partii, to jest o towarzyszu Władysławie Gomułce, per »Władek«. Ja, jako rębacz przodowy kopalni »Makoszowy«, po porozumieniu się z aktywnym naszej kopalni, stanowczo i energicznie protestujemy przeciw takiemu poniżaniu naszego przywódcy, a was, Towarzyszu Premierze, prosimy o pociągnięcie do odpowiedzialności za takie postępowanie tow. Sokorskiego, że dopuścił, aby tacy wro-

MILCZENIE cichego beatlesa



Anglia
pograżyła się
w żałobie,
świat stracił
kolejnego
wielkiego
muzyka –
GEORGE'A
HARRISONA.

W Liverpoolu flagi narodowe opuszczono do połowy masztów. Przed studium przy Abbey Road zapalono tysiące zniczy, a podczas zmiany warty w Buckingham Palace grano najbardziej znane utwory The Beatles. George Harrison, współzałożyciel i gitarzysta legendarnej czwórki, odszedł 30 XI br. Miał 58 lat.

Kiedy myślimy o The Beatles, od razu przypominamy sobie Johna

Lennona i Paula McCartneya. Harrison zawsze jawi się jako ten trzeci – najbardziej niedoceniony, a zarazem najbardziej utalentowany muzyk z czwórki. Jego przygoda z muzyką rozpoczęła się ok. 1954 r., kiedy to matka małego George'a kupiła mu używaną gitarę. Mniej więcej w tym samym czasie Harrison poznał Paula McCartneya. Na długo przed pojawieniem się Johna Lennona, obaj uczyli się wspólnie gitarowych chwytów i postanowili założyć zespół.

Kiedy w sierpniu 1960 r. The Beatles wyjeżdżali na koncerty w knajpach w Hamburgu, nikt nie spodziewał się, że w ciągu niecałych dwóch lat staną się najpopularniejszym zespołem rockowym wszech czasów. George był z nich wszystkich najmłodszy. Gdy zostało to odkryte przez niemieckich urzędników – Beatlesów deportowano: Harrison nie posiadał uprawnień do pracy. Była to najbardziej znacząca deportacja w historii muzyki rozrywkowej. Wtedy bowiem wyklarował się ostateczny skład The Beatles: John Lennon, Paul McCartney, George Harrison i Ringo Starr.

Od początku liderem zespołu był John Lennon. Wraz z Paulem stworzyli najsłynniejszy duet kompozytorski świata. Harrison stał zawsze z boku, był najbardziej nieśmiały z całej czwórki.

Something

Na początku miał problemy z koncentracją podczas koncertów, z trudem przyzwyczajał się do coraz większych tłumów fanów. Zamknął się w sobie i poświęcił uwagę wyłącznie muzyce i doskonaleniu techniki gry.

Lennon i McCartney tworzyli medialny wizerunek grupy, Harrison był dojrzałym i pewnym swych umiejętności muzykiem. To właśnie on odkrył dla zespołu kulturę i religię Dalekiego Wschodu oraz indyjski instrument – sitar. Jako pierwszy w historii muzyki rockowej wprowadził sitar na stałe do rockowego instrumentarium. O ile pierwsze użycie tego instrumentu w „Norwegian Wood” przypominało bardziej grę na mandolinie, to w „With In You Without You” (album „Sgt Pepper's Lonely...”) było już mistrzowskie.

Harrison nie był tak dobrym wokalistą jak Lennon, więc uczył się, ćwiczył głos, doprowadzając go do perfekcji, co udowodnił podczas sesji nagraniowej do albumu „Revolver”. Otwierający płytę „Taxman”, w całości zaśpiewany przez Harrisona, jest naprawdę wspaniały. To dotyczy również jego kompozycji. Nieliczne utwory Harrisona śmiało konkurowały z twórczością Lennona i McCartneya, posiadały też charakterystyczny, rozpoznawalny styl. „Something” – jedyny singiel jego autorstwa, który znalazł się na szczycie listy przebojów – Frank Sinatra uznał za najlepszą balladę miłosną, jaką słyszał.

Początki solowe

Jeszcze przed rozpadem Beatlesów Harrison jako jedyny wydał album solowy („Wonderwall Music”, 1968 r.). Trudno go uznać za artystyczny sukces, świadczył jednak o tym, iż Harrison był samodzielnym muzykiem.

W 1970 r. The Beatles już nie istnieli. Paul, John i Ringo myśleli o solowych albumach, a Harrison bez większego trudu wydał swoją trzecią

płytę – „All Things Must Pass” (największy sukces kasowy tego muzyka). Żadna solowa płyta Beatlesów nigdy nie sprzedała się tak dobrze. Z tego właśnie krążka pochodzi największy przebój Harrisona, „My Sweet Lord”, uznany – niestety – za plagiat piosenki „He's So Fine” The Chiffons. Proces ciągnął się latami, sporo kosztując muzyka.

Nie zrażony tym zorganizował w 1971 r. pierwszy w historii rocka wielki charytatywny koncert, z którego dochód przeznaczono na pomoc mieszkańcom Bangladeszu. Podczas „The Concert for Bangladesh” na scenie w nowojorskiej Madison Square Garden, prócz Harrisona, wystąpili zaprzyjaźnieni muzycy: Bob Dylan, Eric Clapton.

W życiu prywatnym nie szczęśliwo mu się. Żona Pattie Boyle (modelka, którą poznał podczas nagrywania beatlesowskiego „Hard Day's Night”), zakochała się w przyjacielu artysty, Ericu Claptonie, którego poślubiła po rozwodzie, w 1977 r. Harrison szybko związał się z inną kobietą – Olivią Trinidad Arias, która urodziła mu jedyne dziecko, Dhaniego.

Kiedy życie uczuciowe muzyka unormowało się, jego artystyczna kariera straciła impet. Po „All Things Must Pass” żaden z albumów nie okazał się równie dobry. Sytuacja ta miała się zmienić dopiero w 1981 r.

Śmierć Lennona i kino

Rankiem 9 XI 1980 r. George Harrison dowiedział się o śmierci Johna Lennona. Zebrał wówczas pozostałych Beatlesów i wspólnie nagrali piosenkę „All Those Years Ago” – muzyczny hołd dla tragicznie zmarłego przyjaciela. Ukazała się ona na wydawnym w 1981 r. albumie Harrisona „Somewhere in England”. Nie był to udany album, ale śmierć Lennona i pieśń jemu poświęcona sprawiły, że sprzedawał się bardzo dobrze.

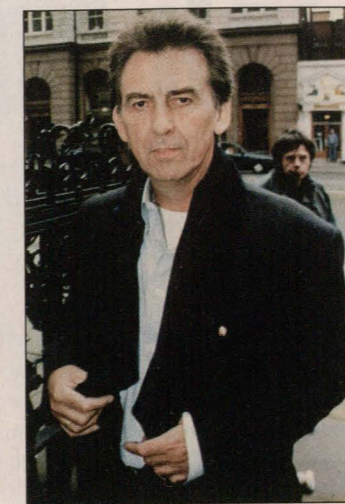
Słabe nagrania Harrisona wynagradzała fanom filmami, których był producentem. To on przyczynił się do powstania kontrowersyjnego, ale przeżabawnego filmu „Żywy Brian”. Michael Palin, członek Latającego Cyrku Monthly Pythona, tak wspominał współpracę z Harrisonem: „To on nazywany był «Cichym Beatlesem»? Jak tylko się poznaliśmy, zaczął mówić, mówił bez przerwy, nie dopuszczając żadnego z nas do głosu”.

Harrison znał się na filmie. Miał poczucie humoru i zmysł krytyczny, co zaowocowało firmą HandMade Films i kilkoma znakomitymi produkcjami, np. „Mona Lisa” Neila Jordana, „Tor 69” Nicholasa Roega czy „Time Bandits” Terry'ego Gilliana. Sam często komponował muzykę do filmów i grywał epizodyczne role. Niestety, w 1994 r. HandMade Films, w wyniku złych inwestycji finansowych, zostało wchłonięte przez Paragon Entertainment Corp.



Najpopularniejszy zespół rockowy wszech czasów.

W roku 1987 wszystko zaczęło się od albumu „Cloud Nine”. Ten pierwszy od wielu lat krążek muzyka wypełniały kompozycje spójne, na wysokim poziomie. Zabrakło jednak piosenki na drugą stronę singla. Harrison zwrócił się o pomoc do swojego producenta, Jeffa Lynne'a. Lider Electric Light Orchestra zaproponował prywatne, domowe studio Boba Dylana. Harrison musiał tylko ode-



brać swoją gitarę od Toma Petty'ego. Gdy ten usłyszał o planowanym nagraniu, zaofiarował pomoc. W drodze do studia Harrison, Lynne i Petty spotkali Roya Orbisona (Lynne był producentem jego nowej płyty).

Cud supergrupy

Pięciu znakomitych muzyków spotkało się razem, by nagrać dla kolegi jedną piosenkę – „Handle with Care”. Kiedy Harrison zademonstro-

wał nagranie przez Lennona pod koniec lat 70. Ukazały się one na trzyczęściowej składance „Anthology”.

Do wspólnego koncertu nigdy jednak nie doszło. Najprawdopodobniej były to ostatnie premierowe utwory, jakie zarejestrował zespół The Beatles.

W 1997 r. u George'a Harrisona – nałogowego palacza – wykryto raka krtani. Przez rok poddawany był naswietlaniom. Choroba cofnęła się, dając złudną nadzieję na wyzdrowienie.

W nocy 30 XII 1999 r. chory umysłowo Michael Abram włamał się do posiadłości muzyka i zaatakował śpiącego nożem. Gdyby nie żona Harrisona, Abram zabiłby go. Obezwładniła napastnika nocną lampką. W sądzie Michael Abram został uznany za niebezpiecznego i zwolniony z odpowiedzialności karnej. Harrison po raz kolejny uniknął śmierci. W dwa lata później już mu się to nie udało.

Nawet na kilka tygodni przed śmiercią nie opuszczał go czarny humor. Na początku listopada nagrał z synem piosenkę „Horse to the Water” i założył nową firmę fonograficzną. Nazwał ją RIP Ltd, czyli „Spoczywaj w pokoju”.

Zmarł jako człowiek pogodzony z własnym losem. W oświadczeniu dla prasy jego żona napisała: „Życzeniem George'a było, aby poprosić was wszystkich, byście do swoich serc wpuścili odrobinę miłości i zrozumienia, i kochali się tak, jak on kochał was wszystkich”.

ROBERT ZIĘBIŃSKI

PAUL MCCARTNEY:

Był kochanym i bardzo odważnym człowiekiem z niesamowitym poczuciem humoru. Zawsze traktowałem go jak młodszego brata. Byliśmy kumplami ze szkoły. Razem zakładaliśmy The Beatles i razem przeżyliśmy całe zamieszanie dookoła tego. To naprawdę smutny dzień. Jeszcze kilka tygodni temu widzieliśmy się i zaśmiewaliśmy do rozpuku. Teraz jego muzyka będzie żyła wiecznie.

RINGO STARR:

George był moim najlepszym przyjacielem. Kochałem go i będę za nim bardzo tęsknił. Będzie mi brakowało jego poczucia humoru, rozumienia miłości i muzyki...

Zamykanie pewnych rozdziałów

Na początku lat 90. Harrison wycofał się z muzycznego rynku. W 1996 r. trzej muzycy spotkali się znów razem, aby pod szyldem The Beatles nagrać dwie „nowe” piosenki – „Free As a Bird” i „Real Love”. Komponowali muzykę do linii melodycz-



FOT. PATRYK JORDANOWICZ

Łódź inna niż Wenecja

Festiwal sztuki operatorskiej Camerimage po raz drugi odbył się w Łodzi. Tym razem bez emocji.

„Łódź, w przeciwieństwie do Wenecji, to dobre miasto do organizowania festiwalu filmowego, bo jest smutna, szara i przygnębiająca. Tutaj, poza oglądaniem filmów, nie ma co robić, więc wcale nie chce się wychodzić z kina. W Wenecji myśli się tylko o pięknych widokach i zabytkach. Camerimage to intymny festiwal, czuję się tu bliżej sztuki filmowej niż biznesu, jak w Cannes” – tak o łódzkim festiwalu mówił operator filmowy i juror festiwalu, Phedon Papamichael.

Głównymi bohaterami Camerimage są operatorzy. Jak prawdziwe gwiazdy kina, czyli aktorzy i reżyserzy, są różni. Jedni są cynicznymi wyrobnikami, inni wielodusznymi artystami. Zwykle jednak nie trafiają na pierwsze strony gazet. Tu jest inaczej – dlatego wracają do Łodzi. Nie ma wielu miejsc, w których słyszą brawa, gdy w czołówce filmu pojawia się ich nazwisko. Nie wyczuwa się tu również mocnej rywalizacji. To bardziej święto kina i towarzyskie spotkanie niż impreza promocyjna.

Cień Malkovicha

Widzowie festiwalu niecierpliwie oczekiwali na przyjazd amerykańskiej gwiazdy, Johna Malkovicha. Jego obecność miała uświetnić projekcję nowego filmu, w którym zagrał – „Cień wampira”. Sala wypełniła się po brzegi, film otrzymał gromkie brawa. Krążące plotki o absencji aktora



FOT. DANIEL KUMCZAK / AG

Operator Vittorio Storaro odbiera dyplom doktora honoris causa łódzkiej PWSFTViT.

potwierdziły się, ale nie doczekało się to komentarza ze strony organizatorów. Konferansjer, zwykle rezydent, nie odważył się wyjść na scenę i złożyć oficjalnych wyjaśnień. Optymistom próbowano zasugerować opuszczenie, gasząc światła. W końcu miły głos z głośnika poinformował, że konferencja nie odbędzie się. Sala opustoszała, pozostał niesmak. Malkovich przyjechał dopiero dwa dni później, wpadł na chwilę i wyjechał, by obchodzić urodziny w domu. Widzom pozostało przekonanie, że to stała metoda festiwalu – przyciągnąć obietnicą gwiazd, a potem mówić, że „z przyczyn niezależnych...”.

Łódź na mieliznie

Choć napięcie na Camerimage rośnie zazwyczaj powoli i żmudnie, w tym roku na hitchcoco-

wski trzęsienie ziemi czekano nadaremnie. Dla wielu Camerimage 2001 należy do najmniej udanych. Można puścić w niepamięć drobne niedociągnięcia organizacyjne, których nigdy nie udało się uniknąć, jednak zasmucała mała liczba filmów. W ubiegłych latach narzekano na zbyt rozbudowaną formułę. W tym roku organizatorzy popadli w inną skrajność. Poza projekcjami w Teatrze Wielkim niewiele się działo. Zabrakło pokazów towarzyszących w innych kinach, a w konkursie znalazło się 14 tytułów, choć wcześniej było 20.

Rozprężenie widać było również w biurze festiwalowym. Obsługa przyznawała, że nie miała wiele pracy. Również konferencje prasowe nie cieszyły się powodzeniem jak przed rokiem. Wówczas nie sposób było dostać się do sali konferencyjnej bez akredytacji, a przed wejściem ustawiały się kolejki chętnych. Tym razem – pustawo.

Całuj Żabkę w łapkę

Operatorzy podkreślają, że ich praca to przede wszystkim rzemiosło. Najważniejsza jest wizja reżysera. Zdjęcia są jej podporządkowane, muszą z nią korespondować. I właśnie takie filmy zdobywają tu nagrody. Te naprawdę ciekawe i wizualnie nowatorskie zwykle poza festiwalem są trudno dostępne, a werdykt jury Camerimage zazwyczaj je pomija.

Tym razem takich obrazów nie było. Owen Roizman, autor zdjęć m.in. do „Egzorcysty” i „Francuskiego łącznika”, nagrodzony w 2001 roku Złotą Żabką za całokształt twórczości, pytany o tajemnicę udanej pracy z reżyserami, przyznał, że nie zawsze konsultuje z nimi swoje koncepcje. Kandydaci na zwycięzców tej edycji najwyraźniej nie mogli lub nie chcieli tej możliwości wykorzystać.

KATARZYNA MACIOŁ, KAMILA PAWLIK

ROZMOWA Z BILLYM WILLIAMSEM, LAUREATEM ZESZŁOROCZNEJ SPECJALNEJ ZŁOTEJ ŻABY ZA CAŁOKSZTAŁT TWÓRCZOŚCI, ZDOBYWCĄ OSCARA ZA ZDJĘCIA DO FILMU „GANDHI”.

Film jak romans

Co pan sądzi o współczesnej sztuce operatorskiej?

Nowe technologie uczyniły filmowanie prostszym, co odbija się w stylu. Wszyscy oglądają dziś telewizję. Młodzi ludzie są więc przyzwyczajeni do szybszego, bardziej spektakularnego tempa opowiadania historii.

Trudno jest im oglądać starsze filmy.

Myślę, że się nudzą. Potrzebują nieustannej zmiany obrazów. W dobie komputerowej obraz

może być dowolnie manipulowany. To obszar problematyczny dla operatora, bo wszystko, co stworzy, może być zmienione. Stracił kontrolę nad obrazem. W przyszłości stanie się to powodem walki.

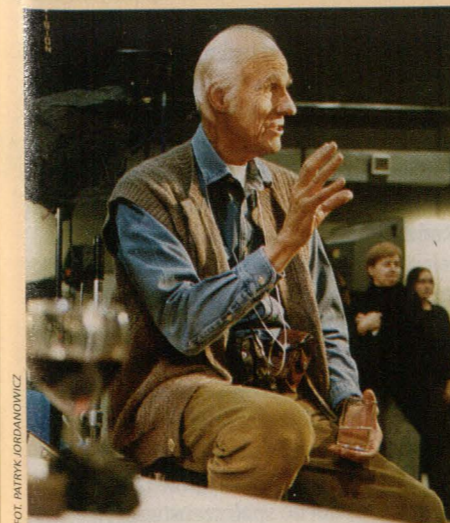
Co jest dla pana najcenniejsze w operatorstwie?

Poznałem rzeczy, których z pewnością nie przeżyłbym w innym zawodzie. Film to wspaniałe doświadczenie, jest jak romans. Kiedy się kończy, nie wiesz, co ze sobą zrobić. To

trwa, nim wrócisz na ziemię, do normalnego życia, rodziny. Poza tym pozwala doświadczyć tylu rzeczy i pracować z wieloma reżyserami. Każda historia to inne postaci, inne części świata.

Czy myślał pan o reżyserowaniu?

Kiedyś mnie o to pytano. Aby odnieść sukces w tym zawodzie, trzeba naprawdę rozumieć opowiadaną historię i wiedzieć, jak pracować z aktorami. Ja nie czułem, że mam te zdolności. Przy okazji zeszłorocznego seminarium w Łodzi



FOT. PATRYK JORDANOWICZ

zastanawiałem się, czym zajmowali się wcześniej reżyserzy, z którymi pracowałem. Okazało się, że był wśród nich operator, producent, architekt, asystenci reżysera, pisarze i aż dziesięciu aktorów.

Czy żałuje pan odmowy realizacji jakiegos filmu?

Stając się uznanym operatorem, często musisz wybierać. To w sumie jest dobre. Żałuję, że nie zostałem operatorem „Przebudzenia” z De Niro i Williamsem. Kiedy reżyser Penny Marshall zwróciła się do mnie – odmówiłem. Sądziłem, że to nie będzie dobry wizualnie film. Później okazało się, że nominowano go do Oscara za najlepsze zdjęcia. Zobaczyłem i pomyślałem: dlaczego to nie ja go zrobiłem?

NOWOSC
S.P. RECORDS
I SŁABEGO
STUDIA SP

PLAY
FOREVER



PLAY
PŁYTA



PLAY1973@INTERIA.PL

PRZE
KRÓC

maliska

radiostacja

egm.pl

machina

fluid

Na Urszulę choroba spadła jak grom z jasnego nieba. Urzędniczka na poczcie przez kilka minut nie mogła znaleźć listu do niej. Urszula miała wrażenie, że trwa to całą wieczność. I coś w niej pękło. Wpadła w szał. Krzyczała, machała rękami, w końcu wybiegła na ulicę. Nie pamięta, jak dotarła do domu. Minęło już siedem lat od tamtego zdarzenia. Urszula ma 34 lata.

U Marka zdarzały się takie momenty, kiedy nachodziła go taka dziwna pustka w głowie albo jakaś uporczywa myśl nie dawała spokoju tak długo, że wpadał w panikę. Przestał dbać o siebie, często chodził do kościoła. Słyszał głos Matki Boskiej i to dawało mu siłę. Tak mu się przynajmniej wydawało. – Czasem miałem wrażenie, że sufit spada mi na głowę. Bałem się patrzeć w górę – mówi dziś 28-letni Marek.

Przytłoczeni światem

Schizofrenia to choroba dziwna i tajemnicza. Wielki polski psychiatra, prof. Antoni Kępiński, pisał: „Schizofrenia najdłużej zatrzymała znaną opętania przez moce tajemne. Niejasne i ogólnikowe pojęcie szatu i obłąkania dopiero w drugiej połowie XIX wieku poddano próbom klasyfikacyjnym”.

Najczęściej opisywane w literaturze pięknej i fachowej objawy tej choroby to omamy i urojenia. Człowiek słyszy głosy, np. Matki Boskiej albo Jezusa. Czasem te głosy mu grożą, a czasem nakazują takie lub inne działania. Chory czuje się zbawicielem bądź uzdrowicielem i chce w związku z tym pomagać ludziom. Zdarza się, że roi sobie wielką miłość i w ten sposób zaspokaja pragnienie, by być kochanym, albo rodzi się w nim niepokój i niepewność co do wierności partnera (urojenia zazdrości).

– Chory na schizofrenię chowa się we własnym wewnętrzny świecie przed tym, co psychiatrzy opisują jako „przytłoczenie światem”. Wyraża się to w załamaniu witalności, aktywności, granic własnego Ja i tożsamości. Przeżycia psychotyczne przypominają doświadczenie snu, podczas którego rozmawiamy ze zmarłymi, przemieszczamy się w czasie czy

Hotel



Budynek, w którym powstanie hotel przy ul. Bałuckiego.

nadziei

W Krakowie powstanie luksusowy, kameralny hotel, w którym zatrudnienie znajdą osoby chore na schizofrenię.

uczestniczymy we własnym pogrzebie – mówi dr Andrzej Cechnicki, adiunkt Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ, koordynator programu „Schizofrenia – otwórzcie drzwi”.

Podatni na zranienie

Choroba najczęściej ujawnia się między 20. a 30. rokiem życia. Dość powszechna jest opinia, że dotyczy ludzi szczególnie wrażliwych. Kępiński pisał: „Schizofrenia trafia często umysły wybitne i subtelne”.

Cierpiał na nią dramaturg August Strindberg. Gerard de Nerval, którego surrealiści uważają za swego prekursora, tworzył – według własnych słów – jedynie wówczas, gdy był nawiedzany przez swe „alter ego”, któremu przypisywał nieziemskie, magiczne właściwości.

Psychotyczne doświadczenia córki Jamesa Joyce’a wywarły prawdopodobnie duży wpływ na język jego prozy, pełnej dziwacznej symboliki, halucynacyjnych scen i odległych skojarzeń.

– Nie ma wątpliwości, że schizofrenia to choroba ludzi, którzy mają, podobnie jak artyści, szczególnie wyostrzony zmysł wrażliwości i wyjątkowo delikatną strukturę osobowości. Takie osoby bardzo łatwo skrzywdzić i zranić – mówi Agnieszka Lewonowska ze Stowarzyszenia Rodzin „Zdrowie Psychiczne”.

Przełamywanie stereotypów

Bardzo często mówimy: schizofrenik, wariat, świr, paranoik. Używamy tych określeń wymieniane i bez żadnej refleksji.

– Człowiek chory nie jest ani bardziej, ani mniej agresywny od innych. Częściej zdarza się, że zrobi krzywdę sobie niż komuś innemu – mówi dr Cechnicki.

– Choroba psychiczna zmienia całkowicie sytuację życiową chorego i jego najbliższych. Osoby cierpiące są zwalniane z pracy, odsuwają się od rodziny, tracą przyjaciół i znajomych, popadają w izolację. Leczą się, potem zwykle przechodzą na rentę, co drastycznie pogarsza ich sytuację materialną. Próbuje wrócić do swojego dawnego środowiska, ale zazwyczaj nie mogą się w nim odnaleźć. Zdarza się też, że znajdują się na granicy bezdomności. Chcemy to zmienić – podkreśla Agnieszka Lewonowska. – Jeśli rodzina i środowisko nie pomogą takiej osobie wrócić, to może ona pozostać na etapie izolacji. Ratunkiem jest nauczenie jej na nowo samodzielności.

Wprowadzenie w życie programu „Schizofrenia – otwórzcie drzwi” polegać ma więc nie tylko na szeroko zakrojonej akcji edukacyjnej i informacyjnej, ale także na rehabilitacji oraz tworzeniu miejsc pracy dla osób chorych. W Krakowie zajmują się nim trzy stowarzyszenia: Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Psychiatrii i Opieki Środowiskowej, Stowarzyszenie Rodzin „Zdrowie Psychiczne” i Stowarzyszenie Pacjentów „Otwórzcie Drzwi”.

Rehabilitacja przez pracę

W kawiarni „Miodowa” na krakowskim Kazimierzu od siedmiu lat pracują osoby chore. Wcześniej często trafiały do szpitala, bo choroba raz po raz dawała o sobie znać. Odkąd mają zatrudnienie, w zasadzie w ogóle się to nie zdarza. Ten pionierski w Polsce program rehabilitacji przez pracę uruchomiono dzięki fundacji „Hamlet”, pomagającej osobom po kryzysach psychicznych.

– Okazuje się, że praca nie tylko wpływa na korzystny przebieg choroby, ale też ogranicza liczbę hospitalizacji, a tym samym zmniejsza koszty leczenia – dowodzi dr Cechnicki. – Praca daje tym ludziom sens życia, szansę na przełamanie stereotypów i uprzedzeń oraz powrót do społeczeństwa.

– Pierwowzorem naszego przedsięwzięcia jest hotel „Gest Haus” w Edynburgu. Funkcjonuje on już z powodzeniem od 10 lat. Jedynie czteroosobową dyrekcją tego hotelu stanowią osoby zdrowe – mówi Agnieszka Lewonowska, menedżer krakowskiego projektu. – Na zachodzie tworzone są tzw. firmy społeczne, które zatrudniają osoby niepełnosprawne. Jako przedsięwzięcia czysto komercyjne muszą przynosić dochody i same się utrzymać. Polskie prawo firm społecznych nie przewiduje, ale od ubiegłego roku, zgodnie z rozporządzeniem ministra pracy i polityki społecznej, możliwe stało się utworzenie tzw. zakładu aktywności zawodowej. Koszty uruchomienia takiego zakładu mają być w części finansowane przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Fundusz może też pokrywać w przyszłości część wynagrodzenia osób chorych.

Kursy i praktyki

Status zakładu aktywności zawodowej nadaje wojewoda.

– Mamy już promesę – cieszy się Agnieszka Lewonowska. – Występując z projektem utworzenia takiego zakładu musieliśmy określić dokładnie – zgodnie z przepisami prawa – jakie osoby będą u nas pracować. W usługach jedna osoba zdrowa musi nadzorować trzy chore. Jeśli więc w naszym hotelu będzie pracować 21 osób niepełnosprawnych, to musimy dodatkowo zatrudnić 7 osób zdrowych.

Hotel powstaje w zabytkowym budynku przy ul. Bałuckiego 6. Gmina użyczyła nieruchomości Stowarzyszeniu Rodzin na 10 lat. Inwestycja kosztować ma około dwóch milionów złotych. Dofinansowanie w wysokości 560 tys. złotych stowarzyszenie otrzymało z Londynu z organizacji pozarządowej „Community Enterprise Limited”, której krakowski projekt bardzo się spodobał. Liczą też na hojność sponsorów.

Hotel będzie miał 14 pokoi (około 30 miejsc noclegowych), salę konferencyjną na 40 osób oraz zaplecze rehabilitacyjne. Obecnie zakończono już remont części budynku. Odbywają się szkolenia przyszłych pracowników.

– Nie prowadziliśmy specjalnego naboru. Są to nasi podopieczni z oddziałów dziennych Kliniki Psychiatrii Dorosłych Szpitala Uniwersyteckiego bądź uczestnicy warsztatów terapii zajęciowej, prowadzonych przez krakowskie stowarzyszenia – wyjaśnia Agnieszka Lewonowska. – Nawet jeśli część z tych osób nie zostanie zatrudniona w naszym hotelu, to będziemy się cieszyć, że podniosą swoje kwalifikacje, nauczą się czegoś czy przełamią barierę spowodowaną chorobą, a w przyszłości znajdą pracę gdzie indziej.

– Kandydaci na pracowników potrzebują nie tylko wiedzy i umiejętności z zakresu hotelarstwa i gastronomii, ale także treningu kompetencji społecznych – mówi dr Cechnicki.

W kawiarni „Miodowa” i w hotelu „Regent” przyszli pracownicy hotelu uczą się nakrywać i podawać do stołu. – Bardzo zależy nam na tym, aby zajęcia praktyczne odbywały się w autentycznych warunkach. Nawiązaliśmy także kontakt z hotelem „Holiday Inn”. Mamy nadzieję, że już wkrótce nasi podopieczni będą mogli i tam przejść praktyki – mówi pani menedżer.

Hotel ma być gotowy do końca 2002 roku. – Nie będziemy reklamować się jako miejsce, w którym pracują chorzy psychicznie, ale nie zamierzamy też tego ukrywać. Podobnie jak w kawiarni przy ul. Miodowej, znajdzie się gdzieś na pewno jakaś dyskretna informacja na ten temat.

W kawiarni nigdy nie doszło do żadnego nieprzyjemnego zdarzenia, nigdy też żadna z chorych osób nie stwarzała problemu. Lokal ma swoich stałych, zadowolonych klientów.

Wszyscy, którzy zaangażowali się w tworzenie hotelu, wierzą, że przedsięwzięcie odniesie sukces. Większość przyszłych zysków przeznaczona będzie na działalność rehabilitacyjną, której celem ma być usamodzielnienie osób chorych.

BARBARA PAJCHERT

Fot. JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

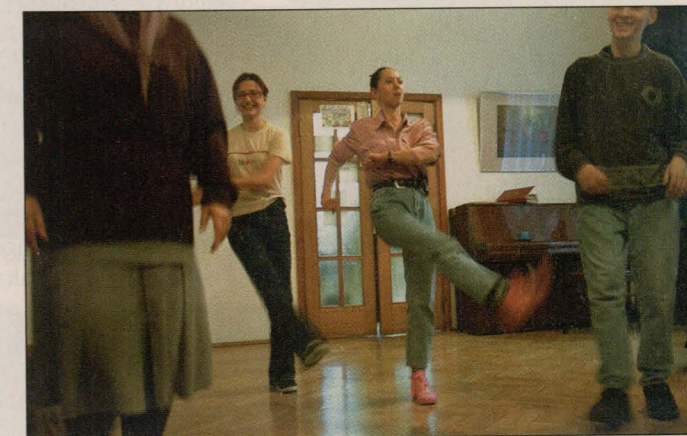
Podajemy numer konta Stowarzyszenia Rodzin „Zdrowie Psychiczne”, na które można wpłacać pieniądze na projekt hotelu. BGŻ oddział wojewódzki, Kraków 20301459-9595-2756-99



Warsztaty terapii zajęciowej na ul. Miodowej – kuchnia to miejsce spotkań, rozmów i pracy.



warsztaty plastyczne,



zajęcia z aerobiku.

Schizofrenia – najcięższa i najczęstsza choroba psychiczna.

Choruje na nią 1 proc. populacji, czyli ponad 50 mln ludzi. Tak samo często chorują mężczyźni i kobiety. Ujawnia się najczęściej w wieku 15–30 lat. Liczbę chorych w Polsce szacuje się na około pół miliona.

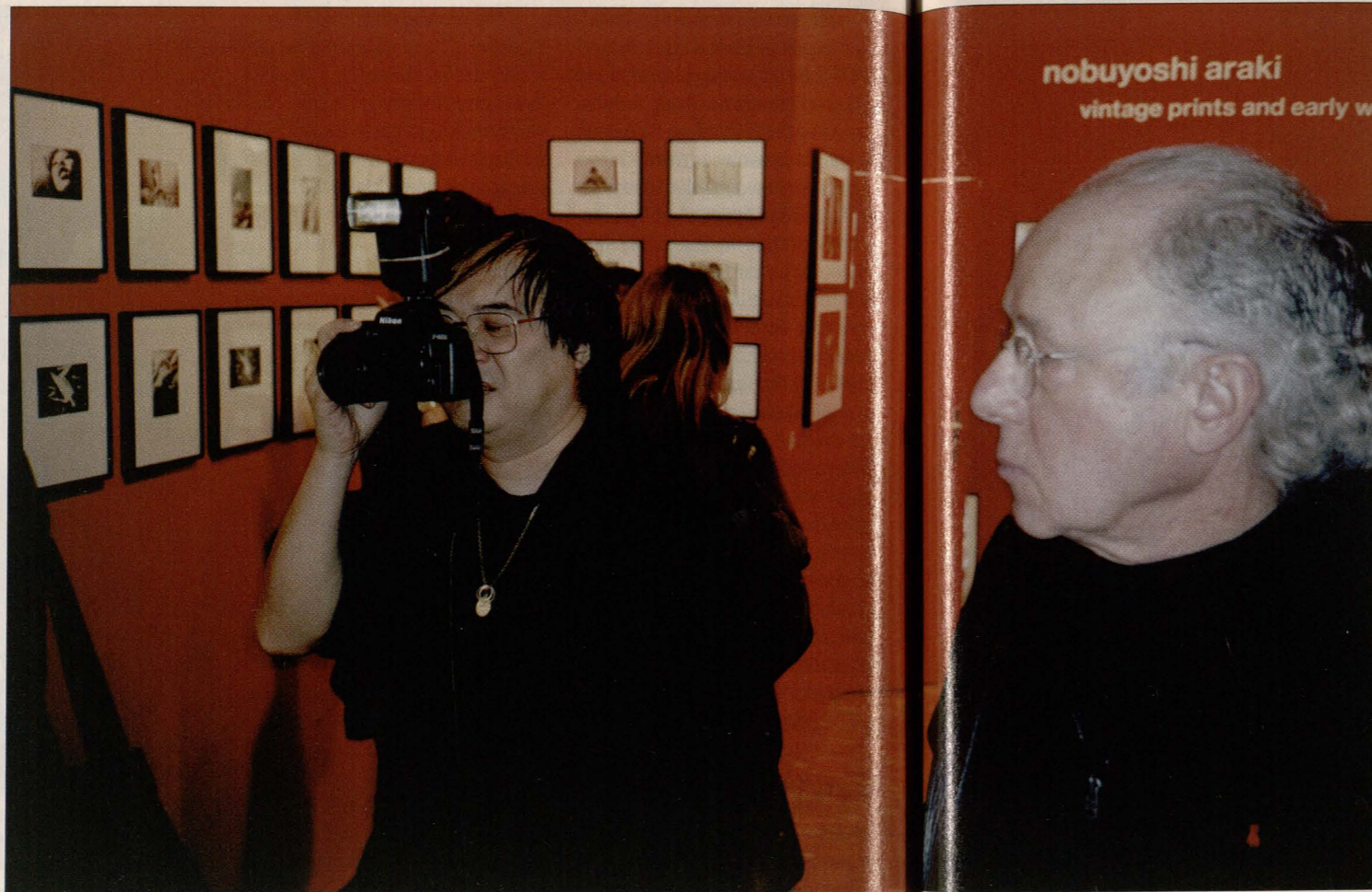
Przyczyny schizofrenii są wciąż nie do końca poznane. Wymienia się najczęściej uwarunkowania:

- genetyczne (stopień pokrewieństwa nie determinuje zachorowania, lecz wpływa na ryzyko zachorowania);
- egzogenne (zakażenia wirusami w trzecim trymestrze ciąży lub minimalne organiczne uszkodzenie mózgu we wczesnej fazie życia);
- psychogenne – (wpływ środowiska, rodziny, wychowania).

Uwarunkowania te decydują o podatności na chorobę. Do jej wystąpienia potrzebny jest jeszcze stres.

Od kilku lat Francuzi organizują największe pokazy światowej fotografii.

Paris Photo 2001



Ekspozycja szwajcarskiej galerii Bob van Orsouw.

Obcowanie z oryginalnymi dziełami największych fotografików należy do wielkiej rzadkości. Zazwyczaj poprzestaje się na albumach, na które nastąpiła ostatnio moda także w Polsce. Ale żaden album nie zastąpi bezpośredniego obejrzenia zdjęć Irvinga Penna czy Diany Arbus.

Czesi i nagości

Tematem paryskiego Salonu Fotografii w 1999 r. był akt, w roku 2000 dominował portret. Tegoroczny pod ogólnym, a nawet ogólnikowym tytułem „Fotografia XIX i XX wieku”, krył niejednolite, często chaotyczne oblicze. Najbardziej zaskoczyła fotografia czeska, i to nie reprezentowana przez rodzime galerie, tylko francuskie, niemieckie czy amerykańskie. Po powrocie zaproponowałem kolede, żeby wymienić jakiegokolwiek nazwisko fotografa czeskiego. Podał Franciszka Drdikola. Sprawdziłem w katalogu. Oczywiście był.

Obowiązkowa wzmianka o udziale Polaków ograniczyć się powinna właściwie do dwóch słów – poczucie wstydu. Pokazaliśmy jedynie trzy zdjęcia: dwie reprodukcje autoportretu Romana Opałki (nie znalazłem wyeksponowanych oryginałów) oraz małą fotografię

mieszkającego na stałe w Paryżu znakomitego, choć w Polsce mało znanego Krzysztofa Pruszkowskiego.

Sporo było nagości i erotyzmu, choć oczywiście mniej niż przed dwoma laty. Od małych pornograficznych dagerotypów (już w 1850 r. istniał popyt na zakazane obrazki), przez wspomnianych już Czechów i klasyków pokroju Helmuta Newtona, do prowokacyjnych fotografii Bettiny Rheims. Dlaczego tyle nagości? Erotyka zawsze dobrze się sprzedaje.

Oryginały Sander

Gdy Augustowi Sanderowi naziści pod koniec lat 30. odbierali kolekcję jego fotografii, musiał się czuć jak po stracie najbliższych. Hitlerowcy skonfiskowali mu odbitki wraz z negatywami. Większość z nich została zniszczona lub zaginęła. Tym bardziej cenne i rzadkie są dziś nieliczne zachowane oryginały z jego kolekcji. Częstsze są odbitki z portretami ludzi, którym udało się je zakupić. Ciekaw jestem, jaką minę miałby August Sander, gdyby jak ja miał okazję być świadkiem następującej rozmowy podczas salonu:

Zażywny jegomość z Ameryki z siwą brodą: – To August Sander, nieprawdaz?

Galerzysta: – Tak.

– Może mi pan powiedzieć, ile kosztuje ta odbitka?

– Proszę pana, to fotografia z serii skonfiskowanej przez nazistów...

– Wiem, czy może mi pan zdradzić ich cenę?

– Widzi pan ten, tego... to autorskie odbitki wykonane przez samego Sander...

– Dobrze, czy może mi pan wreszcie powiedzieć, jaka jest ich cena?

– Ta tutaj kosztuje 65 tys.

– Franków?

– Nie, dolarów...

Nie wiem, czy Amerykanin z białą brodą kupił tę, która podobała mu się najbardziej, ale cena nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia. Herr Sander, skromny fotograf z własnym zakładem rzemieślniczym, portretujący z ogromną przenikliwością przedstawicieli społeczeństwa międzywojennych Niemiec, nigdy nie widział na oczy takiej sumy.

Talbot pod aksamitem

Talbotypie to rodzaj odbitek fotograficznych. Nazywają się tak śmiesznie od nazwiska pewnego fotografa, który prawie 150 lat temu

nobuyoshi araki
vintage prints and early w



koniec zgodnie unieśli czarny aksamit w górę. Pstryk i zdjęcie było gotowe.

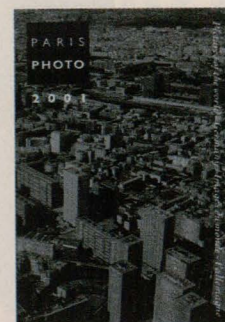
Araki w wersji Sumo

Podczas salonu można kupić mnóstwo książek o fotografii. Są to albumy ze zdjęciami tych, którzy w fotografii odegrali lub nadal odgrywają znaczącą rolę. Na tym polu również można być zupełnie innym od konkurencji. Decyduje nie tylko jakość fotografii, ale i forma jej pokazania.

Dwa lata temu niemieckie wydawnictwo Taschen wydało album, reklamowany jako „największa książka XX wieku”. To olbrzymia monografia Helmuta Newtona. Książka jest tak wielka i ciężka, że zaprojektowano do niej specjalny stojak. Autorem jego projektu jest sam Philippe Starck. Giganta można

kupić (bagatela!) już za 10 000 franków, czyli równowartość około 6000 zł. Aha – zapomnielibym o wymiarach – 50x70 cm, waga – 33 kilogramy.

W tym roku Taschen wydał następną pozycję z serii Sumo (bo tak pieszczotliwie nazywano pomysł wydawnictwa). Tym razem uhonorowany został Nobuyoshi Araki, dla wielu fotograf kontrowersyjny z powodu ulubionej tematyki. Araki pokazuje to, co go fascynuje i stanowi kawał jego życia – wizyty w japońskich burdelach i prywatne sesje erotyczne o zabarwieniu sadomaso. Ale w albumie można obejrzyć przenikliwe portrety i piękne zdjęcia kwiatów. Książka jest nieco mniejsza od albumu Newtona i waży tylko... 25 kilogramów.



TEKST I ZDJĘCIA
MAREK SZCZEPAŃSKI



W. H. Fox Talbot za aksamitną zasłonką.



August Sander za 65 tys. dolarów.

Zagrożony jest nie Jan Paweł II, bo on nie jest wrogiem świata islamskiego, ale Bazylika św. Piotra jako symbol chrześcijaństwa.



SYLWIA WYSOCKA Z RZYMU

WATYKAN POD SPECJALNYM NADZOREM

Policjanci spacerują po placu św. Piotra w strojach księży. Przebrani za pielgrzymów agenci z wytresowanymi wilczurami zaglądną do koszy na śmieci, nie udając nawet, że podziwiają bazylikę. Podczas świąt Bożego Narodzenia stolica chrześcijaństwa będzie przypominać prawdziwą twierdzę, której chronić ma niespotykana wcześniej liczba sił porządkowych.

Dzień po zamachach w Ameryce władze Włoch uznały Watykan za potencjalny cel terrorystów i postanowiły wzmocnić jego ochronę. Oliwy do ognia dołał kilka tygodni później wiceminister spraw wewnętrznych, który ostrzegł, że bazylika watykańska jest na pierwszym miejscu obiektów zagrożonych atakiem islamskich fundamentalistów. Jeszcze większą psychozę wywołał dziennik „La Repubblica”, informując, że terroryści planują na grudzień atak na papieża w odwecie za amerykańskie bombardowania Afganistanu w czasie ramadanu.

Pielgrzymi pod specjalnym nadzorem

Na plac przed bazyliką watykańską powróciły zainstalowane na obchody Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 bramki z wykrywaczami metalu. Wszyscy uczestnicy audiencji generalnych i innych wielkich uroczystości poddawani są szczegółowym kontrolom.

Będzie to już drugie z rzędu Boże Narodzenie w Watykanie pod specjalnym nadzorem. Przed rokiem, w obawie o bezpieczeństwo Ja-

na Pawła II, zmieniono program pasterki. Na wiadomość o groźbach terrorystów (wówczas również trop prowadził do Osamy bin Laden, choć jego nazwiska nikt nie wymawiał głośno) papież nie objechał samochodem placu św. Piotra. Tegoroczna pasterka i bożonarodzeniowa msza połączona z papieskim błogosławieństwem „Urbi et Orbi” będzie największym wyzaniem dla włoskich, a także watykańskich sił bezpieczeństwa. Ulice całego Rzymu będą obserwowane wzmocnione patrole. Miasto ma być strzeżone z lądu i z powietrza.

Nieoficjalnie wiadomo, że w Stolicy Apostolskiej z niepokojem śledzi się wszelkie prasowe niedyskrecje na temat ochrony bazyliki i jej okolic. Odpowiedzialnością za to obarcza się zbyt gadatliwych przedstawicieli włoskich służb specjalnych, których zadaniem jest ochrona Watykanu.

Polityka pod choinką

Mieszkający w Rzymie niezależny ekspert od spraw terroryzmu, niegdyś pracownik francuskiego wywiadu, powiedział mi, że już w 1997 roku organizacja bin Laden groziła atakiem na papieża, co spowodowało ogłoszenie stanu najwyższego alarmu. „Teraz – twierdzi – zagrożony jest nie Jan Paweł II, bo on nie jest wrogiem świata islamskiego, ale Bazylika św. Piotra jako symbol chrześcijaństwa, tak jak World Trade Center był ikoną amerykańskiej potęgi finansowej. Nie wiadomo jednak, czy zagrożenie jest realne, czy też władze amerykańskie chcą w ten sposób uczynić

z Watykanu swego sojusznika w walce z Osamą bin Ladenem”.

Znów, tak jak przed rokiem, specjalną ochronę będzie miała choinka na placu, tym razem dar z Rumunii. W roku 2000 przy pochodzącym z austriackiej Karyntii drzewku, przywiezionym przez Jörga Haidera dzień i noc stali policjanci, ponieważ obawiano się, że może zostać podpalone przez przeciwników lidera skrajnej prawicy. Teraz choinka, podobnie jak szopka, zostały uznane za cele strategiczne.

Poczta w rękawiczkach

Nadzwyczajne środki ostrożności obowiązują także w związku z alarmem węglikowym. Najpierw wprowadzono je na poczcie watykańskiej – pracownicy wyjmują listy ze skrzynek i sortują je w specjalnych rękawiczkach. Ma je nawet sekretarka rzecznika Stolicy Apostolskiej Joaquina Navarro-Vallsa, a także pracownicy papieskiej ochrony, podający papieżowi dzieci w czasie audiencji generalnej. Dziennik „Corriere della Sera” poinformował, że Ojciec Święty dostaje do rąk kserokopie adresowanych do siebie listów.

Na razie jednak największy kłopotu przysparzają policji polscy pielgrzymi. Idąc na spotkanie z Janem Pawłem II, zapominają o szczegółowych kontrolach i nie wiedzieć czemu zabierają ze sobą ostre przedmioty. Grupie Polaków, przybyłych na specjalną audiencję z okazji imienin papieża, odebrano kilkanaście scyzoryków i ozdobnych noży.

poczta  kwiatowa

INTERFLORA

Ne ograniczaj swoich życzeń do kartki świątecznej



www.kwiaty.pl

tel. (0-22) 828 95 95

infolinia: 0801 60 46 96



Wystawa w Muzeum Karykatury w Warszawie pokazuje, że nikt nie zapomina łatwo uprzedzeń i stereotypów.

Polak rysuje Niemca, Niemiec Polaka

Świnia obrócona zadem do widza zanurza ryj w korycie. Nie widzimy tego, bo rysownik nie pokazał mordy zwierzaka, ale zasugerował, że właśnie się posila. Druga świnia, chcąc się dorwać do koryta, zwraca się do uczającej w te słowa: „Posuńcie się, kolego!”. Pierwsza świnia obraca się i widz spostrzeżga, że zamiast świńskiego ryja ma lwią paszczę. Ta świnia to oczywiście Niemcy, a świnia proszalna to Polska. Ten prześmiewczy obrazek można zobaczyć na wystawie rysunku prasowego w warszawskim Muzeum Karykatury.

Tematem są polsko-niemieckie relacje – głównie uprzedzenia. Z wystawy wynika, że mają się one składać z samych roszczeń i obaw. Jest tu rów-

nie niezbyt pochlebna opinia o Polakach, streszczająca się w konstatacji, że to naród zacofany, otumaniony religią. No i przede wszystkim jesteśmy złodziejami. Skłonność bowiem do kleptomani wysysamy z mlekiem matki i, będąc w Niemczech, żaden Polak nie może się powstrzymać, żeby nie skubnąć im choć wafelka. To są, proszę państwa, nasze interesy w Berlinie.

Polak złodziej

Powyższe słowa są oczywiście karykaturą sensowną i rozważnej opinii o Polakach. Tak jak karykaturą prawdziwej polskiej rzeczywistości i cha-

rakteru Polaków są opinie niemieckich rysowników, wyrażone w obrazkach. Ale cóż: jak cię widzą, tak cię rysują. I tak Rainer Schwalme włożył w usta swojego rysunkowego, niemieckiego małżeństwa następujące słowa: „My jeszcze nie byliśmy w Polsce, tylko nasze auto”.

Rzeczywiście, niemieckie samochody są w naszym kraju wysoko cenione. Sam uważam niemieckich dizajnerów za mistrzów w projektowaniu aut. Ich linia jest lekka i obiecująca rozkosz szybkiej jazdy. Niemieckie samochody szczególnie dobrze działają na wyobraźnię kobiet i gdybym miał choćby najtańszego volkswagena, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

Sprawie popularności w Polsce produktów niemieckiej motoryzacji poświęcił swój rysunek także Lex Drewinski. „Do Polski i z powrotem” – tak zwie się jego obrazek, na którym widzimy sylwety ludzi siedzących w aucie, a poniżej te same sylwety, ale już bez auta i zwrócone wyraźnie na Zachód. Ten sam Lex Drewinski narysował rzecz zdumiewającą i będącą oskarżeniem zarówno wobec Niemców, jak i chyba całego dawnego bloku wschodniego. Jest to porażający graficzną prostotą napis „Nostalgia”, w którym literę „s” zastąpiono swastyką, a „g” sierpem z wplecionym weń młotem.



Nostalgia. Lex Drewinski.



Wieczne granice. Wiesław Smetek.

Domek nasz mały

No cóż, ta wystawa to historia stereotypów. Polacy to mały naród wcisnięty między dwie potęgi, mały domek między dwoma wysokościami: Niemcami a Rosją. Domek, w którym przecho-wuje się kontrabandę przemyconą z Zachodu. Siedzą w nim biedni ludzie pompujący swój patriotyzm przy pomocy Małysza. Na ścianie portret papieża, pod portretem papieża seksualne ekscesy. Z tego domku wychodzą i wychodzą poddańcze gesty i prośalne umizgi wobec NATO i Unii. Oczywiście ludzie w małym domku panicznie się boją, że członkowie niemieckiego związku wypędzonych wykupią ich ogródek. A wtedy oni sami będą musieli zakładać swój związek. Czasem Niemcy zatrudniają ludzi mieszkających w domku, płacąc im śmieszne pieniądze.

Sprytni Niemcy

Bo to jest tak – Niemcy mają pociągi, które mogą jechać 280 km/godz. Mają nowoczesne tramwaje, a narodowosocjalistyczną architekturę odnawiają i wykorzystują na siedziby niektórych ministerstw. Spowiadają się z kolaboracji ze Stasi i organizują Love Parade, która, gdyby miała swój odpowiednik w Polsce, byłaby wyklęta w oświadcze-

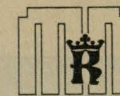
niu episkopatu. Zarobki Niemców są kilkakrotnie wyższe niż nasze, a swego czasu obozy zagłady umieścili sprytnie na polskich ziemiach. No i najważniejsze: mówią po niemiecku, a Polacy jeszcze nie mówią po angielsku. Jakkolwiek by patrzeć, Niemcy kombinują lepiej i mają fajniejsze gadzety. Polska gospodarka jest uzależniona od wymiany handlowej z Niemcami. Jak im będzie źle, to Polakom jeszcze gorzej.

Nie będzie puenty, gdyż i na wystawie jej nie ma. Ten zestaw rysunków to opis sposobu, w jaki Niemcy i Polacy z dawien dawna wzajemnie się nie rozumieją, opis urojeń, jakie uznają za prawdę o sąsiedzie. Nic nie zostało zapomniane i niczego nie darowano. Najlepszym na to dowodem jest niestająca popularność kapitana Klossa.

JACEK NAPIÓRKOWSKI
FOT. PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER



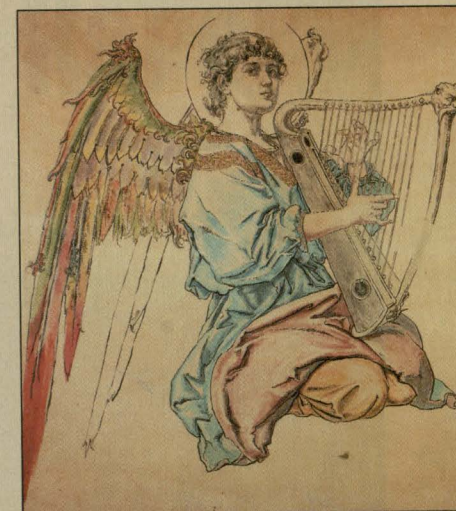
Orzeł patrzy na Zachód i niech już tak zostanie.



MUZEUM NARODOWE
W KRAKOWIE

MUZEUM NARODOWE
W KRAKOWIE
ZAPRASZA NA TRZECIĄ WYSTAWĘ
TRYPTYKU OPUS MAGNUM

JAN MATEJKO.
OPUS MAGNUM.
POLICHROMIA
KOŚCIOŁA MARIACKIEGO
W KRAKOWIE



Wystawa czynna
od 13 października 2001 r. do 6 stycznia 2002 r.
Gmach Główny MNK, al. 3 Maja 1

Rezerwacja grup (do 30 osób)
tel. (0 12) 634 33 77, 423 47 23

Wystawie towarzyszy ekspozycja
w Domu Jana Matejki
Matejko i Średniowiecze

GLÓWNY SPONSOR
tryptyku wystaw
OPUS MAGNUM

BANK BPH
Bank, który myśli o Tobie

PATRONAT
MEDIALNY

RZECZPOSPOLITA

DZIENNIK POLSKI

PRZE
KRÓJ

art
& BUSINESS

POLSKIE RADIO PROGRAM III
program

STAŁY PATRON

TVP3
Kraków

onet.pl

MAGICZNY KRAKÓW
WWW.KRAKOW.PL

Wystawa dofinansowana przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego
oraz przez Urząd Miasta Krakowa.



ZDJĘCIA RAFAŁ MILACH • TEKST WOJTEK KOCOŁOWSKI

Żywot Karola

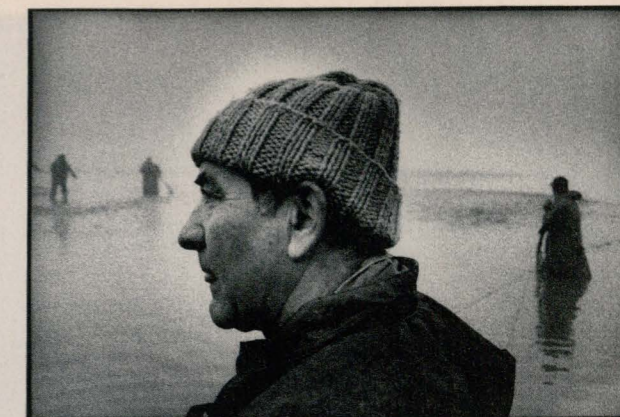
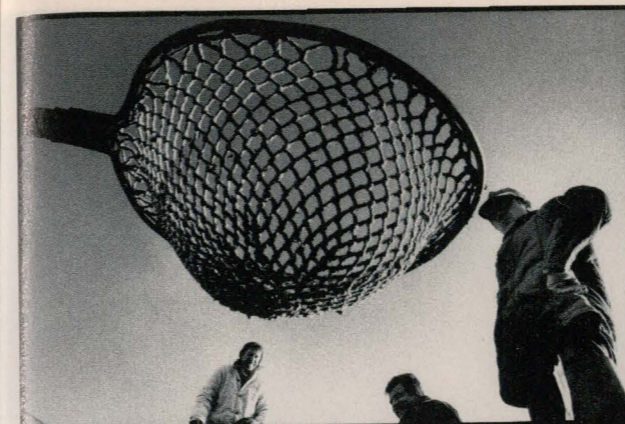
Bajka o karpniu, co uszedł z życiem i dużo zrozumiał

Karol został poczęty na początku czerwca 1997 roku w jednym z płytkich stawów o mulistym dnie, na Śląsku koło Pszczyny. Był karpniem, nazywanym w podręcznikach *Cyprinus carpio L.* Skrót L. oznaczał wielkiego Linneusza, który niegdyś liczną rodzinę Karola zaszeregował i opisał. Urodził się w sposób typowy dla karpnia. Najpierw był kuleczką ikry złożoną przez jego mamę wraz z 300 tysiącami innych kuleczek. Potem pojawił się jego ojciec, którego Karol, jak wszystkie karpnie świata, nigdy nie poznał. NN sprawił, że ikra po kilku dniach zamieniła się w małą larwę, potem w małe karpiki, zwane kroczkami. Woda była wtedy ciepła – miała ponad 18 st. C, słońce przyjemnie ją dogrzewało. Karol wyrastał w zupełnym spokoju; jak podkreślano z dumą w stawie – karp to najbardziej żywotna ryba, a jego potomstwo przeżywa w procencie, którego mogą pozazdrościć zarówno szczupaki-kanibale, jak i roztargnione liny.

Czy Karol był wyjątkowy? Nie bardzo, choć wyróżniał się rozważą i głębokim poczuciem rzeczywistości. Rzecz jasna rzeczywistości widzianej spod powierzchni dość mętnej wody. Przede wszystkim wiedział, że karpnie są do zjedzenia. Powiedziała mu to zaraz po wykluciu mama, potem powtarzali doświadczeni wujowie. Karol zrozumiał to wcześniej od rówieśników i już przez to był od nich mądrzejszy. Wiedział, że trzeba rosnąć powoli, jak najwolniej. Ale było to trudne, bo nigdy nie brakowało pożywienia. Wkoło było pełno roślin i unoszących się przy dnie żyłatek. Poza tym z góry spadała zawsze smaczna karma. Z wiekiem nabrał doświadczenia i rozważi – posilał się tak, jak mu to dyktował głód, nie popadając ani w anoreksję, ani w samobójcze obżarstwo. Był lubiany i podziwiany za schludność. Z godnością nosił dwie pary wąsików wokół swego ryjkowatego pyszczka – jedną parę dłuższą, drugą króciutką.

Słyszał o legendarnym karpniu, który kiedyś wyrwał się ze stawu hodowlanego i uciekł małym bocznym kanałem do rzeki, a stamtąd długą drogą do ciepłego jeziora daleko w Azji. Karp-legenda no-





sił imię Beowulf i był monstrialnie duży - miał ponad metr długości i ważył powyżej 30 kilogramów. Był ponoć mędrcom, który potrafił okiełznać porywczę i nieopanowane sumy, rozmawiać z wielkimi jesiotrami, a nawet pływać z łososiami w rwącym nurcie rzeki. Budził respekt swoją siłą, której używał bardzo rzadko, głównie wobec głupich, zapalczywych szczupaków. Karol podziwiał w mitycznym Beowulfie nie tyle wielkość i krzepę, co spokój i dystans do świata. Legenda głosiła, że olbrzym wyruszył jako karp niemal pozbawiony łusek, a siła woli i zahartowanie w różnych wodach sprawiło, że pokrył się grubym, złotym pancerzem.

Karol nie martwił się, że skończy na talerzu. Mama tłumaczyła mu od najmłodszych dni, że już od dawien dawna po upływie dwóch, czasem trzech lat karpie zostają złowione, przewiezione, sprzedane i zabite uderzeniem pałki w głowę. Z racji swojego charakteru Karol wołał spokojnie patrzeć, dużo myśleć i mało mówić. Ludzi z sieciami i w wysokich gumowych butach zobaczył po raz pierwszy jeszcze jako narybek. Potem, jako ponadroczny młodzieniec dostał się nawet w ręce ludzi, którzy obejrżeli go, pokiwali głową i wyrzucili z powrotem do wody. Było to w nocy i Karol wiedział, że nie są to ludzie od sieci i gumowych butów. Ci drudzy bali się, bo cicho szepotali, nerwowo rozglądali się wkoło, przede wszystkim zaś drżały im ręce.

Został złowiony, a raczej złapany w sieć wraz z tysiącami innych karpie pod koniec listopada. Chociaż wiedział, co go czeka, bał się trochę. Był lekko uśpiony - ta pora roku i lodowato zimna woda sprawiały, że najbardziej odpowiadało mu spanie wraz ze stłoczonym przy sobie kuzynostwem na dnie stawu. Nie pamiętał prawie nic, no może tylko tyle, że w przeciwieństwie do innych karpie trafił w ręce rybaka, a ten mocnym ruchem wyrzucił go w powietrze. Szybował nad innymi karpkami, potem łagodnie opadł między swą liczną rodzinę. Wiedział, że jego los dokonał się. W sklepie trafił w gumowe rękawice grubej kobiety, potem na wagę i do plastikowego worka. Siedział cichutko i bez ruchu, wiedział, że wszystko na nic. Kupił go mężczyzna z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię. Po krótkiej podróży Karol znalazł się w czymś, o czym opowiadała mu mama.

Mama mówiła, że jak karp trafi do wanny, to nie powinien się bać. Po wannie nie ma już nic. Jest wanna, jest karp - nie ma wanny, nie ma karpia. Mama mówiła mu jeszcze, że chociaż





rzadko, to jednak zdarzają się mali płaczący ludzie, którzy lubią się bawić z karpami i wtedy może się zdarzyć, że wanna staje się domem karpia, a potem, na wiosnę, trafia on do rzeki lub stawu. Karol trafił do wanny w domu, gdzie jeszcze nie było małych ludzi. Człowiek wyciągnął go z wody jeszcze tego samego dnia. Położył na grubej desce. Karol zamarł. Czekał na koniec.

Ale mężczyzna zaczął mu robić zdjęcia i mówić do niego Stefan. Karola to dziwiło, bo przecież nazywał się Karol. Nawet nie zdążył porządnie zastanowić się nad wszystkim, gdy człowiek włożył go ponownie do torby i zawiózł nad rzekę. Przebudził go nurt wody. Był na wolności.

Nie wierzył własnym zmysłom. Przeżył. Musiał zdobyć się na wysiłek i przebudzić do końca. Popłynął z nurtem. Trwało to długo, bardzo długo. Płynął i płynął. Potem trafił do jeziora, stamtąd, wykazując się sprytem, przemknął sztucznymi kanałami i trafił do innej rzeki. W wędrówce stracił rachubę cza-

su. Po drodze spotykał inne karpie, patrzące na niego jak na szaleńca - zamiast żerować na dnie, płynie dziwak przed siebie bez opamiętania. Karol zmęźniał. Jego tłuszcz powoli zastępowały mięśnie. Nie męczyły go już, jak na początku, przebyte kilometry. Urósł. Niemal za naturalne uznał, że z boku, oprócz kilkunastu wielkich łusek, pojawiły się mniejsze i zaczęły mu zarastać miękką skórę. Coraz lepiej czuł każdy ruch wody poprzez linię boczną, w ten sposób unikał niebezpieczeństw.

W końcu trafił do jeziora jak z marzeń. Było ciepłe, płytkie, niemal w całości zarośnięte sitowiem. W ciepłej, mętnej wodzie poczuł w pobliżu ruch bardzo dużej ryby. Przestraszył się, potem opanowało go dziwne uspokojenie. Spoglądał przed siebie. Najpierw zobaczył poblask złotych łusek i łagodny ruch ogona. Potem ujrzał pysk z dwoma parami wąsów i duże, mądre oczy. Zrozumiał.

WOJTEK KOCOŁOWSKI

Pozeraj a znajdziesz

„Krok po kroku, krok po krocuku, najpiękniejsze w całym roczku – idą święta” – przypomina radiowa Trójka. My też.



Ludziska są „brzydliwi”, choć przecie jak świat światem w serwowanej nam strawie znaleźć można rzeczy dziwne a ciekawe. Jedne trafiają tam przypadkowo, inne wprost przeciwnie.

Na talerzu w ministerialnej stołówce

Ostatnio – jak iskra, z której, wydawało się, musi rozgorzeć płomień – całą prasę obiegła wiadomość, że bogaty asortyment różnych różności – od sznurka po robaczka – serwowany jest wraz z barszczami, kapustą, gulaszem etc., etc. – w stołówce Ministerstwa Finansów RP. Wyrzeszczałem oczy aż do bólu, szukając potem na łamach dementi, aliści albo kierownictwo resortu dostaje strawę z innego kotła, albo pismaki posiadały dowody rzeczowe – bo nikt jakoś się nie obraził i nie prostował.

Poza wszystkim, niektóre znalezione „talerzowe” – ulubiony temat zabaw literacko-kabaretowych – należy traktować jak uśmiech Pana Boga. Tak rozumował Tomek Sawyer, przesyłając uwięzionemu Murzynowi drabinkę sznurową zapieczoną w cieście. Podobną drogą trafiały w ciągu wieków do setek różnych miejsc odosobnienia, do tysięcy cel o zwykłym lub obojętnym rygorze, zgrabnie

wsunięte w bochenki chleba fiołki z trucizną, mizerykordie, puginały, sztylety, bagnety lub tak bardzo przydatne w walce o wolność szczyrki, a nawet zwykłe koziki. A grypsy? A telefony komórkowe, by nie wspomnieć o konwencjonalnej połóweczce, znacznie tańszej od butelczyny, którą można kupić u zdzierającego skórę wychowawcy lub bramowego?

Sygnet w uniwersyteckim cieście

Uczestnicy pana Makuszyńskiego „Wyprawy pod psem”, znalazłszy w ciastku sznurek i guzik, cieszyli się jak dzieci. Podobna radość towarzyszy i nam na balu, raucie, zabawie sylwestrowej itp., ilekroć złamiemy sobie ząb na ukrytej w pączku monecie albo gdy zakrzetusimy się prze-myślnie schowaną karteczką (bywają i karteczki plastikowe) z numerem szczęśliwego losu. Ha! Na polecenie JM Rektora UJ, prof. Franciszka Zięki, dyrektor uniwersyteckiego muzeum, prof. Stanisław Waltoś, zapiekł był w cieście złoty pierścień i podał owo ciasto profesurze na uroczystym śniadaniu. Rzecz się działa nie w czternastym, nie w piętnastym, nie

w szesnastym, a nawet nie w siedemnastym wieku, ale zaledwie kilka miesięcy temu...

Wszystko są to jednak działania przemyślane, obliczone na zabawny efekt. Gorzej, gdy w potrawie znajduje się coś nieplanowanego, nie korespondującego z naszymi intencjami. Wtedy – o, wtedy nasz instynkt samozachowawczy musi gorączkowo szukać rozwiązań obronnych.

Rodzynek w bułce cesarza

Cesarz Franciszek Józef z trudem ukrył zakłopotanie, gdy zobaczył, że w bułce, którą podczas śniadania raczył podnosić do ust, tkwi zapieczony karaluch.

– Ketter! – zawołał do kamerdynera – Ketterl, popatrzcie. Ja chyba nie powinienem tego jeść!

– To się już nie powtórzy, Wasza Cesarska Mość – skłonił się błady z przerażenia kamerdyner. – Piekarz miał zapewne na myśli kogoś innego...

– A kogo? – żywo zainteresował się cesarz.

Odpowiedź musiała dobrotliwego monarchę prawdziwie ubawić, gdyż zezwolił, by karalucha zwrócono

dowcipnemu piekarzowi wraz z odebrany tytułem ck dostawcy dworu.

Moja cudowna przyjaciółka, Krystyna Kurczab-Redlich, w swej zwiariowanie ciekawej książce „Pandrioszka” pomieszcza romantyczną opowieść z moskiewskiej Twerskiej, gdzie bardzo dawnymi laty prowadził piekarnię i cukiernię dostawca dworu Filipow. I właśnie w jego bułeczce drożdżowej znany z chole-rycznego charakteru generał-gubernator Zakriewski znalazł zapieczonego karalucha. Wezwał Filipowa i zarząca:

– Co to jest!!!!?? (inteligentne pytania były wspólną cechą możnych tego świata).

– Rodzynek – odparł mistrz i pokłknął spokojnie podejrzany kawałek bułki. I wrócił do piekarni, gdzie do kadzi drożdżowego ciasta wrzucił – po raz pierwszy w dziejach ludzkości – garść rodzynek. Tak dzięki karaluchowi narodził się placek, który pozeramy do dziś i bez którego nie można wyobrazić sobie prawdziwych świąt.

Udanych bożonarodzeniowych wypieków życzy

LESZEK MAZAN

SZCZĘŚLIWI KUFLI NIE LICZA

„U KOCOURA”,
„POD KIELICHEM”,
NA HRADCZANACH TEŻ!
Co czyni pragnienie pięknym?

W marcu 1915 r. dworzec kolejowy w Czeskich Budziejowicach był świadkiem wzruszającej uroczystości: dobry wojak Szejka namawiał przyjaciela – saperskiego Vodiczkę, by zaraz po wojnie spotkali się w praskiej piwiarni „Pod Kielichem”.

– Szejku, Szejku, a jakie piwo mają „Pod Kielichem?” – pyta dzielny saper.

– Wielkopopowickie!

– Myślałem, że smichowskie! – odpowiada saper i odjeżdża na front.

Trwała wojna, ale mieszkańcy tej części świata nadal mieli w czym wybierać. Browarów było tyle, że nawet ktoś tak inteligentny jak Szejka nie pamiętał nazw wszystkich. Ale jakże mógł pamiętać, skoro jednej tylko nocą odwiedził 28 różnych lokali, zamawiając w każdym co najmniej trzy kufle!

W powieści Jarosława Haszka „Przygody dobrego wojaka Szejka” wymienione są tylko trzy browary: Smichow, Wielkopopowice i Pilzner. Ten ostatni już od kilkunastu lat służył smakoszom i znawcom na podobnej zasadzie co dziś: pilzneńskie piwo traktowano niczym wzorzec metra przechowywanego w Sèvres pod Paryżem. Europa (Ameryka również) mówiła, patrząc pod światło na cudowną klarowność płynu w kufkach: – To jest

prawie tak złote jak Pilsner Urquell!, albo: – Dobrze, naprawdę dobrze. No, Pilsner Urquell to nie jest, ale warto wypić...

Nadal mnożyły się – co było do przewidzenia – podróbki i naśladownictwa, najrozmaitsze „pilsy” czy „Pilsnery”. Ich producenci tłumaczyli się w sądach, że chcą w ten sposób jedynie podkreślić „podobną do piwa z Pilzna” czystość swych wyrobów, że „pils” to nowy gatunek fermentujący w niskich temperaturach, a nie nazwa piwa. Zjawisko było (i jest nadal) tak ogromne, że nie sposób z nim walczyć. Świat machnął ręką, a prawdziwi smakosze po prostu

zapamiętali: oglądamy „pilsa”, ale kupujemy w sklepie czy zamawiamy w restauracji wyłącznie „Pilsner Urquell”. I nikt nas nie oszuka, bo kolor i smak tego piwa, do którego chcą dorównać najlepsi, jest nie do podrobienia.

Opowiadał o tym szeroko pan prezydent Vaclav Havel, gdy w 1991 r. razem z Lechem Wałęsą wybrali się w Pradze na piwo. Polski prezydent, pytany, na jakie piwo ma ochotę, odpowiedział – idąc za głosem zarówno swej wiedzy, jak i serca – że na pilznera. Zeszły więc prezydenty z Hradczan ulicą Nerudovą na Małą Stranę, gdzie znajduje się mekka wszystkich szwejkologów świata: ciasna, niepozorna „hospudka” „U Kocoura”, w której kiedyś Dobry Wojak planował kradzież psa, a gdzie „od zawsze” podają najlepszy pilzner w Pradze.

Obaj mężowie stanu zanurzyli wtedy wąsy w wielkich, spienionych kufkach, pociągnęli, odsapnęli, znowu pociągnęli i tak da ca-

po al fine. Ów finisz nie trwał długo, gdyż Lech Wałęsa zażądał szybko kufła drugiego, co Havel ze zrozumieniem skomentował: – No, tak... Pilsner Urquell czyni pragnienie pięknym...

Po powrocie na Hradczany obaj tłumaczyli swym dostojnym małżonkom, że trochę ich zatrzymało, no, ale jak wiadomo, szczęśliwi kufli pilznera nie liczą.

W nieco gorszym nastroju przebiegały kilka lat później piwne rozmowy premierów Czech i Słowacji. Premier Milosz Zeman, który pilznera wyssał z mlekiem matki, oświadczył premierowi Mikulaszowi Dziurindzie, że „piwo słowackie nadaje się wyłącznie do płukania protez zębowych...”. Ha! Tylko cudem udało się uniknąć wojny czesko-słowackiej. Wicepremier Słowacji wydał oficjalne oświadczenie, że cieszy się, iż panu Zemanowi nie wypadła sztuczna szczeka; minister spraw zagranicznych poinformował kraje członkowskie NATO, iż „trudno brać poważnie słowa pana Zemana, który ma podniebienie spalone czeską ohydą o nazwie becherovka”.

W całym tym ponurym sporze nie kwestionowany przez nikogo pozostał tylko jeden autorytet: Pilsner Urquell... Bo Pilsner Urquell jest ponad sporami polityków, ponad waśnie narodowe. Ponad wszystko...

... A kiedy w 1919 r. Szejka i dzielny saper Vodiczka powrócili z wojny do Pragi, w swej ulubionej „hospudce” „Pod Kielichem” zastali już swego wyteśczonego pilznera. Po prostu właściciel lokalu musiał iść z duchem czasu, dołączając do najlepszych...

LESZEK MAZAN



1842. Pierwsze złociste piwo.

Mercedesem w świat literatury

Product placement – forma reklamy dobrze znana z filmów – wkracza do literatury, teatru...

„Mercedes-benz” Pawła Huellego to uroczą opowieść o starych samochodach, których właścicielami byli dziadkowie autora – o niezapomnianym Citroenie, zmiążdżonym przez pociąg pośpieszny jadący z Wilna, no i przede wszystkim o Mercedesie zarekwirowanym przez Sowietów w 1939 roku w okolicach Lwowa. Dziadek, a później ojciec pisarza, doceniali szczególnie tę ostatnią markę, jej niemiecką solidność i cudownie chromowane detale karoserii. Nic więc dziwnego, że Mercedes postanowił w dużej części sfinansować promocję wydanego przez Znak tomu. Na księgarskich półkach obok powieści pojawiły się małe modele samochodu, a symbolem stoiska wydawnictwa podczas targów książki stał się autentyczny, przedwojenny automobil – oczywiście firmy Mercedes.

– Wydaje mi się, że książka sprzedaje się świetnie dlatego, iż Paweł Huelle znakomicie ją napisał. Ale oczywiście dla samej jej promocji nie bez znaczenia jest patronat Mercedes, który wziął na siebie większość związanych z reklamą kosztów. Bez takich form sponsoringu w obecnej sytuacji kultury daleko byśmy nie zjechali – mówi redaktor naczelny Znak, Jerzy Illg.

Tak naprawdę wydawnictwo Znak nie robi nic nowego. Wykorzystuje jedynie stosowaną od dawna w przemyśle filmowym technikę reklamową zwaną product placement. Polega ona na wplataniu do filmów

scen, w których bohaterowie wykorzystują produkty konkretnej firmy. Dzięki niej wszyscy wiedzą, że James Bond jeździ samochodem marki BMW, w ważnych momentach delectuje się smakiem smirnoffa, a godzinę wskazuje mu zegarek firmy Omega.

Moda na coca-colę i okulary Ray Bon

W Stanach Zjednoczonych producenci różnych rodzajów towarów za ogromne pieniądze starają się umieszczać swoje wyroby w głośnych, a co za tym idzie – mających dużą widownię – filmach, by wzbudzić modę na sprzedawaną przez siebie markę samochodu czy orzeźwiający napój. W polskich filmach również coraz częściej sięga się po tego typu reklamę, acz skala tego procederu jest jeszcze niewielka, choć i tak nieźle podreperowała budżet niektórych produkcji. Firmy są jeszcze jednak nieufne, gdyż wciąż nie przeprowadzono u nas żadnych poważnych badań na temat skuteczności takiej reklamy.

Na Zachodzie producenci mogą się dowiedzieć, o ile wzrosła sprzedaż BMW po premierze kolejnego odcinka „Bonda”. Wiadomo dokładnie, że po wyświetleniu filmu „Top Gun” skoczyła sprzedaż okularów Ray Bon, które nosił główny bohater. „Zabójcza broń” przyczyniła się do wzrostu spożycia coca-coli. Po pro-

jekcji filmu „Richie Rich” dzieciaki jeszcze bardziej szalały za siecią barów McDonald’s, gdyż główny bohater, najbogatsze dziecko świata, otworzył go u siebie w domu. W kolejnych odcinkach „Powrotu do przeszłości” pokazywano w niezwykle inteligentny sposób stacje benzynowe Texaco. Gdy w przeszłość cofała się akcja filmu, ich wystrój stał się coraz bardziej historyczny.

We wchodzącym w styczniu na nasze ekrany „Harrym Potterze i kamieniu filozoficznym” – jak zapowiadają twórcy – nie zostanie wprowadzony żaden product placement, ale i tak Harry będzie się kłócił z dzieckiem z coca-colą. Wytwórnia Warner Bros sprzedała wyłączne prawa do filmowej wersji „Harry’ego Pottera” produkującej tenże napój firmie, już ruszyła kampania reklamowa z billboardami Coca-Coli prezentującymi małego czarodzieja i konkursem polegającym na zbieraniu magicznych nakrętek – oczywiście zamykających butelki coca-coli.

Polski bar wzięty

Nasi reżyserzy nie poznali chyba jeszcze szczegółów, jakie rządzą tego typu reklamą, gdyż dostarczone im produkty prezentują w sposób natchalny, co jest mniej skuteczne. Mogli się o tym przekonać widzowie filmu „Operacja Samum”, w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Kamera raz po raz najeżdża na lodówkę peł-

ną piwa Warka, bohaterowie często raczą się Johny Walkerem, zaciągając się camelem. Marek Kondrat jeździ po arabskich bezdrożach Mercedesem, a Anna Korcz ucieka przed policjantami jeepem Suzuki. Grany przez Radosława Pazurę inżynier pracuje w firmie budowlanej Extrabet, której billboardy pojawiają się co chwilę na ekranie, są także na gadżetach – kalendarzach na biurku szefa polskiego wywiadu. Ostatnia scena filmu, w której ojciec, czyli Marek Kondrat, idzie warszawską ulicą wraz synem, została chyba nakręcona tylko po to, by widzowie mogli zobaczyć olbrzymi billboard reklamujący wódkę Bols i usłyszeć sygnał RMF.

Media często pojawiają się w polskich produkcjach filmowych. W „Kilerze” bohaterka filmu pracuje w istniejącej jeszcze wówczas „Naszej Telewizji”, a na ekranie można się dopatrzeć reklamy pisma „Viva” i radia RMF. Podobnie dzieje się w jednej z części „Ekstradycji”, w której pojawia się redakcja „Gazety Wyborczej”. W większości przypadków gazety czy stacje radiowe i telewizyjne nie dofinansowują produkcji, a jedynie udostępniają swój czas antenowy czy miejsce na reklamę filmu.

Przed kilkoma laty skuteczne okazało się połączenie kampanii reklamowej samochodu Renault Megane z premierą filmu Krystyny Jandy „Pestka”. Aktorka i reżyserka reklamowała w radiu, telewizji, gazetach

tę markę samochodu, równocześnie zapraszając na swój film.

Współczesne produkty nie znalazły się jednak w ostatnich największych polskich superprodukcjach – „Ogniem i mieczem” i „Quo vadis”. Stało się tak ze względu na historyczny kontekst obrazów. W pierwszym wypadku zastosowano jednak reklamę delikatnie sugerującą, już choćby przez nazwisko bohatera, jakie piwo należy pić. Przecież Zagłoba nie raczył się na ekranie miodem, tylko piwem. Zresztą w tę stronę zmierzała cała kampania reklamowa, z którą związane były przeróżne piwne gadżety, a także plakat „Bar wzięty”. Na pewno nie miał on na celu wyłącznie konfederackich skojarzeń.

W „Quo vadis” postawiono bardziej na stronę religijną przedsięwzięcia, ponieważ tego rodzaju reklamy. Specjaliści doszli do wniosku, że widzów zdecydowanie bardziej przyciągnie do kina watykańska premiera filmu z udziałem Ojca Świętego niż jakiegokolwiek związane z obrazem gadżety. Ograniczono się jedynie do znaczków ze scenami z „Quo vadis”,

które tak naprawdę zainteresują tylko filatelistów.

Nowa forma sponsoringu wkraczała także do teatrów. Przerażeni brakiem pieniędzy dyrektorzy sami poszukują producentów, którzy chcieliby pokazać na scenie swoje prace.

Teatralny Koziółek tankuje tylko na BP

W krakowskim Teatrze „Grotowska” podczas przedstawienia „Trzy świnki” jedna z bohaterek serwuje swoim gościom sok z aronii o nazwie „Hohes C”.

– Pisząc scenariusz, myślałem, że właśnie w tym miejscu może znaleźć się jakiś produkt, choć jeszcze nie miałem pomysłu na producenta. W przedstawieniu mogła jeszcze być reklama czekoladek, ale nie było chętnych – mówi reżyser spektaklu, a zarazem dyrektor „Grotki”, Adolf Weltschek.

Jeszcze raz wykorzystano taką reklamę w „120 przygodach Koziółka Matołka”. Kiedy sympatyczny bohater, poszukując wciąż wymarzonego

Pacanowa, po wielu przygodach przekraczał granicę Polski, od razu natykał się na stację benzynową BP.

– To niezła forma reklamy. Jej cenę negocjujemy (15–35 tys. zł). To poważny zastrzyk dla naszego teatru. Umieszczenie produktu w spektaklu jest chyba korzystnym dla producenta pomysłem, gdyż tak naprawdę jesteśmy w stanie naszym sponsorem zapewnić tylko wydrukowanie ich logo na różnych drukach teatralnych: afiszach czy programach – dodaje Weltschek.

Z reklamą zetknęliśmy się, odwiedzając także Stary Teatr. Umieszczenie swojego logo w tak szacownym miejscu daje szansę na pozytywne ukształtowanie wizerunku firmy i postrzeganie jej jako instytucji wrażliwej na kulturę. Teatromani np. natkną się w programie, w broszurach, a także w foyer teatru na logo banku BPH czy firmy produkującej profesjonalne odkurzacze Kärcher. Obydwie instytucje, łożące na Stary Teatr, już wielokrotnie w podziękę otrzymały tytuły Mecenasa Kultury.

W Starym Teatrze z reguły nie reklamuje się na scenie konkretnych

produktów, choć zdarzyło się, że w spektaklu brały udział garnki Zeptera, które są bez problemu rozpoznawane przez większość ludzi. Jednak teatr nie pobierał za to opłat. Naczynia zostały mu po prostu sprezentowane przez firmę. Zdarza się również, że aktorzy jedzą na scenie gorące posiłki, przygotowane przez konkretne restauracje. Ponieważ trudno byłoby dopisać do dań nazwisko restauratora, dlatego też wymienia się go w programie spektaklu.

– W obecnej sytuacji finansowej nawet najwięksi maruderzy będą musieli spuścić z tonu i pogodzić się z tym, że nie jeden raz zetkną się w przypadku nawet największego dzieła z koniecznym sponsoringiem, i to wykorzystywanym w najróżniejszy sposób. Jest to kierunek, w którym zmierza świat, i nie ma od tego odwrotu – twierdzi Jerzy Illg.

Nie bierze on jeszcze pod uwagę sytuacji, w której miałby autorowi narzucić wykorzystanie w książce konkretnej firmy, a ona w zamian sfinansowałaby wydanie tomu. Ale kto wie, do czego niebawem dojdzie.

MAGDA HUZARSKA-SZUMIEC

FOT. BOGDAN KRZEL



Radio Merkury S.A.

Regionalna Rozgłośnia Polskiego Radia w Poznaniu

www.radiomercury.pl

reklama: tel. (0 61) 865 83 73





FOT. BOGDAN KRZEL

ZBLIŻAJĄ SIĘ BALANGI

Kiedy piszę o modzie wieczorowej, nie spodziewajcie się, że będę Was namawiał na kupno szalenię drogich balowych kreacji, które pięknie wyglądają na zdjęciu, robią wrażenie na pokazie mody, są ulubionym tematem projektantów, bo wreszcie można zaszaleć i puścić wodze nie tylko fantazji, ale i złym instynktom. Otóż we mnie też budzą się złe moce, kiedy pomyślę, że ktoś ma zamiar szarpać się na coś takiego na te parę godzin balu sylwestrowego. Chyba że go (ją) naprawdę na to stać, ale i nawet wtedy, jeśli jest osobą światową, wie, że nie należy przesadnie demonstrować pieniędzy, że to jest w złym tonie, tego się już nie robi. A u nas może jeszcze powodować refleksje typu: ciekawe, skąd na to biorą? I będzie skojarzenie, że biorą.

Ale czekajcie, mówię to o tych rzeczach, które obłądnych szatach balowych, które mają zapierać oddech, robić „wejścia”, kasować konkurentki do tego właściwego itp. A potem przyjdzie taka mała w zwykłej obcisłej czarnej sukience i wszystkie oczy na nią. I co? Powiem Wam coś, drogie Czytelniczki, chodzi mi o to, żebyście to Wy były tą małą. Tą dziewczyną w takiej świetnej czarnej sukience, na której nic specjalnego nie ma, tylko widać właścicielkę. Dyskrekcja, elegancja, seksowność, nieco wyrefinowana przez brak ostentacji, zreżymowana ukryta kokieteria, rozciąganie atmosfery: jestem najlepsza, nie potrzebuję sobie dopinać wielkich piór – to właśnie wmontowujemy w nasz wieczorny wygląd.

Bez względu na wiek i figurę nie przynosimy na żadną imprezę, balangę czy towarzyską wieczornicę postaci zgnębnionego małolata z problemami psychicznymi, ubranego w przygnębiające stroje pokutne, ani obrazu podłytej, zaniedbanej gospodyni domowej, która wie, że ją mąż zdradza. Tym lepiej – przebieżemy się za wesołą i niewierną kobietką w kwiecie wieku, która nie będzie przynajmniej miała wyrzutów sumienia, przyprawiając temu fajdakowi rogi, albo za wesołą dziewczynę, która bez przerwy nie grymasi i nie dołuje swoją miną całego otoczenia. Jeśli już decydujesz się na wieczorne wyjście – a trzeba, bo życie ucieka – to zrób coś z sobą, czym podkreślisz, że jesteś OK, i może sama w to uwierzysz.

Jasne, że trzeba trochę popracować. A wybór jest szalony: sukienki małe lub długie, spódnice mini lub długie, bluzeczki, tiszerty wieczorowe, żakiety, spodnie szerokie lub wąskie. Skosy są modne, ale nie ma przymusu. Kto może, pokaże trochę talii, inni pokażą odsłonięte ramiona, inni pokażą dużo nóg, inni pokażą zwariowane fryzury, a inni zwariowany makijaż. Tylko proszę go nie ćwiczyć w sylwestrową noc, bo się skończy na zostaniu w domu.

Na zdjęciu mamy modne dzwony i tiszert przełożone na balowe materiały. Jest to pokaz mody, a nie sylwek u sąsiadów, czyli wiadomo, co by się jeszcze ewentualnie przydało.

Zdjęcie: Lolita Lempicka, fot. Rafał Strzechowski/Free



23.11.01

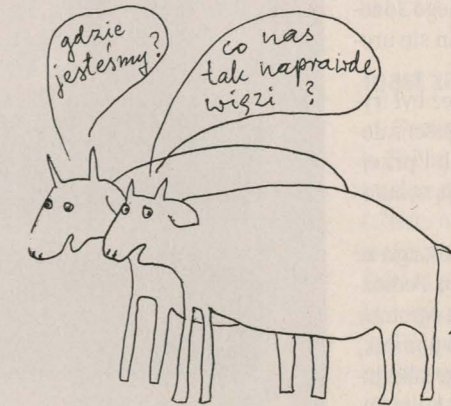
I tak to, drodzy Państwo, zostałem zniecka jakby ha! artowcem. Piszę „jakby”, bo chodzi mi o ten cały „młody Kraków literacki”, który mnie nagle w siebie wciągnął, na czas festiwalu „Tekstyli”, i czuję się z tym jak ryba w wodzie, choć przecież robię tu za jakiegoś dinozaura, jak nie za coś gorszego. Bo jest to festiwal „roczników siedemdziesiątych”, które uparły się, że będą stanowić osobny byt historycznoliteracki, jakkolwiek wszyscy debiutowaliśmy prawie w tym samym momencie i piszemy mniej więcej tak samo (tzn. każdy po swojemu), tak że cała ta ich osobność zdaje się rzeczą co najmniej wątpliwą, budzącą sporo zastrzeżeń i kontrowersji (a im tylko w to graj: nic tak solidnie nie konstytuuje niepewnego bytu, jak mnożące się wokół niego obiekty). Dziś prowadziłem „wieczór Studium”, będący częściowym podsumowaniem mojej dwuletniej pracy w tym dwumiesięczniku; wystąpili dawni moi „podopieczni”, a dziś już pisarze całą gębą – Radek Kobierski, Maciek Dajnowski i Michaś Witkowski (Foks i Gajdziński nie zostali zaproszeni z racji przeszłego wieku), na koniec zaś dane mi było ogłosić, że nagrodę im. Czyzka dostał w tym roku mój ulubiony pisarz, Piotr Cegielka.

– Jak się czujesz w roli ojca? – zapytała mnie potem Justyna, reporterka Radia Kraków. Stwierdziłem, że tak naprawdę, to chciałbym być ojcem Cegielki i Klejnberga, no ale przecież nie będę się wypierał tej całej reszty, skoro już są na świecie. A zresztą, jutro zjadą się krytycy i pewnie mnie tego ojcostwa oficjalnie pozbawią.

24.11.01

Od wczoraj mieszkamy w Żaczku, w pokoju 315, który zapewne dzięki temu przejdzie do wieczności, i co za rozkosz znowu się włączyć tymi złotymi korytarzami, wychodzić do kuchni na długie rozmowy o szczęściu i beznadziei, po czym wracać do pokoju, gdzie impreza przyjmuje już całkiem nowy obrót. Rano zbudziliśmy się w stanie średnim, postanowiłem zatem pójść na Gazową i wziąć prysznic, niestety zaraz po wyjściu z akademika dostałem telefoniczną wiadomość od Romka Dzi., że mam przyjść do mieszkania Na Groblach, bo będziemy sobie robić zdjęcia na billboard, przed czekającą nas w marcu wyprawą do Indii. No to, rad nie rad, poszedłem tam, mieszkanie wyglądało mniej więcej jak nasz pokój, też się tam wczoraj coś działo, dziewczyny jeździły na

szczytach zmiatając puszki, no a my pozowaliśmy do tych zdjęć, po czym (bo o prysznicu nie było już nawet co marzyć) pobiegłem prosto na dworzec, odebrać Kingę. Na Rynku spotkałem walęśającego się tam Cegielkę, odebraliśmy ją więc obaj, a potem zaraz na obiad do Babci Maliny, gdzie czekali już na nas doktorzy Nowacki i Uniłowski oraz profesor Jarzębski, czym pokrzepieni mogliśmy się wszyscy udać do TAM-u, na dyskusję. Prowadzący ją Michaś stwierdził, że czynnikiem spajającym roczniki siedemdziesiąte jest guma do żucia Donald, której smak, zapach i konsystencję roczniki te pamiętają doskonale z dzieciństwa (słowo „rocznik” zaczyna pomału funkcjonować w znaczeniu „autor urodzony w latach takich a takich”).



© A. Wiedemann

Pozostali krytycy nie mogli się z tym oczywiście zgodzić, bo przecież gdyby się zgodzili, nie byłoby żadnej dyskusji. Przedstawili zatem własne poglądy na całą sprawę oraz jej poszczególne aspekty (jak zwykle, najlepiej przygotowanym dyskutantem był Paweł Dunin-Wąsowicz), dochodząc razem do smutnego wniosku, że młody polski pisarz albo nie ulega wymogom Rynku (zwanego niekiedy również Czytelnikiem), albo też, wręcz przeciwnie, ulega im, co tak czy owak skazuje go na (komercyjną, artystyczną bądź ewentualnie towarzyską) porażkę. Na swój temat dowiedziałem się tego co zwykle, tzn. że moje opowiadania dzieją się w autobusie albo w akademiku, i że nie byłbym taki do przodu, gdybym nie wydał książki w WAB-ie (wydawnictwo WAB zostało skądinąd skrytykowane za to, że wydaje autorom, którzy już „się wybili”, stwarzając w ten sposób „sztuczny sytuację”). No i tak. Słuchanie dyskusji trochę mnie osłabi-

ło (drugiej części towarzyszyłem już tylko z doskoku, zapamiętując z niej, że „skończył się paradygmat konwersacyjny, zaczął się paradygmat retoryczny”), a potem musiałem jeszcze przeczytać na głos parę utworów (wybrałem te autobusowe), tak że w sumie wyjątkowo wcześniej udałem się do 315 na tapczan, by podniósłszy głowę po paru godzinach twardego snu, zauważyć nie bez zdumienia, że siedzi na mnie „cała młoda literatura” i nadal zawzięcie dyskutuje.

26.11.01

Przygotowany przez Renatę na głębokie rozczarowanie wybrałem się na film Mikłosa Jancsó „Ostatnia Wieczerza Pod Gniadym Arabem”

i oczywiście rozczarowania tego doznałem, jakkolwiek była tam fajna scena mordowania i ozywiania, całkiem jak u Klejnberga w „Zamieście”.

29.11.01

U Magdy i Asi, kiedy zaproponowałem wysłuchanie słynnego Adagietta, taki dialog: MAGDA: W sumie mam dosyć mieszany stosunek do Mahlera. JA: A znasz kogoś, kto by miał czysty?

30.11.01

Kuba nam referuje przebieg swoich ostatnich zajęć z literatury współczesnej: Wchodzi na salę prof. Jarzębski i z miejsca pyta Kubę, jak się skończyła impreza. Zaskoczony Kuba coś mu tam opowiada, na co profesor: – A Wiedemann wstał?

ADAM WIEDEMANN

PAUL RIMPLE
ZDJĘCIA JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

Dla jednych
Gruzynów stalinizm
stanowi czarną
kartę historii.
Dla innych jest
wspomnieniem
lepszyc czasów.

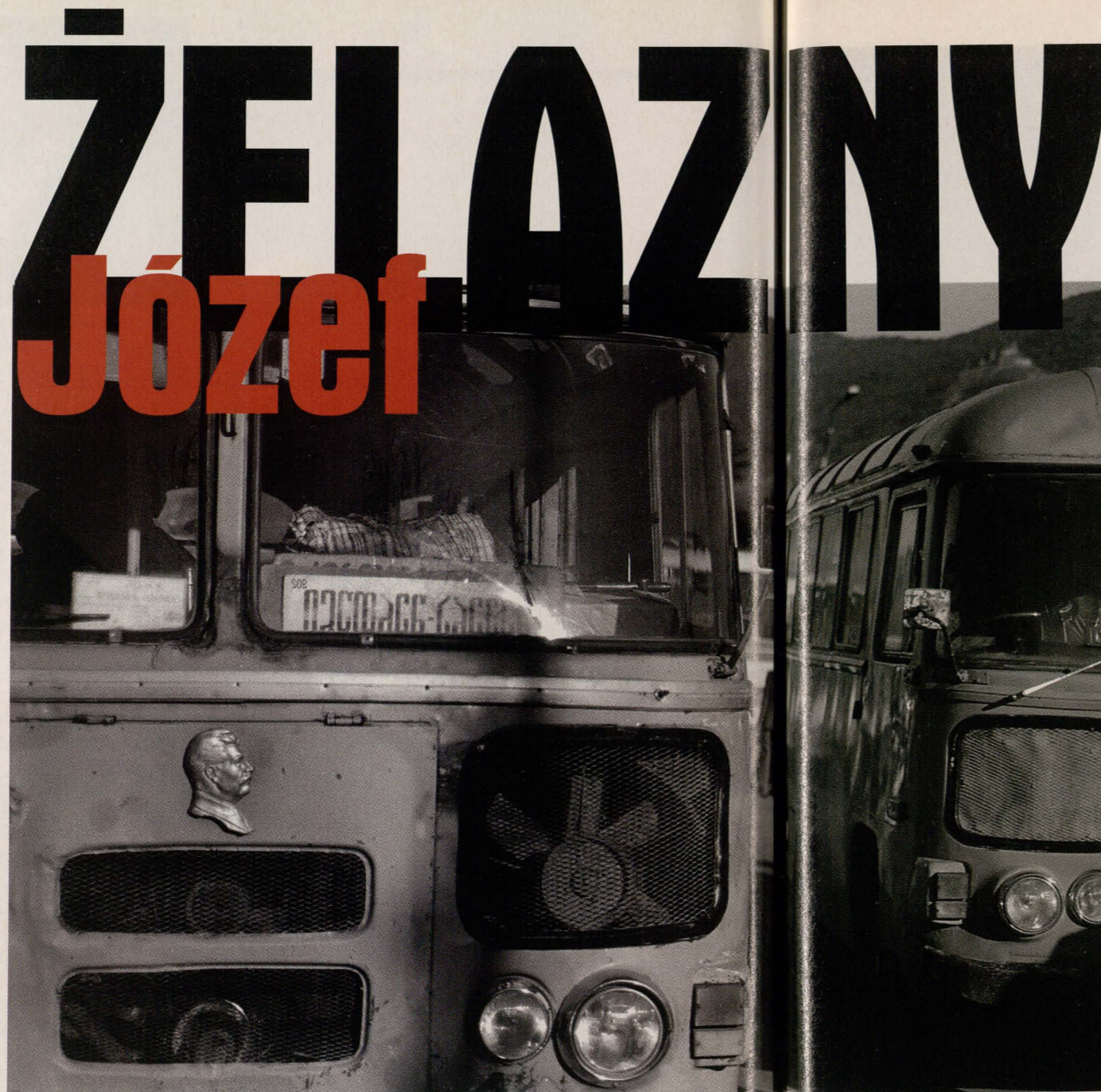
Siedemdziesięcioletni fryzjer, Givi, patrząc zza zatuszczonych okularów, przygotowywał mnie do golenia. Kładąc na krtań brzytwę, odchylił mi głowę do tyłu. Znad lustra groźnie patrzył Józef Wissarionowicz Stalin. Obok wisiał też obrazek Matki Boskiej. Każdy gruziński fryzjer – oprócz tych z nowoczesnych salonów – ma na ścianie przynajmniej jeden portret Żelaznego Józefa. Jednak tutaj, w Gori, gdzie Stalin się urodził, wiszą przynajmniej trzy.

Stalina tu szanują. Za co? – „On też był fryzjerem” – rzucił dla żartu jeden z gości salonu. Jego portrety wiszą w biurach i przejściach podziemnych, kierowcy mają w autobusach kalendarze Stalin 2000.

Sprzedawane są papierosy Prima Nostalgia ze Stalinem na opakowaniu i wódka Stalin. Podróżnych na dworcu głównym w Gori wita ogromny jego portret. W poczekalni jest jego pomnik, a w biurze kontrolerki pociągów jeszcze kilka innych fotografii. Pracująca tam od 25 lat Naira Koczwaszwili powiedziała mi: – W Gruzji Stalin jest jak Kościół, wszyscy go szanujemy.

Syn szewca carem

W 1879 w historycznym mieście gruzińskim Gori (Góra), żona miejscowego szewca urodziła chłopaka. Josif Dżugaszwili mieszkał tu przez 15 lat. Był jednym z najlepszych uczniów w parafialnej szkole. Po tem udał się do Tbilisi, by kontynuować edukację w Prawosławnym Seminarium Teologicznym. Jednak zanim stał się księdzem, został marksistą i skazano go na pierwsze zesłanie. Był tak aktywnym socjaldemokratą, że zsyłano go jeszcze siedem razy – sześć razy uciekał. Gdzieś między tymi ucieczkami przyjął nowe nazwisko – Stalin – i udał się do Petersburga, by zostać wzorowym bolszewikiem.



Dworzec autobusowy w Gori.

Przyjechaliśmy do Gori, by zobaczyć jego muzeum. Jadąc taksówką ulicą Stalina – główną arterią miasta – minęliśmy okazały Urząd Miejski. Nad placem górował pomnik Dżugaszwili, ktoś położył mu świeże kwiaty. – My, Gruzini, jesteśmy dumni z niego. Kiedy był przy władzy, ZSRR przeżywało swe najlepsze chwile – skomentował kierowca.

Większość Gruzynów pamiętających czasy komunizmu przyznaje, że ich republika była najbogatsza, tu żyło się najlepiej. Wszystko zmieniło się za pieriestrojki. Początek lat dziewięćdziesiątych to wojny w Abchazji, potem w Południowej Osetii.

Po odzyskaniu niepodległości w 1989 roku i pierwszych demokratycznych wyborach prezydenta życie miało wrócić do normy. Tak się nie stało, po roku obalono prezydenta.

Wszystko coraz bardziej się komplikowało. Życie, szczególnie na prowincji, stawało się coraz trudniejsze. Dwanaście lat od uzyskania niepodległości większość ludzi nie ma pracy, zimą brak gazu i energii.

Miasta wyludniają się. Gruzini latem przenoszą się na wieś, by żyć z tego, co sami wyhodują. Kiedy Eduard Szewardnadze został prezydentem kraju po przewrocie z 1992 roku, z Zachodu popłynęły pieniądze dla Gruzji. Szewardnadze był dla Zachodu gwarantem demokracji w byłej republice. Pieniądze jednak gdzieś zniknęły, a kraj popadał w ruinę. Ludzie przestali wierzyć skorumpowanej administracji. Szczególnie ci starsi, którzy nie mają już czasu, by cierpliwie czekać na efekty reform, z nostalgią zaczęli wspominać czasy komunizmu, a szczególnie Stalina.

Wnuczka sąsiadów rodziny Dżugaszwilich opowiada, jak jej dziadek pewnego wieczoru 1924 roku przybiegł pijany do domu, krzycząc już zza płotu: – Żono, Lenin umarł, a syna naszego szewca uczynili carem. Dla wielu mieszkańców miasta Stalin to po prostu ich „malczik”.

Muzeum generalissimusa

W Gori, oddalonym 60 km od Tbilisi, najlepiej zachowanym budynkiem jest Muzeum Stalina. Cały kompleks w socrealistycznym stylu wybudowany jest wokół zadbanego parku z nieczynną z powodu braku wody fontanną. Czasem pod muzeum podejżdza kawałkade rządowych samochodów z gośćmi zza granicy. Z niedowierzaniem kręcą głowami i wracają do stolicy.

Kiedy matka Stalina umarła w 1937 roku, jej dwupokojowy dom otoczono dodatkową konstrukcją w stylu mauzoleum. narożniki szklanego dachu zwieńczono sierpem i młotem. Wszystkie okoliczne domy wyburzono, by na ich miejscu stworzyć park.

W 1957 roku dokończono budowę, stawiając nieopodal hotel i muzeum, gdzie mieści się ekspozycja pamiątek po Stalinie. Są dobrze wyretuszowane zdjęcia, złote myśli przewodnika narodu, jego biurko, para butów, fajka inkrustowana kością słoniową. Są prezenty od przyjaciół z całego świata, w tym dwa talerze z Polski – podarunek na 70. rocznicę urodzin Wodza Wolnych Narodów od pracowników CEFARB-u. W ostatniej sali, w półmroku, na czerwonym aksamicie za okragłą kolumnadą leży jego maska pośmiertna. Na zewnątrz muzeum stoi kuloodporny wagon, którym Stalin jechał na konferencję w Teheranie. Wygląda jak Orient Express, ale dodatkowo wyposażony jest w wielki samowar i salę konferencyjną.

Jedyna Komunistyczna Partia Gruzji

Po drugiej stronie ulicy, w budynku urzędu skarbowego, swe biuro ma Jedyna Komunistyczna Partia Gruzji. „Wynajmujemy im pokój, są naszymi gośćmi” – tłumaczy ze śmiechem spotkany na korytarzu urzędnik podatkowy. Na ścianach wiszą liczne portrety. Centralne miejsce zajmuje ołtarzyk poświęcony Stalinowi. Kształtem przypomina Pałac Kultury, w środku są napisy oraz mniejsze i większe figurki wodza.

Tamara jest sekretarzem partii. Urodziła się w 1959 r., ale zawsze marzyła, by żyć w czasach Stalina, gdyż twierdzi, że z natury jest rewolucjonistką. Zapytana, czy trudno jest być ideową komunistką w dzisiejszych czasach, odpowiada, że trudno być Gruzinką. Fabryki pozamykane, nikt nie ma pracy, dzieci nie chodzą do szkoły, bo rodziców nie

stać na książki. – Rząd jest skorumpowany, nie wyłączając opozycji, partia komunistyczna to jedyna partia, która dba o robotników i ludzi – mówi.

Do sali powoli zaczęli się schodzić członkowie partii na cotygodniowe spotkanie. Średnia wieku bliska siedemdziesiątce, większość to weterani Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Spotykają się tu regularnie, by omówić bieżące sprawy i przygotować się do plenum.

Na pytanie, czy Gruzja może funkcjonować bez Rosji, weterani zgodnie pokiwali głowami: „Nigdy!”. Parlament gruziński jest podzielony na zwolenników zbliżenia z Rosją i na zwolenników zbliżenia z Zachodem i Ameryką. Komuniści są rozproszeni. Istnieje kilka partii komunistycznych. Dlatego tu, w Gori, na drzwiach napisali: Jedyna Partia Komunistyczna.

Wszyscy komuniści z regionu właśnie tu się zbierają. Chcą przede wszystkim restytucji ZSRR. Na ścianach, oprócz portretów Stalina, gazetki o nim i o rewolucji, wisi portret Ilii Czawczawadze – wielkiego gruzińskiego poety z XIX w., filantropa i kapitalisty. Mówią, że Ilija – ich narodowy bohater – już w XIX wieku wiedział, że Gruzja nie przetrwa bez przyjaźni z Rosją. Jednak Rosja udowodniła, że przetrwa bez Czawczawadze i na rozkaz cara Mikołaja poetę zamordowano.

Toast za Stalina

Gorijscy komuniści powiedzieli mi, że w Tbilisi mieszka wnuk Stalina. Pojechałem, by się z nim spotkać. Kierowca minibusa miał tablicę, na której – obok wypisanej trasy – wymalowany był Józef Stalin palący fajkę. Gdzieś pół godziny za Gori wyjął ją z szyby i schował pod siedzeniem.

Północna stacja Didube otoczona jest ogromnym bazarem, który rozrasta się proporcjonalnie do wzrastającej pauperyzacji społeczeństwa. Jacyś mężczyźni zaprosili mnie do kolorowo pomalowanego blaszaka, w którym sprzedawali wino. Więcej go pili, niż sprzedawali, częstując przy tym przypadkowych przechodniów z jednej szklanki. – Za Stalina wypijmy – mężczyzna położył rękę na mojej dłoni – wiedział, jak rządzić krajem. Kiedy był szefem, ZSRR rościło w siłę, Ameryka była słaba, Francja słaba, Japonia słaba. Stalin był silny i nasz.

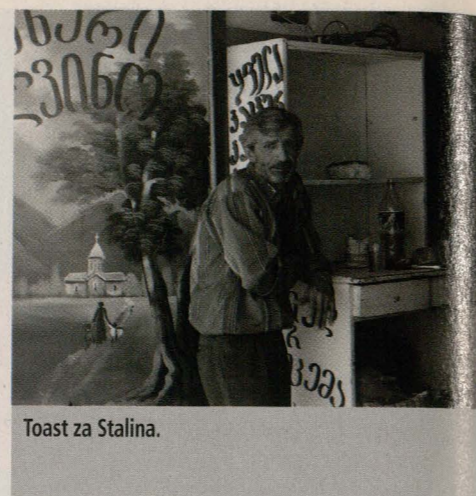
Ewgienij Dżugaszwili, jeśli nie przebywa w swym mieszkaniu w Moskwie (ma obywatelstwo rosyjskie), mieszka w Tbilisi przy ul. Ilii Czawczawadze. Na ścianie za biurkiem wisi portret dziadka Józefa i kserokopia zdjęcia jego ojca – Jakowa, najważniejszego jeńca radzieckiego II wojny światowej. Podobieństwo Ewgienija do dziadka jest widoczne, ale nie uderzające. Jest komunistą i ma aspiracje polityczne. Wierzył, że jako świeża twarz



Wiec Partii Komunistycznej w Tbilisi.



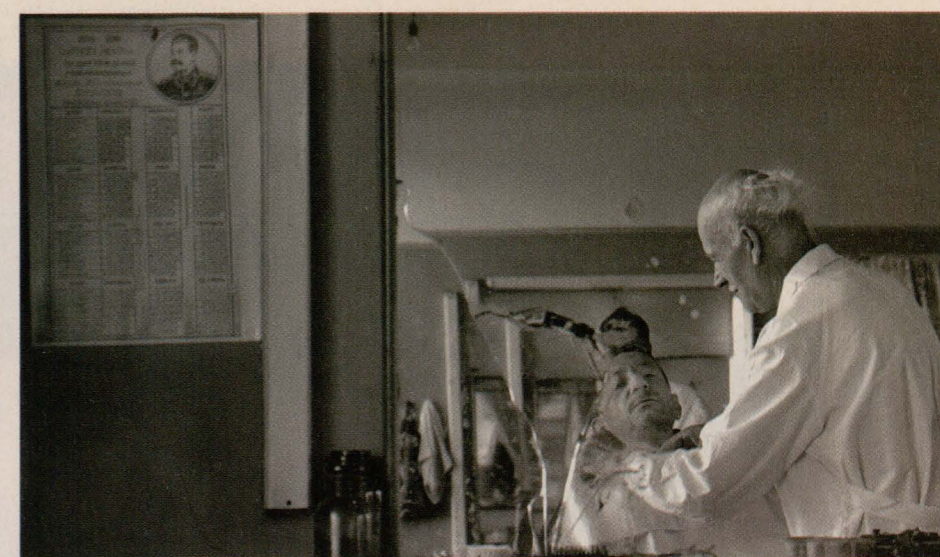
Podobieństwo wnuka Stalina do dziadka widoczne, ale nie uderzające.



Toast za Stalina.



Za Stalina trzeba zapłacić trochę więcej niż za Lenina.



Obowiązkowy portret Stalina u fryzjera.



Prywatne muzeum w Tbilisi przy ul. Mickiewicza.

i wnuk Stalina zjednoczy komunistów i wreszcie wejdą do parlamentu.

Dla wnuka Stalin był przede wszystkim patriotą, a to pojęcie, niestety, straciło dziś swą wartość. Ewgienij nigdy nie spotkał dziadka. Widział go raz na paradzie wojskowej w Moskwie.

Ewgienij ma dwóch synów. Nie zajmują się polityką, ale Stalina i pamięć o nim szanują. Starszy syn, Wissarion, nakręcił dokument o Stalinie. Szściominutowy film zajął pierwsze miejsce na festiwalu filmowym w Niemczech. Niemcy sfinansowali dłuższy film, ale – jak mówi Ewgienij – zmontowali go po swojemu, czyniąc Stalina winnym śmierci syna, Jakowa.

Ewgienij rozumie, dlaczego Stalin nie mógł wymienić swego syna na generała niemieckiego – Friedricha Paulusa. Gdyby to zrobił, wiara w niego załamałaby się zarówno w kraju, jak i na froncie. Wierzy też w to, że – jak mówią – od tego czasu Stalin do końca życia nosił czarny podkoszulek, który według starej gruzińskiej tradycji oznacza żałobę.

Ewgienij niedawno założył Nową Komunistyczną Partię Gruzji. Za główny cel programowy przyjęto zjednoczenie z Rosją, co jest dla Gruzji ważne przede wszystkim w sensie ekonomicznym. Zanim jednak to nastąpi, trzeba zjednoczyć komunistów gruzińskich, odsunąć od władzy papierowych liderów i wejść do parlamentu, do którego od czasów niepodległości nie wszedł żaden komunistą. Na razie Ewgienij odtwarza historię w rodzinie. Chce zebrać wszystkie imiona dziadka. Pięcioletniego praprawnuka Stalina nazywano Józef Wissarionowicz Dżugaszwili.

Osiedlowe Muzeum Pamięci

Kiedy wspomniałem imię Ewgienija, Liana zmarszczyła czoło. „Oczywiście, cieszyłbyśmy się, gdyby taki wnuk się pojawił, ale Ew-

gienij w żaden sposób nie mógł udowodnić swego pochodzenia. Nie pokazał żadnych dokumentów”. Rozmawialiśmy na balkonie dobudowanym do 14-piętrowego bloku na osiedlu przy ul. Mickiewicza w Tbilisi, obok ogromnego marmurowego pomnika Stalina. Kiedy siedem lat temu postawili ten pomnik, sąsiedzi najpierw się śmiali, ale potem zobaczyli, że ludzie się interesują, turyści przychodzą, i nawet go polubili.

Grisza, mąż Liana, jest właścicielem największego chyba w Tbilisi zbioru pamiątek po Stalinie. Pomnik odkupił od mężczyzny ze wschodniej Gruzji. W domu wiszą obrazy, mozaiki, haftowane i tkane wizerunki Stalina. Jest kopia maski pośmiertnej. Najcenniejszy eksponat to walizka z narzędziami do pracy w ogrodzie. Liana podkreśla, że Stalin lubił „własnymi rękoma” popracować w ogrodzie, kiedy odpoczywał w Borjomi.

Ryba, która uciekła...

Dla wielu Gruzynów stalinizm stanowi czarną kartę historii. O tych, którzy ciągle go szanują, mówią z politowaniem. Dla innych jest synonimem lepszych czasów. Zwolennicy komunizmu chętnie cytują słowa Churchilla o tym, że kiedy Stalin przejął władzę, ZSRR miało tylko pług. Kiedy umierał, miało już bombę atomową.

Trudno jest człowiekowi, który całe życie wierzył w jakąś ideę, pod koniec życia powiedzieć: myliłem się, zmarnowałem życie. To tak, jakby pop przyszedł do umierającego i powiedział: „Przykro mi, ale raj nie istnieje”. Przysłowie gruzińskie mówi: „Ryba, która uciekła, wielką się wydaje”, i wielu ludzi wciąż opowiada, jak to dobrze wszystko było, gdy żył Stalin, jak blisko byli osiągnięcia tego rajy na Ziemi – komunizmu.

PAUL RIMPLE

Zdjęcia JUSTYNA MIELNIKIEWICZ



Ten portret wisi na dworcu w Gori od końca lat 40.



Edward Burne-Jones (1833–1898) „Koło Fortuny”, 1877–1883, 200 x 100 cm, olej na płótnie

- JOANNA BONIECKA
- ZBYLUT GRZYWACZ

EDWARD BURNE- -JONES

JOANNA BONIECKA: „Koło Fortuny”, będące od 20 lat w posiadaniu Musée d’Orsay, to jedno z najważniejszych dokonań Burne-Jonesa, wracał zresztą do tego motywu kilkakrotnie.

ZBYLUT GRZYWACZ: Fortuna obracająca koło, do którego są przywiązani łańcuchami nadzy młodzieńcy. Kobieta nie patrzy na nich, opuściła powieki, zatapiając się we własnym świecie.

J.B.: Nie, spogląda na tego, którego miażdży, żegna się z nim. Bo jest czuła, wrażliwa... I smutna – musi obracać koło.

Z.G.: Ten na dole skroń ma przybraną wieńcem laurowym – ani chybi poeta. A ten nad nim to król w koronie, na której opiera stopę ten trzeci. Kim on jest, nie wiemy, każdy z nas może nim być.

J.B.: Właściwie to „Taniec śmierci” à la Rafael.

Z.G.: Rafael, Botticelli, a przede wszystkim Michał Anioł – toż to jego Niewolnicy albo młodzieńcy ze sklepienia Sykstyńskiego.

J.B.: Obraz jest monochromatyczny, walorowo w umbrze malowany, tylko suknia Fortuny w czerni i bieli. Dwie strefy koloru i dwie odmienne skale – kobieta jest niewspółmiernie wielka.

Z.G.: Bo to personifikacja losu. Według tradycyjnej ikonografii przedstawiano Fortunę jako kobietę pędzącą na kole i sypiącą darami z rogu obfitości. U Burne-Jonesa koło, niczym w średnio-wiecznych torturach, służy do łamania. Fortuna, jak każda kobieta, zmienna jest, ale niezmiennie łamie życie mężczyznom.

J.B.: „Fortuna kołem się toczy” znaczyło kiedyś, i znaczy teraz, że każdemu jest pisane znaleźć się pod wozem, ale też, że każdy ma chwile – swoje piętnaście minut – szczęścia.

Z.G.: Tutaj tego nie widać. Przecież ten, który jest u góry, patrzy w dół i wie, że czeka go niechybna śmierć. Tu w ogóle nie ma mowy o piętnastu minutach szczęśliwości. Oni są przedmiotami w rękach Fortuny, która z nostalgicznym półśmiechem żegna swoje kolejne ofiary.



„Morska otchłań”, 1887 (jedna z wersji), 77 x 30, akwarela, wł.: Fogg Art. Museum – Harvard University

J.B.: Bardzo typowe dla tamtych czasów uosobienie femme fatale.

Z.G.: Uosobienie zła, bezlitosnej zagłady. Można by, patrząc na promień koła, obliczyć, ilu potłamańców produkuje Fortuna za jednym zamachem. Wedle rzymskiej religii ludzkim losem opiekowali się kobieca Fortuna i męski Fors. Jakoś dziwnie o Forsie nikt nie pamięta. Pozostała nieszczęśliwa Fortuna.

J.B.: Poza rogiem obfitości jej atrybutem był także ster – bo kierowała ludzkim losem. No i była niewidoma. Ślepy los...

Z.G.: No tak, ślepa kobieta za sterem – to musiało mieć zawsze dla podopiecznego tragiczny koniec: szedł na dno.

J.B.: Nie szedł sam – kobieta jest wierną towarzyszką, do końca. Widać to na innym obrazie, „Morska otchłań”, gdzie nurkująca syrena wciąga mężczyznę pod wodę.

Z.G.: Zobacz, jaka jest kontenta, że utopiła tego biedaka, z którego uchodzą ostatnie pęcherze powietrza. Z jaką czułością i poczuciem szczęścia przyholowała sobie na dno padlinę.

J.B.: Straszna wizja kobiecości. Przypomniał mi się fragment „Rzemiosła życia” Cesare Pavese, gdzie nieszczęsny poeta-impotent mówi o tym, że kobieta uczyni z każdego mężczyzny...

Z.G.: ...„Kobieta, która nie jest idiotką, wcześniej czy później natrafia na wrak ludzki i próbuje go uratować. Czasem jej się to udaje. Ale kobieta, która nie jest idiotką, wcześniej czy później natrafia na mężczyznę zdrowego i przeistacza go we wrak. To się jej udaje zawsze” (3 sierpnia 1937). Znam to na pamięć. Nie byłem nigdy prerafaelitą, ale antyfeministą – owszem, od czasu do czasu. W życiu bywa jeszcze inne powiedzenie, tym razem anonimowe – że kobieta lubi żywić się padliną. To są obiegowe zdania, które krążyły zawsze – tyleż prawdziwe, co nieprawdziwe.

J.B.: A sztuka się nimi żywi, szczególnie w epokach schyłkowych. Jak padliną.



FOT. KUBA DĄBROWSKI

JOANNA BONIECKA
– historyczka sztuki, dziennikarka.

ZBYLUT GRZYWACZ
– malarz, członek byłej Grupy Wprost, wykładowca krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Odwieczny problem berka



Pawlak

FOT. PAWEŁ KLEIN

To dla Was, drodzy Czytelnicy, co jakiś czas siadam przy biurku i trzę się przy pisaniu kolejnego tekstu do „Przekroju”. Zastanawiam się, czym Was rozśmieszyć, wzruszyć, zainteresować. I nagrodą za te godziny nad biurkiem, oprócz jakichś tam pieniędzy, które mi redakcja przysyła, są listy od Was. W większości to listy dla mnie miłe. Ale zdarzają się i inne. Właśnie ostatnio dostałem list od Czytelnika, któremu się bardzo moje pisanie nie podoba. Swój pełen niewyszukanych inwektyw list Czytelnik ów kończy zdaniem: „Jestem spokrewniony z Pawlakami, ale chyba nie z takimi. Pan chyba zmienił nazwisko”. I w ten sposób dotknął mojego bolesnego punktu.

Dzieci dość często boją się, że ich rodzice tak naprawdę nie są ich rodzicami, że zostały w szpitalu podmienione. Ja nigdy tego typu podejrzeń nie miałem, jestem bowiem tak podobny do swojego ojca, że nie ma najmniejszych wątpliwości, czym jestem dzieckiem. A więc nie zostałem podmieniony, jeżeli jestem Żydem, co tak subtelnie sugeruje mój Czytelnik, to nie z racji podmianki, a raczej z prawdziwego, że tak powiem, pochodzenia.

A więc jestem Żydem czy nie jestem? Powiniennem zapuścić sobie pejsy i omijać z daleka kosić księdza Henryka Jankowskiego czy, wręcz przeciwnie, mogę ostrzyc się na zero i kupić kij bejsbolowy? Ot, kłopot.

Pierwsze moje wątpliwości w tym względzie pojawiły się jeszcze w dzieciństwie. A dokładnie wtedy, gdy premierem Izraela został Menachem Begin. Kiedy bowiem pierwszy raz zobaczyłem Beginę w telewizji, ku konsternacji całej rodziny krzyknąłem – „O, dziadek!”. I rzeczywiście, postać przemijająca po ekranie była łudząco podobna do mojego dziadka. Jakby, jak to się mówi, ktoś z niego żywcem skórę zdjął.

Potem przez parę lat miałem z tym problemem spokój. Aż do studiów. Wtedy to bowiem oka-

zało się, że Służba Bezpieczeństwa przesłuchuje wszystkich moich kolegów z roku. Wszystkich, oprócz mnie. Poczuję się tym lekko zagrożony, szczególnie że wszystkim kumplom stawiano, jako ostatecznie, dokładnie to samo pytanie: „No dobrze, ale dlaczego pan się przyjaźni z tym Żydkiem Pawlakiem?”. Oho, pomyślałem sobie, coś w tym musi być. Przecież wiadomo, że SB wie, jeśli nie wszystko, to w każdym razie wiele. Może więc? Zajrzałem w spodnie. Napletek był na miejscu, co na pewien czas lekko mnie uspokoiło.

Ale wszystko wróciło w okresie szesnastu miesięcy „Solidarności”. A dokładnie pod sam koniec tego okresu, bodaj w listopadzie. Pracowałem wówczas w Komisji Kultury Regionu Mazowsze. I właśnie w listopadzie poszedłem, cholera wie

z plakatu był (jest zresztą do dziś) moim synem. Po paru latach, na pewnym bankiecie zorganizowanym przez byłą opozycję, znowu się zaczęło. Mianowicie pod koniec niezwykle miłego przyjęcia, kiedy już wszyscy byli podochoceni, dosiadła się do mnie piękna kobieta. Poczuję się zdecydowanie dowartościowany, mimo że dama była mocno pijana. A ona nachyliła się nad moim uchem i wyszeptowała: „Ślaj, czy ty jstsz ydem?” (Słuchaj, czy ty jesteś Żydem – że pozwolę sobie przetłumaczyć). Zaczęłem coś tam w odpowiedzi mamrotać, że w tym kraju, tak przecież wielonarodowym, wszystko się mogło zdarzyć i w związku z tym o prawdziwą czystość rasową jest niezwykle trudno. Że nie jest wykluczone, iż kiedyś jakiś Żyd moją prababkę albo mój pradziad jakąś Żydówkę...

„So ty tu pedoliszsz, jests szydem szy nie? Pszeczisz nie ma sie szeko wstysic...”

po co, na zebranie Zarządu Regionu. Jak tylko wszedłem do tej wielkiej sali, zorientowałem się, że przybyła tam także pokaźna grupa tak zwanych prawdziwych Polaków z myślą o obaleniu przewodniczącego Regionu – Zbyszka Bujaka. Już pierwszy argument jednego z „prawdziwych Polaków” lekko mnie przeraził. Bowiem ów młody człowiek wskazał palcem na plakat zjazdowy „Solidarności”, na którym mały chłopiec wymachiwał beztrojsko patykiem. I Polak ów prawdziwy zapytał groźnym głosem: „Ja to bym chciał wiedzieć, koledzy, czy ten chłopiec z plakatu to jest na przykład obrzezany. Bo moim zdaniem, to oczywiście jest”. Ciarki poszły mi po krzyżu, bowiem – tak się dziwnie złożyło – ów chłopiec

Ale jej to nie usatysfakcjonowało, machnęła ręką z takim rozmachem, że mało się nie przewróciła, i rzuciła w moim kierunku z wysiłkiem i naganą: „So ty tu pedoliszsz, jests szydem szy nie? Pszeczisz nie ma sie szeko wstysic...”. (Co ty tu pierdolisz, jesteś Żydem czy nie. Przecież nie ma się czego wstydzić). No to się zawstydziłem. Bo nie wiem.

I, tak naprawdę, nie wiem do dziś. I męczy mnie to okropnie. Męczy mnie na przykład pytanie, czy jak w dzieciństwie bawiłem się w berka, to nie popełniłem poważnego nadużycia. Bo może wprawdzie miałem prawo bawić się w berka, ale Joselewicza?

ANTONI PAWLAK

Program pozytywny

W publicznej ostały się, na szczęście, cykle „Zwyczajni – niezwyčajni” i „Polak potrafi”.

Narzekamy na TVP – i słusznie, bo jej się należy. Ale żeby to narzekanie było wiarygodne, trzeba czasem też pochwalić. Niniejszym przyznajemy, z własnej nieprzymuszonej woli, że są (jeszcze) w telewizji publicznej programy pozytywne. Tu istotne zastrzeżenie: nie mamy do czynienia z programem pozytywnym, jeśli po wyłączeniu odbiornika oddychamy z ulgą i dziękujemy Bogu (lub materii nieożywionej), że to nie my staliśmy się ofiarą molestowania, gwałtu, kradzieży z włamaniem lub pobicia. Że to nie nas molestowano w dzieciństwie, zdradzano, wykorzystywano i pozbawiono środków do życia. Uściślijmy: chodzi o zwyczajne programy, prezentujące pozytywne wzorce, nastawiające do życia i ludzi optymistycznie.

Nie ma już co prawda w telewizji publicznej duetu Mann i Materna, specjalizującego się w tok szołach, do których zamiast gwiazd i ofiar domowej przemocy zapraszano ludzi mających jakąś ciekawą pasję, na szczęście ostały się cykle „Zwyczajni – niezwyčajni” i „Polak potrafi”.

Ten ostatni program nie ma zbyt długiego rodowodu, więc warto go polecić z co najmniej dwóch powodów. Pierwszy nazywa się Janusz Weiss. Jeśli filar niezapomnianego „Salonu Niezależnych” akurat czegoś nie reklamuje, to istnieje prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że robi coś ciekawego i bliskiego życia. Telewizja, niestety, nie potrafiła dotąd wykorzystać jego umiejętności dziennikarskich, tak jak Radio „Zet” (dzwonię do pana w bardzo nietypowej sprawie), ale cykl „Polak potrafi” daje nadzieję, że będziemy pana Janusza oglądać nie tylko w roli prowadzącego teleturnieje.

Drugi (i chyba główny) powód, dla którego program warto polecić, to jego bohaterowie: wynalazcy,

konstruktorzy, słowem – wariaci, w najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu. Różni. Tacy, jak Jan Pieniążek, wymyślający wspólnie z Szymonem Majewskim śpiewające gwoździe i żarówki świeące po przytknięciu do głowy, oraz tacy, jak dwaj uczniowie radomskiego technikum, którzy skonstruowali mówiący czytnik kolorów dla osób niewidzących. W czasach, gdy kreowaniu telewizyjnych idoli przyświeca zasada „wystarczy być”, to prawdziwa rzadkość móc zobaczyć kogoś nieprzeciętnego, twórczego, a w dodatku pomagającego innym.

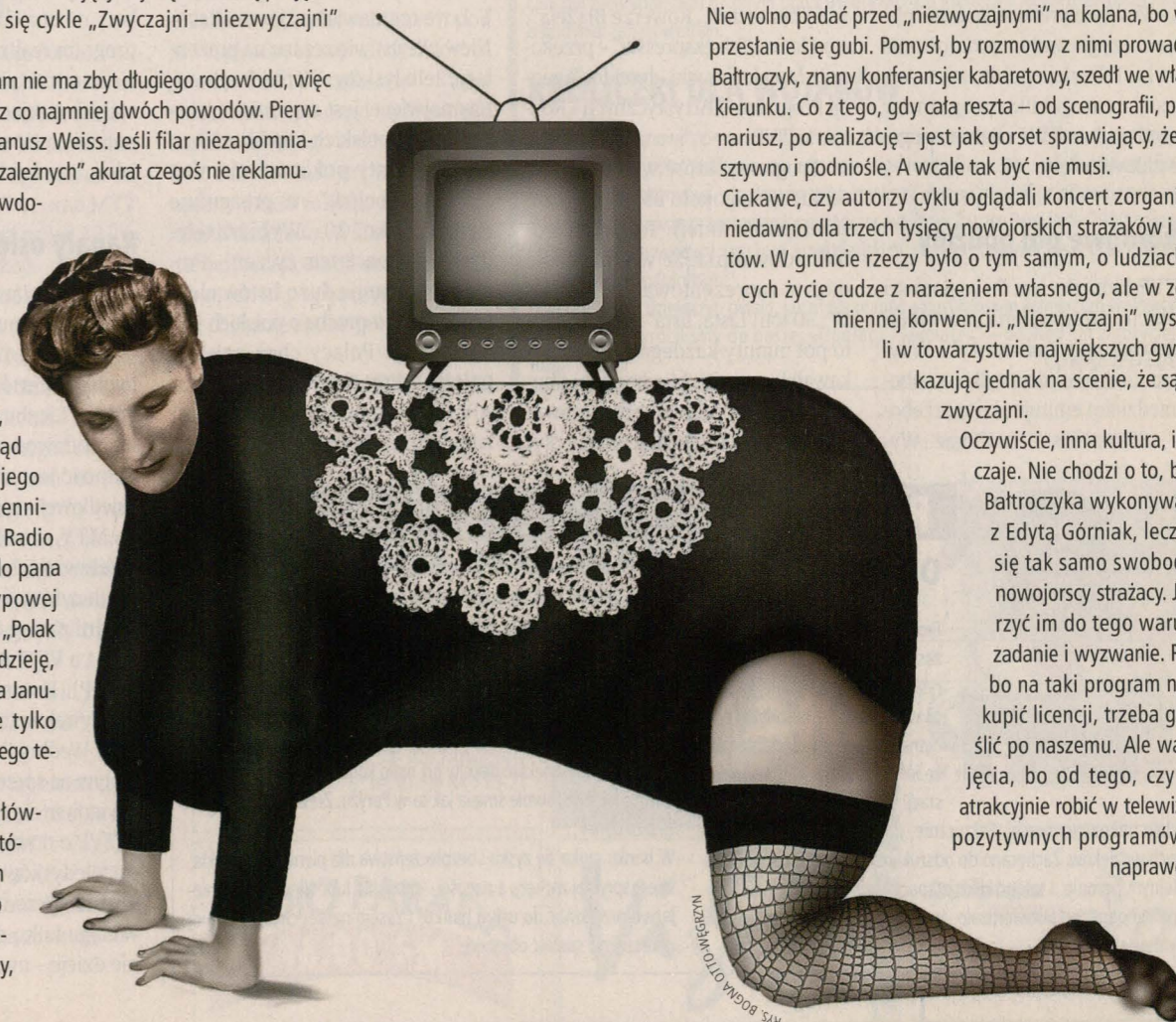
Cykl „Zwyczajni – niezwyčajni” idzie krok dalej, jest bowiem odtrutką na wszechobecną w telewizji fascynację złem. Autorzy pokazują, że odwaga, poświęcenie, altruizm występują w Polsce powszechnie, jak trądzik, także u ludzi – na pierwszy rzut oka – całkiem przeciętnych. Słowem: i mały, i duży może... bohaterem być.

Trudno o bardziej pozytywne przesłanie. Jest tylko jeden problem.

Nie wolno padać przed „niezwyčajnymi” na kolana, bo wtedy to przesłanie się gubi. Pomysł, by rozmowy z nimi prowadził Piotr Bałtrocyk, znany konferansjer kabaretowy, szedł we właściwym kierunku. Co z tego, gdy cała reszta – od scenografii, przez scenariusz, po realizację – jest jak gorset sprawiający, że robi się sztywno i podniosło. A wcale tak być nie musi.

Ciekawe, czy autorzy cyklu oglądali koncert zorganizowany niedawno dla trzech tysięcy nowojorskich strażaków i policjantów. W gruncie rzeczy było o tym samym, o ludziach ratujących życie cudze z narażeniem własnego, ale w zgola odmiennej konwencji. „Niezwyčajni” występowali w towarzystwie największych gwiazd, pokazując jednak na scenie, że są całkiem zwyczajni.

Oczywiście, inna kultura, inne obyczaje. Nie chodzi o to, by goście Bałtroczyka wykonywali duety z Edytą Górniak, lecz by czuli się tak samo swobodnie, jak nowojorscy strażacy. Jak stworzyć im do tego warunki – to zadanie i wyzwanie. Poważne, bo na taki program nie da się kupić licencji, trzeba go wymyślić po naszymu. Ale warto podjąć, bo od tego, czy uda się atrakcyjnie robić w telewizji więcej pozytywnych programów, zależy naprawdę wiele.



WŁAJER

„Uciagnęłybyście”, „podźwignęłyście”, „wydźwignęłyście” i „ukończyłybyście” to najwyżej punktowane słowa w języku polskim, możliwe do ułożenia na planszy do gry w scrabble. Za każde z nich uzyskuje się 1373 punkty.

CZYSZCZENIE STOJAKA

Od 17 do 25 listopada rozgrywano w Warszawie IX Mistrzostwa Polski w Scrabble. W pierwszym etapie zagrało 44 najlepszych zawodników z listy rankingowej Polskiej Federacji Scrabble oraz 14 osób wyłonionych podczas otwartego turnieju kwalifikacyjnego. Grupa ta pojedynkowała się każdy z każdym w siedmiu ośmioosobowych grupach. Do drugiego etapu dołączyli jeszcze broniący tytułu sprzed roku Mariusz Skrobosz i lider rankingu Tomasz Zwoliński. Ostatecznie finał rozegrali Tomasz Zwoliński i Marcin Mroziuk, który – jak dwa lata temu – pokonał w tych samych okolicznościach tego samego rywala i na dodatek uzyskał ten sam wynik: 4:1.

Prototypy

Wielki Kryzys skłaniał bezrobotnych Amerykanów do wymyślania różnego rodzaju wynalazków. W 1933 r. były architekt, Alfred Mosher Butts, mieszkaniec Poughkeepsie w stanie

Nowy Jork, wymyślił lexico, pierwowzór scrabble. Gra bez planszy polegała na ułożeniu jak najdłuższego słowa z losowanych liter. Za użycie liter rzadko występujących w angielskim otrzymywało się premię. Punktację i dobór liter Butts ustalił na podstawie lektury pierwszej strony „New York Timesa”, obliczając częstotliwość ich pojawiania się w tekstach.

Jednak żadna z firm, ówczesnych potentatów na rynku gier, nie była zainteresowana zakupieniem pomysłu. Butts wyprodukował jedynie 200 egzemplarzy lexico i sprzedał je znajo-

mym. W 1938 r. zabawę udoskonalili. Na planszę do szachów nakleili nową, niebieską, z większą liczbą pól i wprowadził zasadę układania słów jak w krzyżówce. Mimo to criss-crosswords także nikogo nie zainteresował.

Niewiele brakowało, a jedna z najbardziej popularnych obecnie gier świata przeszłaby do historii. Ale jeden z egzemplarzy criss-crosswords trafił w ręce Jamesa Brunota, który odkupił pomysł, zmienił nazwę i uprościł zasady.

16 grudnia 1948 r. gra została zarejestrowana w urzędzie patentowym jako Scrabble

CO CHODZI?

Gra w scrabble jest przeznaczona dla 2–4 osób. Polega na układaniu na planszy wyrazów z wylosowanych płytek, na których narysowana jest litera i jej wartość punktowa. Powstaje dzięki temu układ podobny do krzyżówki. Zwycięza ten z graczy, który zdobędzie za swoje wyrazy najwięcej punktów.

(słowo scrabble można tłumaczyć jako m.in. przegrzebywać). Brunot wraz z żoną zaczęli produkować grę w domu.

Małżeństwo traciło na interesie aż do 1952 r., kiedy nadszedł sukces. Scrabble trafiły do rąk Jacka Straussa, dyrektora Macy, największego ówczesnie domu towarowego, a ten zorganizował kampanię reklamową. Rok później sprzedawano już 6 tys. egzemplarzy tygodniowo. Zainteresowanie rosło z roku na rok. Brunot sprzedał licencję firmie Selchow and Righter.

Od 1994 r. prawa należą do firmy Mattel, jednego z największych producentów zabawek.

FILMOWE UKŁADANKI

Scrabble będzie tematem przewodnim dwóch filmów, przygotowywanych obecnie w USA. Pierwszy – „Your Word Against Mine” („Twoje słowo przeciwko mojemu”) opowiada o chłopcu, który poświęca wszystko, aby zostać mistrzem, ale spotyka godną siebie przeciwniczkę. Obraz zapowiadany jest jako komedia romantyczna. Drugi będzie historią człowieka ogarniętego obsesją grania i turniejów scrabble.

Gra zawojowała cały świat. W 1971 r. odbyły się pierwsze francuskojęzyczne mistrzostwa świata w scrabble, a w 1991 r. w Londynie pierwsze MŚ w wersji angielskiej. Obecny mistrzem świata krajów anglojęzycznych jest Kanadyjczyk Joe Wapnick.

Oprócz łacińskiego, produkowane są jeszcze plansze m.in. w alfabetach: arabskim, hebrajskim i cyrylicy, a nawet w brajlu.

Polskie przegrzebywanie

Pierwsze mistrzostwa Polski odbyły się w Warszawie 16 października 1993 r. 32 zawodników wyłoniono w korespondencyjnych eliminacjach, przeprowadzonych na łamach „Gazety Wyborczej”, „Wiedzy i Życia” i „Nocy”. Do finału dotarli Tomasz Zwoliński i Michał Derlacki. Pierwszym oficjalnym mistrzem Polski został Tomasz Zwoliński, zwyciężając rywala 288:263. Ten późniejszy, wielokrotny mistrz Polski w scrabble jest byłym mistrzem Polski w triathlonie, odnosił liczne sukcesy w wyścigach kolarskich. Scrabble zainteresował się podczas rekonwalescencji po wypadku. Teraz na pytanie: „Który pan dzisiaj będzie?”, mistrz odpowiada – „Pierwszy”, „A jeśli się panu nie powiedzie?”, z uśmiechem wyjaśnia – „Jeśli mi się szczególnie nie powiedzie, będę drugi”.

Polska wersja scrabble trafiła do sprzedaży w 1993 r. Jednak już od 1989 r. dziennikarz Jacek Ciesielski popularyzował grę na łamach tygodnika „Razem”. Odbywały się nieoficjalne turnieje na planszach domowej roboty lub przerabianych angielskich. Powstały kluby miłośników gry. Później promocją i organizacją konkursów zajęli się działacze scrabble’owi: Michał Derlecki i Andrzej Łożyński. W 1995 r. wprowadzono na rynek junior scrabble dla młodszych dzieci.

W 1997 r. zarejestrowano Polską Federację Scrabble. Prezesem jest Andrzej Łożyński. Federacja zrzesza obecnie 74 dorosłe osoby, bez względu na wykształcenie. Prowadzi oficjalny ranking, na którego czele niezmiennie stoi Tomasz Zwoliński. PFS wspólnie z firmą Mattel patronuje liczny klubom i organizuje turnieje. Przy pomocy językoznawców opracowany został „Oficjalny słownik polskiego scrablisty”. Zestaw dozwolonych źródeł obejmuje siedem słowników Wydawnictwa Naukowego PWN. Turnieje zwykle rozgrywane są systemem szwajcarskim; zawodnicy, mający podobny dorobek, rywalizują ze sobą w 20-minutowych partiach. Do udziału dał się namówić m.in. marszałek Sejmu Marek Borowski, grywają także Janusz Korwin-Mikke i Tadeusz Iwiński.

Polacy nie gęsi...

Poza tradycyjnymi scrabble w Polsce gra się w popularną w krajach francuskojęzycznych „belgijkę”, która polega na tym, że uczestnicy mają identyczny zestaw liter na stojaku i starają się jednocześnie znaleźć najwyżej punktowany ruch.

Karpotka – wymyślona w marcu 1998 r. w Karpaczu (stąd nazwa) – to gra dla czworga tworzących pary siedzące obok siebie. Partnerzy widzą swoje płytki i wykonują ruchy w dowolnej kolejności, jeden po drugim. Nie mogą się jednak porozumiewać słowami, a jedynie za pomocą odpowiedniego ustawiania liter na swoim stojaku.

Przy PFS powstała także sekcja anglojęzyczna, która wysłała swojego reprezentanta, Wojciecha Łusakiewicza, na mistrzostwa świata w Australii, gdzie zajął 80. miejsce.

W scrabble można zagrać też w Internecie. Najbardziej profesjonalnym jest współpracujący z PFS: www.games.cronix.pl. Na tej stronie obserwować można było ostatnie mistrzostwa Polski. Wszystkie informacje na temat gry, turniejów, klubów i samej federacji zamieszczane są na www.pfs.org.pl.

W Polsce sprzedaje się 40 tys. egzemplarzy gry rocznie. Można więc przyjąć, że u nas gra się na ok. 360 tys. plansz. Jeżeli pomnożymy tę liczbę przez co najmniej trzy osoby, to mamy ponad milion polskich scrabble’istów. Imponujący wynik.

ANNA PIECZARA

NIEKTÓRE TERMINY ZE SŁOWNICZKA POLSKIEJ GWARY SCRABBLE’OWEJ:

PREMIA, SIÓDEMKA, SKRABEL, STOJAK, WYKŁADKA, CAŁOSTKA, ZE WSZYSTKICH (WYJŚĆ), PIĘCDZIESIĄTKA – wyłożenie wszystkich siedmiu liter ze stojaka premiowane dodatkowymi 50 punktami; także: posiadanie na stojaku siedmioliterowego słowa, nawet jeśli nie ma możliwości wyłożenia go na planszę („miałem SIÓDEMKĘ, ale przeciwnik zablokował wszystkie miejsca”).
CZYSZCZENIE STOJAKA – wybranie z kilku możliwych ruchów nie tego, który jest najlepszy punktowo, lecz pozwalającego pozbyć się największej liczby CIĘŻKICH LITER, nadmiaru samogłosek albo spółgłosek.

CIĘŻKIE LITERY – A, C, E, N, O, S, Z, Ż; niektórzy uważają za ciężką literę F, inni wykluczają z tej grupy A i E.

MYDŁO – inne określenie blanka, czyli płytki, na której nie ma żadnej litery i można użyć ją jako dowolną.

SAMOGRAJ – określenie sytuacji, gdy gracz losuje takie litery, że bez specjalnego wysiłku, układając niezbyt skomplikowane słowa, robi w partii duży wynik, podczas gdy przeciwnik toczy...

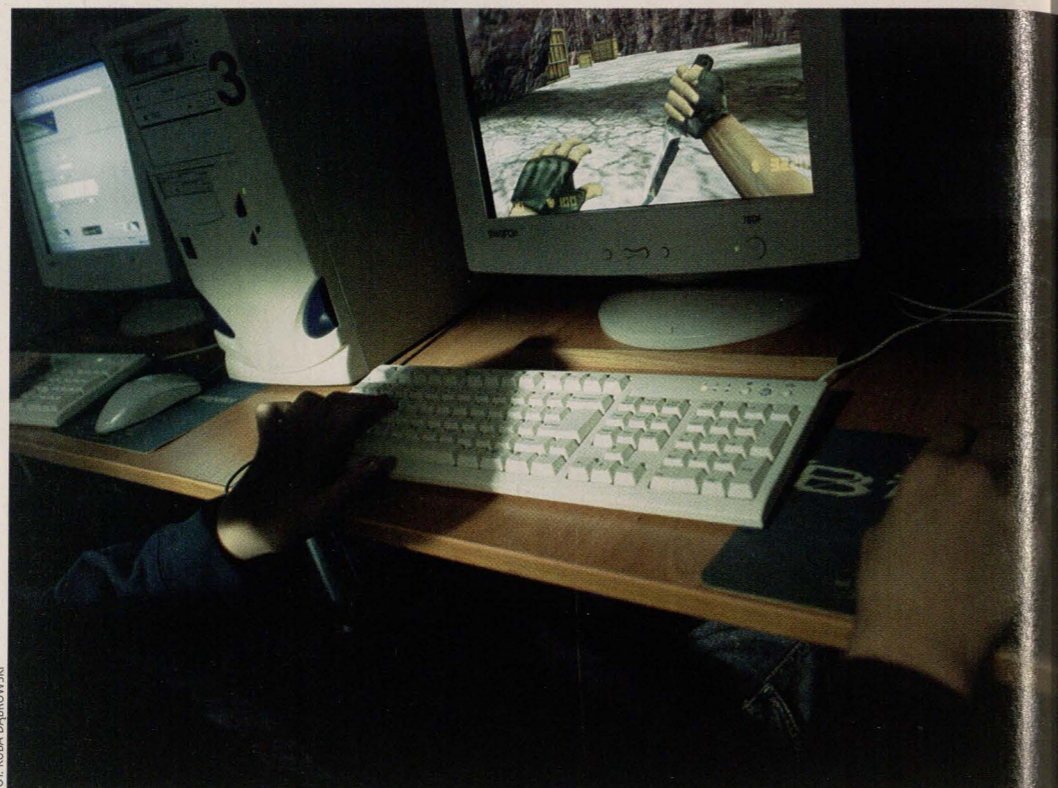
...**WALKĘ Z LITERAMI** – gracz dobiera litery, które nie pozwalają mu robić wysoko punktowanych ruchów, a gdy już zdecyduje się na wymianę, to losuje jeszcze gorsze.

WCISKANIE KITU – ułożenie słowa niedopuszczalnego w scrabble i przekonanie przeciwnika, że takowe istnieje. Odbywa się poprzez szybkie przystąpienie do zapisywania ruchu, odwrócenie uwagi bądź odpowiednią argumentację, a czasem i bez tych „subtelnych” zabiegów.

NAPISAĆ – ułożyć słowo na planszy.
POPRAWKA KRYSI – reguła, stosowana w partiach towarzyskich, popularna w Łodzi, polega na tym, że jeśli gracz nie zna choćby przybliżonego znaczenia układanego słowa, szuka go we własnym czasie w słownikach i podaje definicję przeciwnikowi; propozycja łódzkiej scrabble’istki Krystyny Augustyniak.
CYBORG, IMPLANT – lekceważące, czasem z nutą zazdrości, określenie gracza, dysponującego obszernym słownictwem, ale nie potrafiącego podać choćby przybliżonego znaczenia większości używanych słów.

BEZRANKINGOWIEC – gracz, który nie posiada jeszcze rankingu, zatem ma bardzo skromne doświadczenie turniejowe – porażka z **BEZRANKINGOWCEM** jest zwykle wstydliwie przemilczana przez doświadczonych graczy.

Skoki narciarskie oczywiście z Małyszem, Umberto Eco i rozbiory Polski - to można znaleźć, wybierając gry pod choinkę.



W prawej ręce mysz, w prawej ręce nóż.

Świąteczne granie

Z ukazujących się rokrocznie kilku tysięcy gier komputerowych ponad jedna trzecia trafia na rynek przed świętami. W Stanach Zjednoczonych obroty producentów gier są wyższe niż obroty całej branży filmowej. Obok tradycyjnych tu odbiorców elektronicznej rozrywki (kilkunastoletnich młodzieńców o niezdrowej cerze), spore grupy graczy stanowią przedstawiciele klasy średniej płci obojga.

W gwiazdkowej ofercie znaleźć można prawdziwe perełki - gry pozabawione bezsensowną przemocą, inteligentne, wyrafinowane. Dzięki staraniom polskich wydawców prawie wszystkie trafiają na nasz rynek, często w polskiej wersji.

Na sportowo

W tym roku wyjątkowo interesująco przedstawia się wybór

gier sportowych. Największym bestsellerem okazał się zapewne „Skoki narciarskie 2002: Polskie Złoto” (wyd. Dobra GRA, cena 19,95 zł), symulator pewnej niegrywalnej popularnej w Polsce dyscypliny zimowej z silnie zaznaczoną obecnością Adama Małysza. Jego podobizna nie tylko zdobi pudełko i płytę kompaktową, ale jest on także, a może przede wszystkim, najlepszym dostępnym w grze skoczkiem.

W odróżnieniu od niezwykle popularnej w ubiegłym sezonie, darmowej „Gry w Małysza” (która naprawdę nazywała się „Deluxe Ski Jumping” i pochodziła z Finlandii), „Skoki narciarskie 2002” mogą pochwalić się w pełni trójwymiarową grafiką, dostępem do dwudziestu dość dokładnie odwzorowanych skoczków i siedemdziesięciu dwóch zawod-

ników oraz dodatkowymi atrakcjami w rodzaju złożonego systemu woskowania nart.

Zawiedzeni nie powinni czuć się także fani futbolu, których - jak co roku - kolejnym wydaniem gry „FIFA Football” (wyd. IM Group, cena 129 zł) rozpieścił faktyczny monopolista na rynku gier sportowych, EA Sports (firma odpowiedzialna także za serie NHL, NBA, MBL czy NFL). Najnowsza „FIFA”, oznaczona datą 2002, odwzorowuje boiskowe wydarzenia tak realistycznie, że postronny widz mógłby pomylić rozgrywkę z telewizyjną transmisją meczu. Posiadana przez EA Sports licencja sprawia, że gracz ma do dyspozycji ponad 300 drużyn ligowych i 125 reprezentacji narodowych - w tym rzecz jasna polską, którą można poprowadzić do triumfu w rundzie kwalifikacyjnej mistrzostw

świata. Na wersję zawierającą właściwe mistrzostwa przyjdzie graczom poczekać do wiosny.

Witaj przygodo

W przemyśle gier komputerowych występuje, i to jeszcze na większą skalę, proces analogiczny do tego ze świata filmu. Niektórzy producenci docho- dzą do wniosku, że doskonała grafika komputerowa jest w stanie zastąpić porządny scenariusz.

Na szczęście są twórcy, których technika nie omamiła. I tak włoskie studio Trecision wyprodukowało znakomitą grę „The Watchmaker” - „Zegarmistrz” (wyd. Manta Multimedia, cena 79,90 zł), której fabuła oparta jest luźno na powieści „Wahadło Foucaulta” Umberto Eco. Oto ta-

jemnicza międzynarodowa organizacja ukryła na terenie wielkiego austriackiego zamczyska wahadło, które ma moc agregowania mistycznej energii, pochodzącej z niewidocznych, opasujących Ziemię kanałów. Plany organizacji muszą pokrzyżować przybyli z Londynu detektyw - specjalista od zagadnień paranormalnych - i prawniczka. Mają na to jedynie 12 godzin.

Kierujemy na przemian tymi dwoma postaciami i musimy wykazać się zdolnościami dedukcyjnymi, psychologicznymi, spostrzegawczością i instynktem łowcy. Po raz kolejny ty, graczu, masz ocalić ludzkość, co zresztą w filmach „made in USA” pojawia się nagminnie. Jednak „Zegarmistrz” wyróżnia się na tle innych okrucieństw.

Strategia i taktyka

W te święta zawiedzeni nie powinni czuć się także zwolennicy ściśle logicznego myślenia strategicznego. Dla nich CD-Projekt wydaje w grudniu dwie znakomite gry traktujące o polityce na skalę globalną - „Cywilizację 3” (cena 159,90 zł) oraz „Europa Universalis II” (cena 99,90 zł).

Pierwszy tytuł to kolejna odsłona jednej z najstojniejszych gier wszech czasów. Twórca „Cywilizacji”, Sid Meier, gdy komputery osobiste miały jeszcze bardzo małe możliwości, stworzył

grę doskonałą - fascynującą, choć uproszczoną symulację świata. W „Cywilizacji 3”, podobnie jak w poprzednich częściach, gracz wciela się w kogoś w rodzaju Króla-Ducha, obejmującego władzę nad wybranym przez siebie narodem.

Dysponując na początku jedynie grupą osadników, którzy właśnie zdecydowali się na założenie pierwszego miasta, musi przeprowadzić swój lud poprzez historię, rozbudowując jego zaplecze ekonomiczne, prowadząc wojny i dyplomację, dbając o dobro poddanych i postęp naukowy. Sukces osiągnąć można bądź to zwyciężając pozostałe ludy, bądź też osiągając sukces w dziedzinie wiedzy i wyruszając jak najszybciej na podbój gwiazd.

Gra - przy stosunkowo prostym systemie sterowania - jest niesłychanie złożona. Mamy

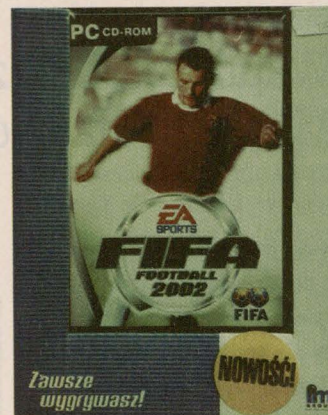
pewność, że za każdym razem rozgrywka będzie wyjątkowa, niepowtarzalna i oryginalna.

O ile „Cywilizację 3” można by nazwać propozycją dla miłośników „Zderzenia cywilizacji” Huntingtona, o tyle „Europa Universalis II” ucieszy pasjonatów „Europy” Normana Daviesa. W tej stworzonej w Szwecji grze pieczołowicie odtworzono realia polityki europejskiej w okresie od końca średniowiecza po oświecenie.

Gracz biorąc w swoje ręce losy jednego z ponad dwustu (sic!) państw świata (nie tylko ze Starego Kontynentu), miast tworzyć historię od postaw, może odmienić bieg historii nam znanej. Na przykład uchronić Rzeczpospolitą przed rozbiorem, podbić z Anglikami kontynentalną Francję, wyładować wraz z Indianami południowoamerykańskimi na plażach Europy. Jest tu wszystko - sojusze, wojny religijne, małżeństwa monarchów, niepokoje społeczne, kolonizacja, wielki handel. Trudno sobie wyobrazić program lepiej bawiący ucząc i uczący bawiąc.

Setki innych

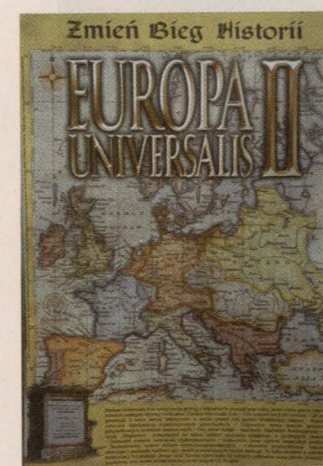
Powyżej znalazło się miejsce dla kilku tylko najbardziej godnych uwagi gier spośród świątecznej oferty polskich wydawców. Coś dla siebie znajdą także fani symulatorów lotu, wyścigów samochodowych, gry Monopoly, Muminków, klimatów oriental-



nych, Harry'ego Pottera... Słowem - dla każdego coś miłego.

Zaraz na początku nowego roku pojawią się zapowiedzi, że na następne święta pojawi się... Tak, Wielkanoc to także święto wszystkich komputerowych graczy.

JAKUB T. JANICKI
Współpraca
ŁUKASZ DZIATKIEWICZ



JAK KUPOWAĆ GRY?

Zanim kupimy komuś konkretną grę, sprawdźmy, czy jego komputer nie okaże się dla niej za słaby. W tym celu należy dyskretnie wy badać otoczenie przyszłego obdarowanego, ustalając w ten sposób konfigurację jego sprzętu, a następnie porównać ją z wymaganiami gry, zawsze zamieszczanymi na pudełku. Jeśli okaże się, że wymagania upatrzonych tytułów są zbyt duże, bez paniki - zawsze można sięgnąć po starszą grę, wydaną w jednej z serii z klasyką. Mają one tę dodatkową zaletę, że są tańsze. Kupować jedynie gry oryginalne, zapakowane w firmowe pudełka, sprzedawane w specjalnych

sklepach, salonach multimedialnych i hipermarketach. Przeciwno kupowaniu gier na giełdzie przemawiają nie tylko względy etyczne (piractwo to zwykła kradzież), ale także praktyczne - decydując się na grę piracką, rezygnujemy z instrukcji i pomocy technicznej ze strony wydawcy. Nie mamy też żadnej gwarancji, że grę w ogóle da się zainstalować i wystartować. Nie można także wykluczyć zainfekowania naszego komputera wirusem. Wreszcie na wręczoną nam chyłkiem płytę CD może być zupełnie inny program lub po prostu będzie... pusta.



REPR. BOGDAN KRZEL

Współczesne dzieła nadają się na gwiazdkowe podarunki? Można je dawać bliskim i przyjaciom?

Pytań jest więcej – czy znieś to nasza kieszeń, czy dzieło zmieści się w naszym domu, czy nie będzie zagrażać zdrowiu i życiu bliskich, których chcemy obdarować? Jedno jest niewątpliwe: dzisiejsze pomieszczenie gatunków i nurtów w sztuce pozwala wybierać w niej jak w worku św. Mikołaja – znajdzie się w nim konceptualizm, który właściwie nie produkuje dzieł, tylko dokumentację danego pomysłu, rzeźby z mydła i metalu, które trudno zmieścić w lokalu mniejszym od fabrycznej hali, performance, który jest raczej spektaklem niż dziełem sztuki, zatem jako podarek można komuś raczej dać zaproszenie do galerii niż gotowe dzieło.

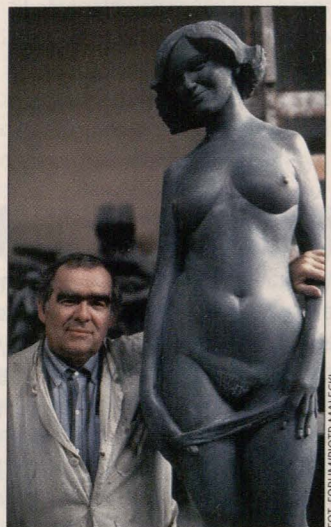
Są też artyści, i jest ich niemało, którzy nie trudnią się wykonywaniem dzieł, tylko zlecają je zakładom rzemieślniczym. Ale znajdziemy też malarzy, którzy pracownie w atelier wypełniają płaszczyzny płóciem, nie bojąc się określenia „nienowoczesny”, rzeźbiarzy, którzy modelują spiż i tworzą pomniki bohaterom, oraz grafików, którzy żmudnie wypełniają kreskami metalowe płyty. Przyjrzyjmy się artystom, o których „P” pisał w tym roku. Co mogą nam zaoferować w charakterze prezentu pod choinkę?

Zdzisław Beksiński



Artysta popularny i drogi, ale można kupić zarówno jego obrazy, jak i grafiki komputerowe. Jedyny kłopot w tym, że zrujnowane pejzaże i twarze bez oczodołów nie za bardzo pasują do nastroju Bożego Narodzenia. A podobną grafikę można zrobić samemu na średniej klasy komputerze.

Marian Konieczny



Twórca pomników. Można zamówić u niego posąg wielkości dowolnej. Drogie, ale trwałe. Pre-

zent należy zamówić odpowiednio wcześniej, ustalić terminy z zakładem odlewniczym i zorganizować tira z lawetą.

Cezary Bodzianowski



Nic się nie da kupić, bo artysta nie tylko unika produkowania jakichkolwiek dzieł, ale wręcz ma lęk przed wystawianiem w galeriach. Tworzy ulotne fakty uliczne, jak pukanie ludziom do okien o szóstej rano i mówienie im „dzień dobry”, czy lekcja WF-u poprowadzona przez niego w jednym z warszawskich liceów.

Maurizio Cattelan

Bardzo droga gwiazda sztuki światowej. Papieża nie można już kupić, bo ktoś to nabył na aukcji za ponad 800 tys. dolarów. Gdyby ktoś inny w Polsce nie usiłował zniszczyć rzeźby, cena byłaby o wiele niższa. Cattelan nigdy



nie wykonuje prac sam, tylko zleca je rzemieślnikom. Więc i my możemy zamówić sobie dowolną kukkę w fabryce manekinów.

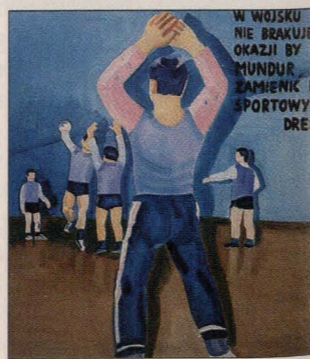
Mirosław Bałka

Rzeźbiarz, „robiący” w metalu, mydle, soli, ludzkich włosach. Bardzo słynny i drogi, ale dzieła kłopotliwe w przechowywaniu. Poza tym robi wszystko na swój wymiar, np. blachę z otworami na oczy na wysokości 190 cm lub pudełko na stopę nr 45, więc prezent raczej nie dla osób niskich i z kompleksami.

Kijewski/Kocur

Rzeźbiarze tworzący z materiałów zaskakująco nierzeźbiarskich: pierza, plexi, futra, żelków Haribo, klocków Lego. Jak znalazł – prezent dla dzieci, choć wbrew pozorom dzieła duetu są dość drogie – właśnie ze względu na egzotyczne tworzywo.

Marcin Maciejowski



Maluje obrazy i komiksy. Można zamówić u niego obraz, terminy krótkie. Rzetelny i dosyć niedrogi. Ze względu na popularną tematykę obrazów uznawany za portrecistę czytelników prasy bulwarowej i wielbicieli sportowych lampasów.

Duet Magisters



Zbigniew Rogalski i Rupert Czerembo – młodzi malarze i fotografowie. Ich wielkoformatowe obrazy są zaskakująco tanie, bo 1 metr kwadratowy kosztuje około 1500 zł. Jeśli kogoś nie stać, kilka dni temu duet wydał album fotograficzny „Na srebrnym globie” formatu 5 x 8 cm, który można kupić już za 4 złote.

Zbigniew Makowski



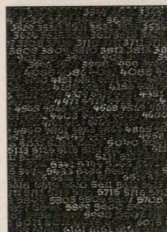
Wielki malarz, grafik i erudyta. Obraz lub grafika ze względu na ilość inskrypcji w obcych językach to prezent dla wykształconych i kawał lektury na długie, zimowe wieczory.

Teresa Murak



Preferuje jako materiał artystyczny rzeźbę, więc to raczej prezent wielkanocny. Artystka potrafi zrobić z tych roślinek dywan, płaszcz, rękawice, kapelusz. Do wykonania prezentu potrzeba lnianej materii, kilograma ziarenek rzeźuchy, wody, ciepła i kilku dni.

Roman Opałka



Jedne z najdroższych cyferek w historii sztuki. Od lat 60. Opałka maluje numerki w rosnącym porządku i ich cena wciąż rośnie. Zamiast obrazu Opałka można komuś podarować wyciąg ze spisu ludności lub stronę z książki telefonicznej.

Joanna Rajkowska



W ramach akcji artystycznej „Satysfakcja gwarantowana” wyprodukowała porządne przedmioty, czyli słynne puszkę z napojami, zawierającymi wyciąg z części jej ciała. No, ale puszkę z coca-colą zazwyczaj nie kupuje się w prezencie, więc napoju z siatkówki oka też chyba nie wypada.

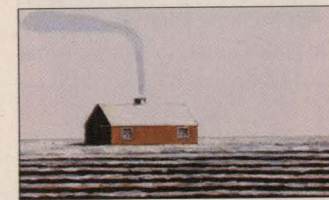
Marek Sobczyk



Kawał z niego malarza. Każdy obraz ma inną kolorystykę, więc jest w czym wybierać. Zawsze wymyśla zabawne i frapujące ty-

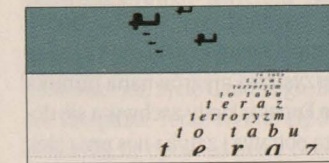
tuły, zatem jest też co poczytać. Problemem jest format – zazwyczaj duży. Ale to prezent jak ulał, tyle że to dość drogi artysta.

Leon Tarasewicz



Malarz kłopotliwy, bo preferuje hektarowe formaty i kolorowe paski malowane na podłodze, ścianach, nawet na suficie. Czasami robi drewniane rusztowania, zza których przelewa się stygnąca farba. Prezent po pierwsze drogi, po drugie terroryzuje przetrzeźń, po trzecie można go zrobić samemu i to w dowolnej, ulubionej gamie kolorystycznej.

grupa Twożywo



Tworzą billboardy, czyli wielkoformatowe plakaty uliczne o zagadkowej treści. Najślynniejszy z nich „Jutro będzie wojna” wzbudził kontrowersje po 11 września. Cena niewygórowana, ale taki plakat można powiesić tylko w hangarze lub w bardzo dużej stodole.

Zbigniew Warpechowski



Kawał z niego malarza. Każdy obraz ma inną kolorystykę, więc jest w czym wybierać. Zawsze wymyśla zabawne i frapujące ty-

Niemal niemożliwe nabycie czegośkolwiek, bo to ojciec polskiego performance, czyli spektaklu tworzonego przez artystę na żywo, na oczach publiczności. W ramach prezentu można zaprosić osobę obdarowaną na performance pana Zbigniewa. Prezent dla idealistów, przedkładających pomysł nad przedmiot.

Julita Wójcik



Można od niej kupić wyszydełkowane misie i myszki w cenie. No, ale po co, skoro takie same można kupić o wiele taniej w sklepie zabawkowym lub zrobić własnoręcznie. Artystka obierała też ziemniaki w galerii, pływała pod wodą z pojemnikiem farb akwarelowych, hodowała kwiaty na skwerze. Na święta się nie nadaje, bo ziemniaki nie przystoją ani na prezent, ani wigilijny stół.

Artur Żmijewski



Tworzy filmy wideo, więc podarkiem byłaby kasetka, płyta DVD lub zapisany na dysku komputera plik z krótkim filmem. To dzieła o bolesnych tematach, więc takim podarkiem można ostudzić nastrój świąt. A poza tym, skoro dzieła są do obejrzenia w Internecie, więc po co kupować? A dawać w prezencie adres www. – raczej nie przystoi.

WOJCIECH BIT

Nie wszystkie teatry przebie-
rają się w Mikołajowe czapy.
Pewne pytania nie znikną tylko
dlatego, że co roku w grudniu
chcemy być lepsi, śpiewamy ko-
leśdy i spoglądamy w gwiazdy.

Wybraliśmy spektakle, nie-
dawne premiery, dotąd nie re-
cenzowane w „Przekroju”, na
które trzeba zwrócić uwagę
w przyszłym sezonie. Więk-
szość z nich porusza problemy
nie wygodne i drażliwe. Święta
to nie jest odpoczynek od my-
ślenia i czas polewania lukrem
struchlałego serduszka widza.

Gdańsk: Tanie barowe historie

Lukasz Czuj, reżyser, który
w gdańskim Teatrze Wybrzeże
wziął na warsztat „Dwa” Jima Car-
trighta, musiał spędzić nie jeden
wieczór w knajpach podobnych
do tej, w jakiej dzieje się akcja
sztuki. Ludzie przychodzą do pu-
bu trochę tak jak do konfesjonau-
 – po wysłuchanie i zapomnienie,
po obecność drugiego człowieka.

Dorota Kolak i Grzegorz
Chrapkiewicz, kreując pary róż-
nych postaci, posługując się od-
mienną gestykulacją, uruchamia-
ją inne emocje. Tworzą galerię
nieudaczników, ludzi złamanych
lub zagubionych, kryjących w so-
bie tęsknotę za innym życiem.
Kolak jest w tym perfekcyjna;
przeistacza się w mgnieniu oka,
zmienia maski jak rękawiczki.
Chrapkiewicz nie wychodzi z roli
równie szybko i w kilku jego
bohaterach widać jeszcze ślady
poprzedniej kreacji. Oboje jednak
odgrywają ludzkie emocje tak, że
brzmia one nieprawdziwie
w przestrzeni podrzędnego pu-
bu: w rozpacz po stracie syna
dzwięczy Ibsen, w historii ko-
chanki żonatego mężczyzny –
Tennessee Williams.

Wypełniające dramat Cartwrighta
opowieści balansują na grani-
cy kiczu. Dziwactwa klientów przy-
legają do siebie niczym kolejne
warstwy tortu; komedia przekłada-
na jest tragedią, tragedia komedią –

ŚWIĄT nie będzie

i tak aż do zamknięcia. Opatrując
zwierzenia bohaterów rzewną mu-
zyką, reżyser wydobywa senty-
mentalny ton tych historii. Szkoda
też, że nie wiemy, skąd przycho-
dzą, dokąd pójść, co się z nimi sta-
nie. Ale posłuchać ich warto. Bo ni-
by dla czego zapijanie życiowych
klęsk w podrzędnym pubie nie
miałoby stać się materią sztuki?

MONIKA ŻÓŁKOŚ

Poznań: Europa i Rosja

Nowe przedstawienie legen-
darnego Teatru Ósmego Dnia
wreszcie pokazywane jest w Pol-
sce. Po premierze na Expo 2000
w Hanowerze spektakl obejrżeli
w listopadzie widzowie poznań-
skiego festiwalu „Maski”. W no-
wym roku „Ósemki” objadają z nim
zapewne wszystkie najważniejsze
polskie przeglądy teatralne.

„A jednak się kręci” to seria
nanizanych koraliłkowiec opowieści
– każda skondensowana została
w kilku pięknych scenach. W jed-
nej z miejskich hal targowych Poz-
nania widzów przywitał spod
sufitu monstrualny Duch Europy.
Tułw aktora rozszerzał się w kil-
kunastometryczny czarny stożek.
Za chwilę z jego gigantycznej
sukni została wyczarowana histo-
ria kontynentu – od średniowie-
cza do współczesności. Na scenie
pojawiali się kolejno rycerze,
mnisi Wielkiego Inkwizytora, za-
glowce Kolumba, libertyni, pa-
rasyści rewolucyjni, armia Na-
poleona, dziewiętnastowieczni
entuzjaści nauki, Hitler, Stalin,



Dorota Kolak i Grzegorz Chrapkiewicz w spektaklu Teatru Wybrzeże „Dwa”.

wreszcie burzyciele berlińskiego
muru. Suknia pełniła funkcję ko-
łowrotu dziejów, pobojuwiska, by
wreszcie pod koniec spektaklu
stać się karuzelą wolności. W jed-
nej chwili żalobny kir zmieniał
się w kolorową mapę, po odkry-
ciu Ameryki rozdzieraną przez
admirałów na strzępy.

Jednym z aktorów grających
w „A jednak się kręci” był reżyser
Teatru Biuro Podróży – Paweł
Szkotak. Jego najnowszy autorski
spektakl to zrealizowana w Te-
atrze Polskim „Martwa Królew-
na” – sztuka rosyjskiego drama-
turga Nikołaja Kolady. Szkotak
opowiada w nim, że ludzie nie są
dobrzy, tylko dobrymi bywają.
Oto daleko stąd, na rosyjskiej
provincji, istnieje doświadczalna
klinika weterynaryjna, gdzie pracu-
je i mieszka niejaka Rimcia (per-
fekcyjna w tej roli Beata Bandur-
ska). Ta kobieta-imbecyl, okrut-
ne, pijane straszdyło, uśmierca
prądem „w ramach procesu dy-

MARIAN GORCZYŃSKI

Gdynia: Muzyka w oparach snu

Leszek Możdżer – jeden
z najwybitniejszych obecnie pol-



Scena ze „Snu nocy letniej” z gdyńskiego Teatru Muzycznego.

skich kompozytorów muzyki
współczesnej – wspólnie z reży-
serem Wojciechem Kościelni-
kiem i choreografem Jarosławem
Stańkiem stworzyli swego
czasu polską wersję amerykań-
skiego „Hair”. Teraz znów w Te-
atrze Muzycznym w Gdyni się-
gnęli po „Sen nocy letniej” Szek-
spira w tłumaczeniu Gałczyń-
skiego i przygotowali oryginalną
transpoperę.

Muzyka do spektaklu po-
wstawała rok, młodzi aktorzy
zostali wyłonieni w castingu. Do
roli Tytanii i Hipolity zaangażo-
wano Justynę Steczkowską.
Trudno więc ukryć, że jest to
„Sen nocy letniej” głównie dla
młodej widowni.

Najważniejsza w spektaklu
jest muzyka Możdżera. Bujna,
wielopiętrowa, wielowłatkowa,
z cytatami nie tylko współcze-
snymi, ale i wagnerowskimi.
Kompozytor nieustannie zmie-
nia style. Bohaterowie śpiewają
Szekspira, tak jakby śpiewali
rocka.

Wspaniałą kreacją (i wokal-
nie, i aktorsko) w podwójnej ro-
li Puka i Filostratesa stworzył
Janusz Radek. Wszyscy bohate-
rowie gdyńskiego „Snu” są
piękni i młodzi – i nie jest to za-
bieg przypadkowy i bez zna-
czenia. Bowiem „Sen nocy let-
niej” Możdżera i Szekspira to
rzecz o miłosnym zapatrzeniu,
czarach miłości i pożądanu,

które czynić może spustoszenie
w delikatnej materii uczuć.
ALEKSANDRA ZDROJEWSKA

Lublin: Kantor raz jeszcze

Przez lata teatr offowy, nie-
zależny kojarzony był z arty-
stycznym fermentem i pokole-
niowym buntem. Jednak dzisiejsi
„młodzi, niepokorni” za-
domowali się na dobre w te-
atrach instytucjonalnych i to
tam jest miejsce na ekspery-
ment artystyczny. Dawne kręgi
alternatywne nie mają już aspi-
racji odmiennianin oblicza pol-
skiego teatru. Weterani ruchu
myślą raczej o przekazaniu
pewnej wiedzy i nauczaniu
wrażliwości przedstawicieli no-
wych generacji. Polski Off po-
wolutku zaczyna przypominać
tajny uniwersytet.

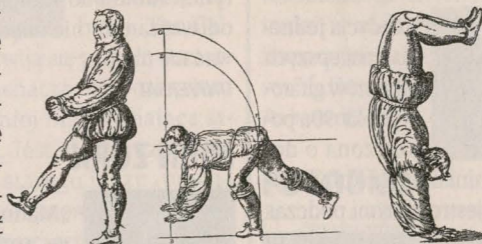
Od kilku lat w podlubelskich
Gardzienicach działa Akademia
Praktyk Teatralnych, animowana
przez Włodzimierza Staniewskie-
go i jego aktorów. Pod koniec paź-
dziernika jej studenci pod kierun-
kiem Krzysztofa Miklaszewskiego
– wieloletniego współpracownika
i aktora teatru „Cricot 2” – przygo-
towali nową wersję „Umarłej klasy”,
próbę ponownej inscenizacji

scenariusza najsłynniejszego
spektaklu Tadeusza Kantora.
W „Scenach z „Umarłej klasy”
nie ma manekinów, wojennej
traumy, wszechobecnej śmierci –
są młodzi uczniowie, na każdym
kroku podkreślający swoją świe-
żość, młodość i inność: pośród
aktorów jest najprawdziwszy punk.
I choć w spektaklu brakuje spo-
wiedzi „młodzi, niepokorni” za-
domowali się na dobre w te-
atrach instytucjonalnych i to
tam jest miejsce na ekspery-
ment artystyczny. Dawne kręgi
alternatywne nie mają już aspi-
racji odmiennianin oblicza pol-
skiego teatru. Weterani ruchu
myślą raczej o przekazaniu
pewnej wiedzy i nauczaniu
wrażliwości przedstawicieli no-
wych generacji. Polski Off po-
wolutku zaczyna przypominać
tajny uniwersytet.

Chodzi o los partytur słynnych
spektakli z przeszłości, zwłaszcza
tych nie opartych na dramacie.
Czy wolno wystawiać je po latach
w luźnym związku z osobowo-
ścią i światem autora? Jak powin-
niśmy się zachowywać wobec
scenariuszy Kantora po jego
śmierci? Nie da się przecież zapo-
mnąć o przedstawieniach i trak-
tować tekstów, jakby to były tylko
dobrze napisane sztuki teatralne.
Z drugiej strony „Umarła klasa”
czy „Wielopole” mogą stanowić
wzdziczy material do teatralne-
go „odbrazawiania” pierwowzoru
czy dialogu z prawykonaniem.

JADWIGA ROŻEK

KRÓTKO:



1. Przyszły rok to będzie czas koprodukcji. Korzystając z doświadczeń niemieckich, kilka czołowych polskich scen przygotowuje wspólne projekty. Teatr Współczesny we Wrocławiu, warszawskie Rozmaitości i poznański Teatr Polski firmują premierę „Oczyszczonych” angielskiej dramatopisarki-samobójczyni Sarah Kane. Reżyserem i autorem przekładu sztuki jest Krzysztof Warlikowski. Spektakl będzie pokazywany we wszystkich trzech miastach. Kumulacja budżetu, udział najciekawszych aktorów warszawskich i wrocławskich gwarantuje, że twórczość „nowych brutalistów” wreszcie zyska w polskim teatrze właściwą oprawę. Koprodukcje to szansa na podniesienie poziomu spektakli w poszczególnych ośrodkach teatralnych, umożliwienie widzom różnych scen obcowania z teatralnym wydarzeniem. Podobna zasada wymiany będzie rządzić także eksploatacją „Pasożytów” Mariusa von Mayenburga w reżyserii Anny Augustynowicz. Spektakl został wyprodukowany przez Teatr Polski w Poznaniu i Teatr Współczesny w Szczecinie.

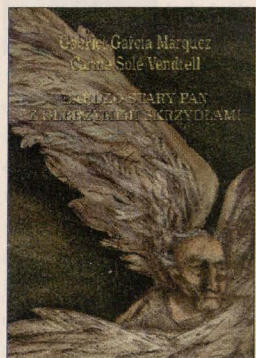
2. W Warszawskim Teatrze Narodowym dyrektor Jerzy Grzegorzewski po raz trzeci sięga po „Sen nocy letniej” Szekspira. Po raz pierwszy robił go jeszcze w 1966 roku w Olsztynie, potem była wrocławska premiera w Teatrze Polskim z 1980 roku. Występują: Edyta Jungowska, Beata Fudalej, Zbigniew Zamachowski, Igor Przegrodzki, Artur Żmijewski i Wojciech Malajkat. Spektakl będzie grany od 16 do końca grudnia.

3. Bodaj tylko w Krakowie postanowiono dostosować repertuar teatralny do świątecznych reguł. W Teatrze im. J. Słowackiego dyrektor Krzysztof Orzechowski proponuje współczesną „Pastorałkę”, szukając nowej formy dla naszych bożonarodzeniowych lęków i nadziei. Wielu widzów pamięta zapewne jego wcześniejszą wyprawę do krainy jasełek, czyli „Po górach, po chmurach” Brylla z muzyką Skaldów, zrealizowaną w Teatrze Ludowym. Zwolennicy bardziej tradycyjnego „chwalenia Pana” w teatrze powinni koniecznie zobaczyć „Betlejem polskie” Lucjana Rydla w inscenizacji Jerzego Kopiczewskiego, z muzyką Zbigniewa Rajana i w scenografii Jana Polewki, zapowiadane w Nowohuckim Centrum Kultury. W przedstawieniu wystąpią najpopularniejsi krakowscy aktorzy kilku pokoleń, wykorzystane zostaną piękne stare i nowe kolędy. Uroczysta premiera 26 grudnia.

ŁDREW

Polecają recenzenci „Przekroju”

LATYNOOSKI SPLIN



Jak narysować (namalować) grupę chłopców, którzy toną w potokach światła? Jak odtworzyć rozpacz i dumę matki zastrzelonego złodziejzka? Jak pokazać całą niezwykłą złożoność wewnętrznych przeżyć szykującej się na śmierć emerytowanej prostytutki?

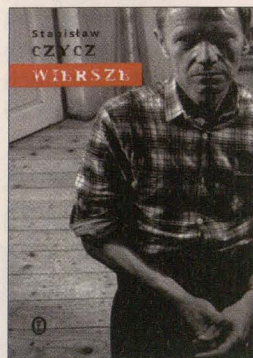
Gabriel Garcia Márquez wybrał sześć opowiadań, znanych już z wcześniejszych publikacji i jak zwykle świetnych, i dał do zilustrowania. Wybrał teksty „łatwe” dla ilustratora, ale i tak niemożliwe do pełnego „prze czytania” plastycznego. Powstał tom niezwykły – z jednej strony jest zbiorem opowiadań o smutku życia, o godności, o tajemnicy i cenie, jaką trzeba płacić za marzenia, z drugiej zaś strony to książka wydana jak album i jest albumem ilustracji do prozy Garcii Márqueza. I tu ukryta jest niemożność – nie da się narysować czy namalować realizmu magicznego, chyba że postawi się na wyraźne zapożyczenie u surrealistów. To byłoby łatwe, może nawet zbyt łatwe. Dlatego ilustracje Carme Sole Vendrell odwołują się do stylistyki rysunków dziecka. Dlaczego? Pewnie dlatego, że mówią o tym samym: plastyka nie może przeniknąć wszystkiego, co powsta-

je w wyobraźni człowieka i co można opisać, korzystając z tego, że język tylko sygnalizuje, nie opowiada dosłownie. Odwołując się do nieporadności i naiwności dziecięcego rysunku, którego młody autor jest bezradny wobec świata, jaki chce pokazać, artysta wyraża podobną bezradność wobec tego, co napisał Garcia Márquez: tego się nie da pokazać, zobaczcie tylko to, co najbardziej zewnętrzne. W sumie – bardzo interesujące przedsięwzięcie.

LESZEK BUGAJSKI

Gabriel Garcia Márquez, Carme Sole Vendrell, „Barzo stary pan z olbrzymimi skrzydłami”, przeł. Zofia Chądzyńska, Carlos Marrocan Casas, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2001

CZY CZYTAĆ CZYZKA?



Niewątpliwie nie jest to lektura czysto rozrywkowa, ale przecież świąteczne zwolnienie tempa ułatwia podjęcie choćby odrobiny intelektualnego wysiłku. A czytać Stanisława Czyczka należy, nie tylko dla wrażeń artystycznych. Także ze snobizmu... Ten zmarły w roku 1996 poeta i prozaik, za życia ceniony, choć niezbyt sławny, od paru lat staje się pisarzem kultu-

wym. Zwłaszcza dla najmłodszego pokolenia poetów i prozaików. To właśnie Czyczka wybrali sobie na patrona ubiegłorocznego krakowskiego Festiwalu Zapowiadających Się i jego tegorocznej kontynuacji, czyli „Tekstyliów”. Takiego patrona nie znać po prostu nie można...

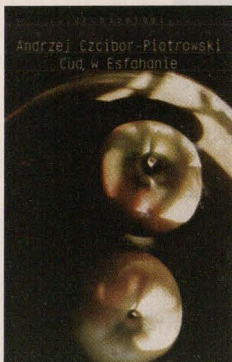
Stanisław Czycz debiutował (jako poeta) w roku 1955 na łamach „Życia Literackiego”, obok m.in. Herberta i Białoszewskiego. To wydarzenie, nazwane debiutem pięciu, uznano później za jeden z najważniejszych literackich przejawów nadchodzącej październikowej odwilży. Wielki rozgłos przyniosło Czyczowi opowiadanie „And”, poświęcone przyjaźni Autora z Andrzejem Bursą. Prawdziwej, trwałej sławy Czycz jednak za życia nie zagnał. Uznawany za mistrza języka, niezwykle ceniony przez krytykę, funkcjonował na marginesie życia literackiego, nie dbając o to, co dziś nazywamy marketingiem. Między innymi to świadome outsiderstwo tak fascynuje jego dzisiejszych, młodych czytelników.

Wydana właśnie (dwustronnie – z jednej strony proza, z drugiej poezja) książka Czyczka przynosi starannie skomponowany przez Krzysztofa Lisowskiego wybór najciekawszych tekstów – wspomnianego „Anda”, kilka opowiadań, garść wierszy, wśród nich kilka ostatnich, które nie weszły wcześniej do żadnego z tomików. To warto, to wypada przeczytać.

WŁODZIMIERZ JURASZ

Stanisław Czycz, „Wiersze. Proza”, wybór Krzysztof Lisowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001

SŁODKA KRAINA

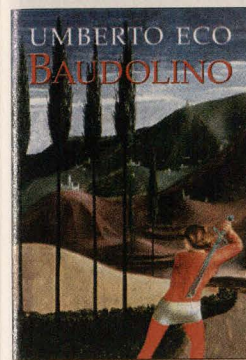


Andrzej Czycibor-Piotrowski opublikował powieść „Rzeczy nienasycone”, która zaskoczyła połączeniem tematu (martyrologia Polaków w ZSRR) z elegancją, wysmakowaną pornografią. Autor pokazał, że koszmar zsyłki w głąb Rosji (rok 1940) można oswajać poprzez dziecięce fantazje seksualne. Po tamtej lekturze „Cud w Esfahanie”, czyli kontynuacja opowieści o dzieciństwie na zesłaniu, nie jest zaskoczeniem. Czaruje urodą stylu i zachwyca literackim wyrafinowaniem w takim samym stopniu jak pierwsza część cyklu. Tym razem jedenastoletni Andrzej trafia do sierocińca w Persji, do Bagdadu i Palestyny. Słowem, z piekła Kazachstanu wprost do słodkiej krainy „Baśni tysiąca i jednej nocy”. Miejsca te, szczególnie nasycone erotycznym rozmarzeniem, nie są obojętne dla fabuły. Coraz starszy Andrzej odkrywa miłość wcześniej mu nie znaną. Po dziesiątkach dziewczyn i dojrzałych kobiet, w których ciałach rozpaczliwie szukał ciepła utraconej matki, przyszedł czas na chłopców i inne wyszukane przyjemności.

DARIUSZ NOWACKI

Andrzej Czycibor-Piotrowski, „Cud w Esfahanie”, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2001

LITERACKA UKŁADANKA



Choć i moi przodkowie mieli mercedesy, uwielbiam (jak wielu) tajemnice, mistyfikacje, potwory i geografie fikcyjną. Stąd polecam Baudolino. To powieść inicjacyjna, gdzie pod wpływem zetknięcia z wielkimi i tajemniczymi sprawami bohater staje się kimś innym. Jak zawsze u Eco, człowiek rzuca tu wyzwanie nieznanemu, prowokując je przez fabrykowanie tajemnic fałszywych. Wiedza zmyślona wychodzi naprzeciw wiedzy ukrytej, lecz trwającej gdzieś na kresach świata i rozumu. Ale na drugim planie mały spryciarz i marzyciel Baudolino, który strasznie chciałby zostać wielkim wtajemniczonym, okazuje się figurą w grze. Los miota bowiem po świecie tym dwunastowiecznym Kandydem według pewnego porządku. By go odkryć, dość sobie uświadomić, że Baudolino to Mat, czyli kuglarz – jedna z 22 kart atutowych tarota. Wkrótce odnajdziemy też inne: Cesarza, Cesarzową, Świat, zburzoną Wieżę, Papieża, Pustelnika, Kochanków, Wisielca, Koło Fortuny... Od czasu „Golema” Meyrinka nie było powieści, którą trzeba jednocześnie czytać i układać jako kabałę na stole. Świetne zajęcie na święta!

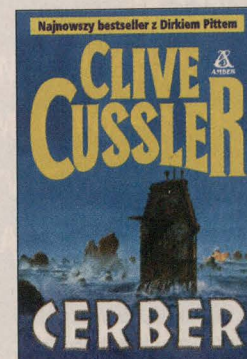
JAN GONDOWICZ

Umberto Eco, „Baudolino”, przeł. Adam Szymanowski, Noir sur Blanc, Warszawa 2001

RODZINNE KŁOPOTY

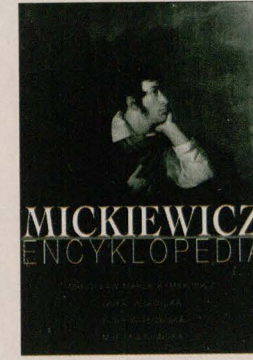
Jeśli chcecie Państwo mieć na święta kłopoty z rodziną, od której będziecie dziwnie stronić; jeśli okaże się, że stół świąteczny zapełniony jest do połowy, bo nie zdążyliście z zakupami; jeśli od pójścia na pasterkę zaczniecie się wymigiwać bólem głowy; jeśli na drugi dzień będziecie mieli podkrążone oczy i drżące ręce, i to bynajmniej nie od nadużytych alkoholowych – wszystko będzie wskazywało, że nabyliście najnowszą książkę Clive’a Cusslera – „Cerber”. Niby to klasyczna literatura sensacyjna, po którą szanujący się czytelnik nie ma moralnego prawa sięgnąć. Kudy jednak do Cusslera różnym Ludlumom, Forbesom czy Grishamom. Cussler, śmiem twierdzić, to Karol May naszych czasów. Umie wspaniale opowiadać, choć te jego opowieści bywają niemożliwie schematyczne, styl pozostawia wiele do życzenia, postaci są westernowe, a fabuły kompletnie szalone. A przecież nie sposób się od tych książek oderwać. Rozmach fabularny i pomysłowość Cusslera są niebywałe, a pod powierzchnią nieprawdopodobieństw kryją się wcale realne zagrożenia współczesnego świata. Fantastyczne czytadło.

TADEUSZ NYCZEK



Clive Cussler, „Cerber”, przeł. Piotr Maksymowicz i Maciej Pintara, Wydawnictwo Amber, Warszawa 2001

SUCZKA I SNY POETY



Prawie siedemset stron, blisko czterysta haseł (od „Adresów paryskich Mickiewicza” do „Żydowskiego legionu”), bibliografie, mapy, ilustracje, indeksy – dzieło czworga wytrwałych mickiewiczologów prezentuje się wysmienicie. Zważywszy że – jak podkreślają autorzy – jest to „pierwsza u nas encyklopedia życia i twórczości jednego autora”, tym bardziej docenić należy rangę przedsięwzięcia. Każde z autorów, czasem zgoła nieencyklopedycznie obszernych haseł przynosi fascynującą opowieść o bohaterze tej księgi, ludziach, z którymi obcował, miejscach, w których był. Rzec by można – o wszystkim niemal, o co chciałoby się znawców dzieła i życia Adama Mickiewicza zapytać. Na kartach „Encyklopedii” znalazło się więc miejsce nie tylko dla „Dziadów”, Nowosilcowa czy „altany Maryli”, ale też dla snów poety, a nawet „maleńkiej suczki Paminy”, która w Petersburgu w roku 1828 „wylegiwała się na korektach dzieła Mickiewicza, najprawdopodobniej «Konrada Wallenroda», wspomnianej w haśle „Zwierzęta Mickiewicza”.

MARCIN SENDECKI

Jarosław Marek Rymkiewicz, Dorota Siwicka, Alina Witkowska, Marta Zielińska, „Mickiewicz. Encyklopedia”, Horyzont – Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media, Warszawa 2001

AWANTURA Z DRUGIM DNEM

Najnowsza powieść świetnego hiszpańskiego pisarza, którego krytycy lokują między Robertem LouiSEM Stevensonem a Umberto Eco! Błuznierstwo? Nie, bo Pérez-Reverte tworzy efektowne, pasjonujące fabuły, które mają ukryte drugie dno. Awanturnicze perypetie, ale i intelektualna przygoda, erudycyjna gra z czytelnikami, literackie aluzje, zabawa z tradycją i historią. Jest w tych książkach wszystko to, co najlepsze od czasów „Trzech muszkieterów” czy „Hrabiego Monte Christo” – znakomicie zarysowane postaci, tajemnicze kobiety, frapująca intryga. Nic dziwnego, że jego najgłośniejsza książka – „Klub Dumas” – stała się podstawą scenariusza filmu Romana Polańskiego „Dziwiate wrota”. „Cmentarzysko bezimiennych statków” zaczyna się w domu aukcyjnym w Barcelonie, gdzie licytowany jest atlas morski z 1751 roku. Potem mamy już wielką przygodę z morzem, z historią, poszukiwaniem zatopionych żaglowców, kryjących nie tylko niezwykle skarby, ale i niecodzienne tajemnice. Lektura książek Arturo Pérez-Reverte to krzepiący przykład na to, że nie zginęły tradycje europejskiej powieści i że książka jest wciąż niezawodnym źródłem godziwej rozrywki, przygody intelektualnej, refleksji nad tradycją i kulturą.

KAZIMIERZ TARGOSZ



Arturo Pérez-Reverte: „Cmentarzysko bezimiennych statków”. Przełożyła Joanna Karasek. MUZA SA, Warszawa 2001

Warto łączyć warzywa z owocami, choćby cykorię z jabłkiem lub gruszką, a wręcz z pomarańczą. I tak dalej – co fantazja podpowie.



FOT. PIOTR BOKKO (4)

Salatek zimowych ciąg dalszy

Zapewne pamiętają Państwo zmysłowe rozkosze, jakich dostarcza sałatka nicejska. Jej wersja zimowa – a zarazem azjatycka – to gado z Indonezji rodem.

Warzywa podaje się w temperaturze pokojowej, polane sosem orzechowym. Bierzymy swojskie ziemniaki, marchew i białą kapustę. Ziemniaki obieramy, kroimy w dość grube plastry, wrzucamy do wrzątku i gdy zmiękną, odcedzamy (ostrożnie, żeby się nie połamały). Oskrobaną marchew kroimy w cienkie pałeczki, które blanszujemy we wrzątku; drobno poszatkowaną białą kapustę zalewamy wrzątkiem i po kilkunastu sekundach odcedzamy. Jeśli mamy jakieś kiełki – fasoli lub rzodkiewki – płuczemy je pod zimną wodą.

Jaja, krewetki i masło orzechowe

Warzywom, ułożonym na półmisku, mogą towarzyszyć ugotowane na twardo jaja kurze bądź przepiórcze. Wraz z nimi – lub osobno, jeśli na półmisku brak miejsca – po-

dajemy cienko pokrojony ogórek, ewentualnie garść kostek tofu. Do sosu potrzebna będzie cebula lub kilka szalotek, które szklimy w oleju słonecznikowym, po czym dodajemy posiekany ząbek czosnku oraz wypestkowaną i posiekaną czerwona papryczkę chili. Jeśli przypadkiem mamy w domu pastę z krewetek, dodajemy jeszcze łyżeczkę tej obrzydliwej konkocji, po czym zdejmujemy rondel z ognia i dodajemy sześć kopiastych łyżek chrupkiego masła orzechowego. (Można zrobić je samemu w robocie kuchennym, lecz to ze słoika nie różni się aż tak bardzo od masła domowego wyrobu).

Podgrzewamy sos na wolnym ogniu, mieszając, aż masło się roztopi. Dodajemy kilka łyżek, powiedzmy pół szklanki, mleczka kokosowego i tyleż zwyczajnej wody. Sos ma być gęsty, lecz nie za gęsty. Dopraviamy go odrobiną ostrego sosu chili i dużą łyżką słodkiego sosu sojowego. Polewamy tym warzywa, a następnie

posypujemy całość uprzednio uprażonymi orzeszkami ziemnymi, dość grubo posiekanymi. Nie wylejmy na warzywa wszystkiego sosu, lecz tylko niewielką jego ilość. Pozostały sos podajemy w sosjerce na następny dzień, kiedy wymieszamy go z makaronem i podamy wraz z kurzą pierśią z rusztu, którą uprzednio zabejcowaliśmy w soku z limony i sosie rybnym.

Pieczone buraki

O burakach słów kilka. Należy je piec raczej, niż gotować. Najlepiej pod przykryciem, w żeliwnym naczyniu, do którego wlewamy centymetr wody. Niestety, tak postąpić można tylko z niewielkimi burakami. Duże najlepiej obrać, pokroić na ósemki i udusić z indyjskimi przyprawami. Albo gotować przez trzy godziny, żeby je zetrzeć, połączyć ze śmietaną, cytryną i cu-

krem, i tą uroczą papką okrasić kotlety mielone. Załóżmy jednak, że mamy niewielkie buraczki i że upiekliśmy je sobie w temperaturze 200 stopni. Załóżmy również, że jesteśmy w posiadaniu jabłek, rodzynek, selera naciowego, orzechów włoskich i jakiegoś zielska ze szklarni – rozszponki, rzeżuchy czy wręcz sałaty. Załóżmy wreszcie, że przyrządziliśmy sos z odrobiny czosnku, szczypty morskiej soli (utłuczonych razem w moździerzu), dwóch łyżeczek proszku curry, odrobiny świeżego, utartego imbiru, łyżki lub więcej soku z cytryny i sześciu łyżek oliwy. Co wówczas robimy? Obieramy buraczki, kroimy w ósemki, polewamy dwiema łyżkami sosu i jeszcze kilkoma kroplami soku z cytryny, bo mają być kwaskowe. Niech pozostają.

Garść rodzynków zmiękczyliśmy w gorącej wodzie, zielsko płuczemy i odwirowujemy, dwa jabłka kroimy w cienkie plastry, podobnie jak gałązkę lub dwie selera naciowego. Wydobywamy z łupin orzechy. Na półmisku kładziemy polane sosem zielsko, na nim buraczki i odcisnięte z wody rodzynki, a wokół nich – kalejdoskopową układankę jabłek, selera i orzechów, również polanych odrobiną sosu.

Jeśli zaś idzie o pory, to najlepiej ugotować je na parze, w całości lub – gdy dotknęła ich jakaś genetyczna mutacja i są wielkości rur wydechowych – przekrojone wzdłuż na pół. Następnie połączyć je, póki jeszcze gorące, sosem winegret z musztardy, octu z czerwonego wina, soli, pieprzu i oliwy. Nie rozumiem dlaczego, ale bardzo lubię jeść tak przyrządzone pory z salcesonem lub prawdziwą mortadellą z pistacjami. Wiem, że to straszne, lecz nie na to nie poradzę.

Dysponując takimi sposobami defamiliaryzacji kapusty, buraków etc., uodporniamy się na nudę i przygnębienie, które powoduje zima w północnym klimacie. Ogólną zasadą, jaką radzę Państwu się kierować w tym trudnym okresie, jest łączenie warzyw z owocami. Choćby cykorii z jabłkiem lub – lepiej – gruszką, a wręcz pomarańczą. I tak dalej – co fantazja podpowie.

TADEUSZ PIÓRO

Jako student warszawskiego wydziału chemii (później polonistyki) założył w 1967 r. kabaret, w którym występował m.in. z Magdą Umer (wówczas jeszcze licealistką), Andrzejem Woyciechowskim (późniejszym twórcą Radia Zet) i Krzysztofem Knittlem. Na początku lat 70. razem z Jackiem Kleyffem i Michałem Tarkowskim był w Salonie Niezależnych. W 1990 roku wraz z Andrzejem Woyciechowskim zajął się organizowaniem pierwszej w Warszawie prywatnej rozgłośni – Radia Zet.

W Zetce prowadził audycję, jakiej jeszcze do tej pory nie było – telefony w „bardzo nietypowej sprawie”. W ciągu dziewięciu lat wykonał ponad 4 tysiące telefonów. Udało mu się m.in. sprzedać wódkę bezalkoholową i uzbrojoną działkę budowlaną na dnie rzeki, zamówić siodło na strusia, reklamować zalety złotej rybki, która spełnia tylko dwa życzenia, uprać namiot cyrkowy w miejskiej pralni, ocenić zapach perfum przez telefon... W telewizji prowadzi teletuniej „Miliard w rozumie”.

JANUSZ WEISS



FOT. ANDRZEJ ŚWIETLIKFORUM

**BĘDĘ
DZIEŃ ZACZYNAM OD
ZAWSZE WARTO MIEĆ PRZY SOBIE
CO JEST GRZECHU WARTE?
SŁOWO-KLUCZ:
GDY MÓJ ROZUM ŚPI
UŻYWANY SAMOCHÓD KUPIŁBYM OD
ZA NIC W ŚWIECIE
BYŁEM
CZYBYŚ ROBIŁ W ÓSMYM DNIU TYGODNIA?
NIE MAM POJĘCIA O
W CZYIM TOWARZYSTWIE CHCIAŁBYŚ
STANAĆ NA COKOLE?
ZAWSZE NIECH
MAM
NA JAKIM DYSTANSIE JESTEŚ NAJLEPSZY?
CEL, KTÓRY UŚWIĘCA ŚRODKI?
ZAWSZE CHĘTNIE ZJEM
JESTEM**

**MARTWY, WIĘC NIE BĘDĘ.
PRZEBUDZENIA.
PARĘ ZŁOTYCH I SCYZORYK.
NIESTETY, NIEMAL WSZYSTKO, CO DAJE PRZYJEMNOŚĆ...
KLUCZ.
NIE MA MNIE.
OD LAT KUPUJĘ NOWE.
NIE CHCĘ BYĆ URZĘDNIKIEM W POWIECIE.
MŁODSZY.
TO CO W SIÓDMYM, CZYLI NIC WAŻNEGO.
HODOWLI GOŁĘBI POCZTOWYCH MIĘDZY INNYMI...
DZIĘKUJĘ, POSTOJĘ SAM LUB ZAJMĘ MIEJSCE SIEDZĄCE
– Z KIMKOLWIEK.
BĘDZIE SŁOŃCE – CYTAT Z PIOSENKI.
POMYSŁY. OCZEKUJĘ PROPOZYCJI.
VIS-À-VIS ROZMÓWCY, WIĘC JAKIEŚ 30–40 CM.
ŚRODEK TARCZY.
CIEPLĄ KOLACJĘ.
CZŁOWIEKIEM.**

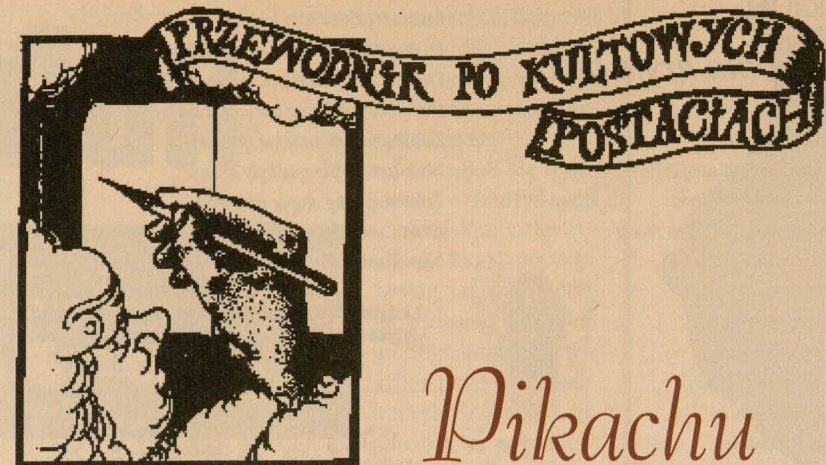


O czytaniu listu

Dostałam list napisany przez małe dziecko. Przez pocztę „prawdziwą”, nie elektroniczną. Jeszcze ktoś uczy dzieci pisać listy? Czy to zabawa na kształt obrabiania gliny w Biskupinie? Coś ze średniowiecza dziś ćwiczone, żeby nam się obycaznie nie wyczerpały do końca? Nic. Liścik jak liścik. „Kochana ciociu!” i parę słów. Ale przypomniała mi się Agnieszka. Pewnego dnia Agnieszka dostała list. Wiem o tym, bo przecież sama go do niej wysłałam. To była kartka pocztowa z krótkim tekstem, którego nie mogę pamiętać. Nie mam go przecież w komputerze. I jeśli gdzieś w domu Agnieszki nie leży, to go nie ma w przestrzeni, wirtualnej ani żadnej innej. Bo kiedyś listy, jak się je wyrzucało, opuszczały nas na zawsze. Żadnych twardych dysków, nic. Goła, zawodna pamięć. W każdym razie świetnie pamiętam, jak było.

Agnieszka pochodzi z domu pełnego książek, domu, w którym zawsze pisało się i dostawało listy, a teraz oczywiście używa się głównie komputera. Małym dzieciom oczywiście czytano tam na głos. Także Agnieszce. Bardzo to lubiła. Nikt z dorosłych nie myślał, że powtarzalność czytanego tekstu może się wydawać egzotyczna. Kiedy Agnieszka chciała bajki, po prostu ją dostawała. Nagle, na oczach zaskoczonej rodziny, dokonała odkrycia. Dostała pierwszy w życiu list. Ojciec wyjął go ze skrzynki i uświadomił jej, że to właśnie do niej. Specjalnie! Następnie przeczytał go. Agnieszka, bardzo zaskoczona, uniosła list do swojego kąca pod oknem. Po chwili podeszła do matki, prosząc o przeczytanie go. I, co za niespodzianka, w liście słowa i zdania były dokładnie takie same jak w tym czytany przez ojca. Potem zatrudniła brata. To samo. Potem jeszcze raz tatusia. Znowu. I tak wiele razy. Była coraz bardziej zdumiona i coraz szczęśliwsza. Jej ukochany, pierwszy, własny list był bardzo podobny do książki z bajkami. Za każdym razem, kiedy ktoś go czytał, w cudowny sposób się odnawiał. Pierwszy raz zroszowała, że nowy, wielki świat liter czeka na nią.

MAŁGORZATA BARANOWSKA



Pikachu

Ten żółty stworek czy jak kto woli pokemon to skrzyżowanie ET, królika i Schwarzeneggera z filmu „Terminator II”. Jest nie tylko słodką przytulanką, milusim aniołkiem, którego każde dziecko chciałoby zaściskać na śmierć, lecz także przyjacielem i opiekunem, na którego można liczyć wtedy, gdy wszyscy inni zawiedli. Pikachu nawet chwile słabości potrafi przemienić w triumf, a niezbędną do tego moc czerpie z miłości, jaką darzy swojego trenera – chłopca w wieku szkolnym.

I właśnie miłość, lojalność, oddanie i poświęcenie pokemona dla przyjaciela sprawia, że stworek stał się bliski milionom dzieci na całym świecie, marzącym o pojawieniu się w ich otoczeniu istoty, na którą zawsze mogłyby liczyć i która niczego nie oczekiwałaby w zamian za swoją pomoc. To jednak tylko lepsza cześć prawdy o Pikachu. Stanowi on bowiem również element okrutnego świata, w którym celem ży-

cia staje się zdobycie kolejnej odznaki, pokonanie kolejnych przeciwników, zadawanie i znoszenie bólu. Świata, gdzie słodkie i kruche istoty nagle przemieniają się w ryczące i ziejące ogniem bestie. Pikachu także ulega prehistocznemu. Staje się Raichu – zabójczą bronią, która niszczy przeciwników przy pomocy wyładowań elektrycznych.

Pikachu jest wszędzie – w sklepach z pluszowymi zabawkami, w paczkach chipsów, rogalikach, butelkach z napojami, w telewizji i grach. Być może stał się już częścią duszy wielu miłośników pokemonów. Kto wie, może za kilka lat niejeden młody człowiek odkryje w sobie moc Raichu i wyzwie na pojedynek każdego, kto stanie na jego drodze do sukcesu. A jeśli przegra? Cóż, kult Pikachu zawsze może zastąpić kultem Anny Marii Jopek i nucić za nią: „Niech ktoś zatrzyma wreszcie świat, ja wysiadam”.

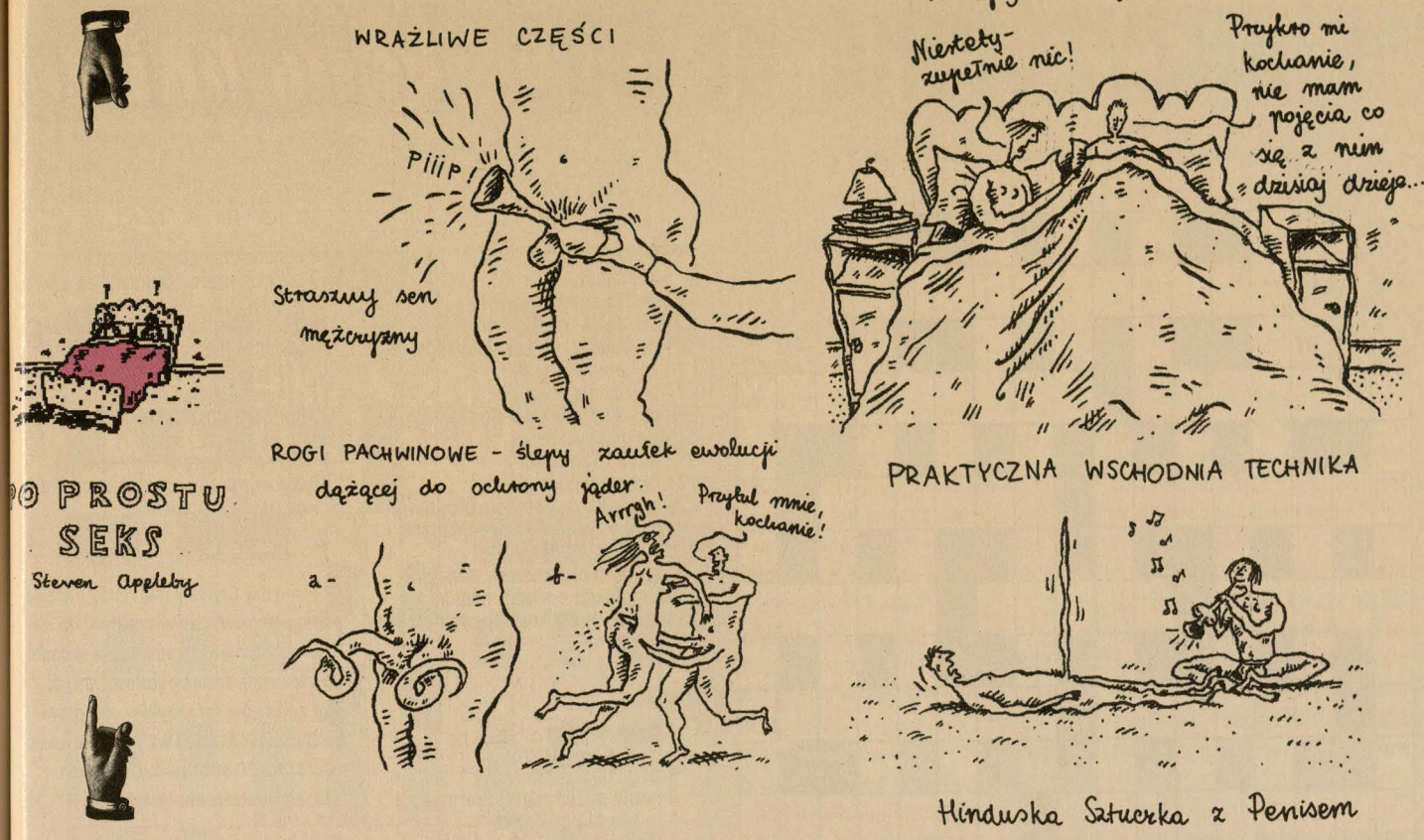
JICKY

FOTOZAGADKA

Kto kogo pytał o drogę?



ODPOWIEDZ: GĘŚ KIEROWCA



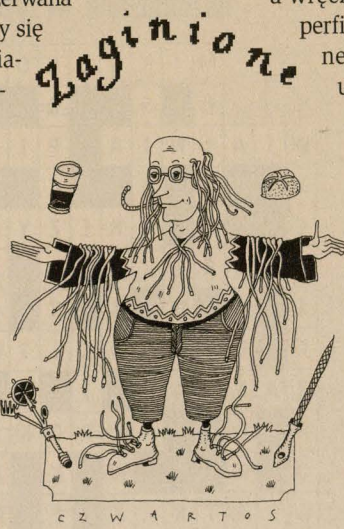
PO PROSTU SEKS

Steven Appleby

KONSERWATOR SZNUROWADEŁ

Jedną z najbardziej denerwujących rzeczy, jakie mogą się człowiekowi przydarzyć w poniedziałkowy poranek pięć minut po planowanym terminie wyjścia z domu do pracy, jest przerwana sznurówka. Wydawałoby się zupełnie nowa... Nie wiadomo, jak i kiedy zamieścił się w wystrzępiony awałek sznurka, irytująco zwisający z buzi, zupełnie jakby ktoś robił to specjalnie... No i nie da się krzyknąć, że robi. Wojewódzki Konserwator sznurówadeł we własnej, pulchnej osobie – najważniejsza persona Urzędu Do Spraw Dziwnych i Nierozwiązywalnych, ulubieniec kobiet i dzieci, obrońca pokrzywdzonych laureat konkursu na Najbardziej Skorumpowanego Urzędnika Roku (cytuując „Kto jest kim”, strona 989 i nn.). W rzeczywistości malutki grubasek, wyposażony w pilnik i własnej konstrukcji przyrząd do rozplatania włókien sznurówek, wiecznie nie spieszący do

pracy i nie odmawiający sobie przerwy na bułeczkę z czekoladą czy szklaneczkę porto. Wbrew tytułowi nie zajmuje się przeciwdziałaniem darcia się sznurówadeł, a wręcz przeciwnie – nadcina je perfidnie tylko po to, by następnej nocy przybyć po łupy – urwane końcówki. Zbiera je skrzętnie i gromadzi w swoim warsztacie, gdzie godzinami potrafi polerować skuwki, natłuszczać i impregnować sznurówki, wytrępywać kurz, artystycznie strzępić i umieszczać w gablotkach nad kominkiem. Jego kolekcja nie ma sobie równych. I naprawdę dobrze się trzyma. Ostatecznie jest konserwatorem... Dlatego jeżeli kiedyś jeszcze zerwiesz sznurówadeł, nie przeklinaj i nie pomstuj, tylko pomyśl ciepło o Konserwatorze Sznurówadeł, popijającym właśnie grzane wino i z błogim uśmiechem głaszczącym nowy okaz. Czy naprawdę sznurówki są ci aż tak potrzebne?



zawody

Lektury dzieciństwa

Andrzej Mleczko

– rysownik

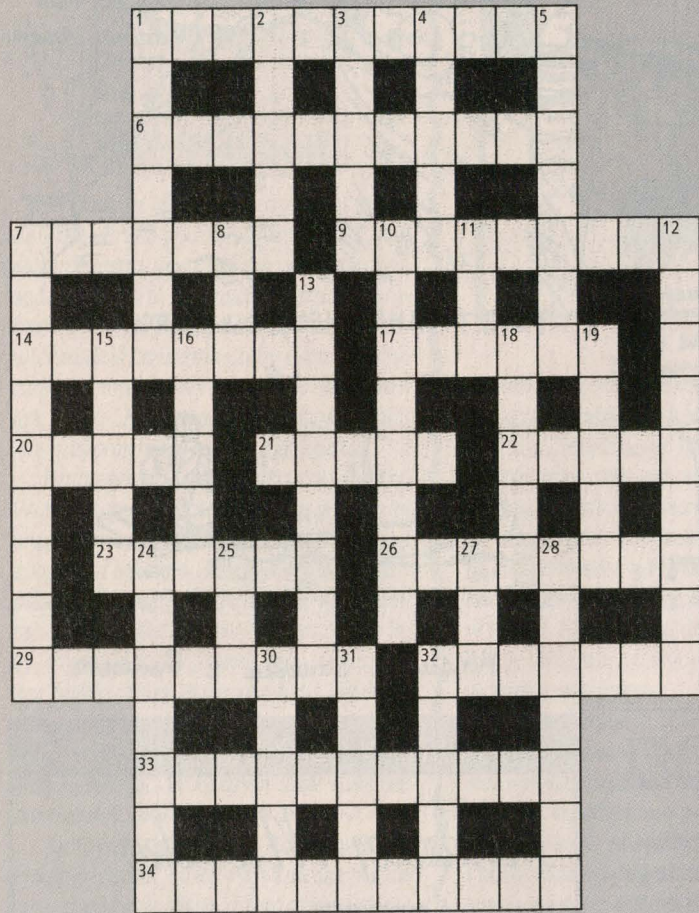
Prapoczątki mojego czytelnictwa to historyjki obrazkowe o Gąsce Balbince drukowane w „Świerszyczku”. Natomiast tak naprawdę już poważniejsza lektura to „Winnetou”. Dwa pierwsze tomy czytałem kilka razy, ale trzeci tom tylko raz. Jako człowiek z natury wrażliwy nie byłem w stanie powtórnie przeczytać, jak Winnetou ginie. Pod choinkę dostałem kiedyś „Wesołe przygody Robin Hooda”. Tam też bohater ginie w ostatnim rozdziale, więc go pomijałem. Tak się złożyło, że większość lektur mojego dzieciństwa, szczególnie lektury szkolne, to były książki smutne. „Nasza

szkapa”, która zdycha, „Janko Muzykant”, Rozalka z „Antka”, która ginie w piecu. Wiało od tego grozą i było to przeżycie traumatyczne. Nie ma się co dziwić, że jesteśmy jednym z bardziej zestresowanych społeczeństw. Na szczęście był jeszcze Kubuś Puchatek. Natomiast pierwszą dorosłą lekturą była „Kariera Nikodema Dyzmy”, którą przeczytałem w wieku lat chyba dziesięciu. To pierwsza książka, w której były, nieostre wprowadzie, ale jednak sceny erotyczne.

Rozmawiał
ANDRZEJ
KACZMARCZYK



KRZYŻÓWKA nr 50 z *Polleną Ewą*



POZIOMO:

- 1 kanonada
- 6 słodka, przymilająca się
- 7 pieniądze tam nie wyczyścisz
- 9 poruszenie, wzmocniony ruch
- 14 wytworna jarzyna
- 17 pojemność zbiornika
- 20 odsap dla samochodowców
- 21 do połamania
- 22 jezioro Szczecina
- 23 świński tłuszcz
- 26 archipelag na Oceanie Indyjskim, wyspy związane z Andamanami
- 29 narciarz wysokich gór
- 32 tam dawni uczniowie mieszkali
- 33 satysfakcja + dobry humor
- 34 podniosły akt kościelny wynoszący na ołtarze

PIONOWO:

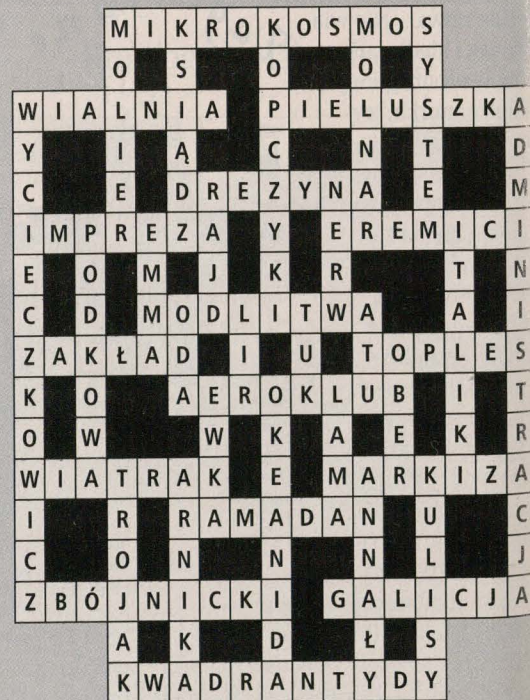
- 1 gazetowy łam
- 2 chciało się jej jagódek
- 3 cierpi na bezsenność
- 4 nocny pejzaż miasta urozmaicającą
- 5 prawosławna kłątwa
- 7 źle poinformowany optymista
- 8 krótka Izabela
- 10 ścina
- 11 siedzi w prądzie
- 12 szybko przemija i bez śladu
- 13 w dawnej Polsce: sługa, mający pieczę nad trunkami; także dworski tytuł honorowy
- 15 koturnowy
- 16 rozwija się

- 18 a jednak nie przegrało z TV
- 19 pocałuj, może przemieni się w księcia
- 24 prapradziadkowa portmonetka
- 25 Stanisław Jerzy, nasz poeta i satyryk, spec od aforyzmów
- 27 uśmiechnięty z Cheshire
- 28 flaga podnoszona na statku
- 30 co się świeci
- 31 slychać je nocą w cichej uliczce
- 32 wytworna smaczna ryba, rzadka na naszych stołach

● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 23 grudnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez POLLENĘ EWĘ SA. Nasz adres: PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem: „Krzyżówka 50”.

● **Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 47 pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez POLLENĘ EWĘ SA** wylosowali: Urszula Sowińska, Gostyń; Anna Grygorowicz, Gdańsk; Maja Pisarek, Sosnowiec; Leszek Kowalczyk, Bogatynia; Marta Marszałek, Oświęcim. Gratulujemy!

Rozwiązanie krzyżówki nr 48



JOLKA nr 50



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:



B8 – A4 – H8 – L17 – C11 / E1 / A11 – K4 – H13 – L10 – K7 – I6.

Wyraz 9-literowy:

- osadzony

Wyrazy 8-literowe:

- g, d, a, e i smyk • amazonka w czapce lub czapka na amazonce
- w cwał? a strzał? • jazzowe dREWienka • szopa mizantropa • wkręca się w śrubę

Wyrazy 7-literowe:

- największy z naszych dzierzb • kokieteria Hamleta • życie w skrócie na karcie • miarka do miarki, a ueziera się • podeptana przez Świdrygę i Midrygę (razem z macierzanką i błyszczką) • stawiacz, lecz nie min • rozkołysany Król • stop na kłamki

Wyrazy 6-literowe:

- ostatni przystanek Wisły • sypialnia zastępu • Javier, persona zastąpiona przez Robertsona • pod drzwiami lub w podłodze

Wyrazy 5-literowe:

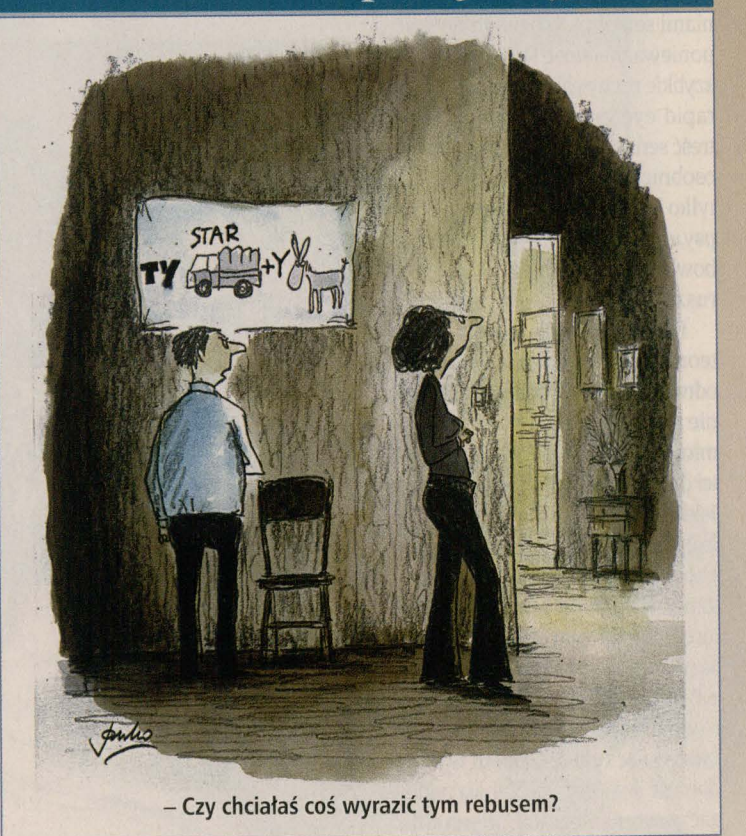
- wigilijna biel • mocny w jambie • czy ten domek staje? • coś jak klan albo stan • beztęczówkowe w rosole • dochodowa rybka Spielberga • kto je zdobędzie, okaże się w Jokohamie

- bufiaste • strona w walce o duszę • bity i biegnie • poezja dla kierowców

Wyrazy 4-literowe:

- marzenie uchodźcy • powrotna droga wyrzuconego drzwiami

STEFANIAK pod jolką



– Czy chciałaś coś wyrazić tym rebusem?

● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 23 grudnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć upominków-niespodzianek, ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 50”.

Rozwiązanie JOLKI nr 48

● **SZLI TURYSI NAD PRZEŁĘCZĄ, SPODOBAŁA IM SIĘ TĘCZA** (z wiersza Andrzeja Bursy).

● **Rzędami:** kakofonia, zwał, lady, larum, męstwo, emalia, rausz, nogi, Odra (odra), ciekawski, Pegaz, odpad, Dolores, serce, Midas, borówki, żelek, cętką, kwas, Aslan, Apis.

● **Kolumnami:** posązek, święcone, Góralka, kłótnica, izdebka, kalorie, Kalergis, formuła, warownia, Nemezis, kosmici, alkaloid, podstęp, zdzierca, dystans.

● **Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 47 pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju”** wylosowali: Irena Kalita, Opole; Zenona Kurdziel, Trzebnia; Aleksandra Dobrowolska, Lubin; Irena Załucka, Koszalin; Anna Janczarek, Lublin. Gratulujemy!

Sen

Od dawna istnieje niepoliczona ilość teorii, próbujących wyjaśnić mechanizm snu. Wiadomo, że zmuszony do bezsenności człowiek popada po kilku tygodniach w majaczenia, nawet zagrażające jego życiu. Pomimo uczonych poszukiwań nie udało się wykryć danych potwierdzających fizyczną potrzebę snu: nie odnaleziono żadnych substancji organicznych powstających na jawie, które byłyby usuwane podczas spoczynku. Wiemy jednak, że sen jest niezbędny wszystkim ssakom, a ponadto jest prawdopodobne, że ssaki prowadzące wodny tryb życia – foki lub delfiny, śpią na przemian tylko jedną połową mózgu, zapewne dlatego, że śpiąc jak my, musiałyby po prostu utopić się, jako płucodyszne.

W normalnych snach śnimy, czyli przeżywamy fragmenty fikcyjnej jawy, po polsku zwane marzeniami sennymi. Można to wykryć, ponieważ tej fazie snu towarzyszą szybkie ruchy gałek ocznych (REM: rapid eye movements). Z reguły treść sennego marzenia nie podlega osobniczej woli. O tym, że śnią nie tylko ludzie, ale także na przykład psy, dowiadujemy się z poszlak, albowiem pies śniący, że biegnie, porusza przez sen nogami.

Przez pewien czas modna była teoria snów Freuda, które jakoby odtwarzały symbolicznie lub literalnie treści głównie seksualne, stłumione na jawie, obecnie jednak od tej doktryny nastąpił raczej odwrót. Jakkolwiek nie wiadomo więc, dlaczego musimy spać, najnowszą, chociaż niekoniecznie najprawdziwszą hipotezę powiada, że motorem źródłowym sennych marzeń są neuronowe wyładowania w pniu mózgu, zasadniczo bezzładne, które dochodzą do kory mózgowej i wstępując tym sposobem w świadomość śniącego, zaczynają podlegać pewnej integracji. W ten więc

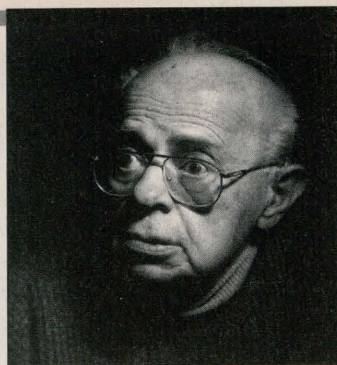
sposób powstawać ma fabuła sennego marzenia. Ponieważ owe procesy mózgowie następują pod silnym wpływem ośrodków zawiadujących życiem emocjonalnym, marzenia senna zachodzą niejako narzucone w silną aurę afektów.

Farmakologia wie, że istnieją leki wywołujące koszmary, ale nie ma niestety leków sprzyjających powstawaniu marzeń sennych szczególnie miłych i radosnych. Jeśli chodzi o mnie, doświadczyłem, że nie tylko śnić mi się mogą nawet skomplikowane fabuły, w których nigdy nie jestem stary, co nie jest

Przesypiamy trzecią część swego życia. Uważamy ten czas za zmarnowany, bo śpiąc i śniąc, nie robimy interesów. A przecież zdarzają się i wyśnione matematyczne odkrycia, i mistyczne iluminacje.



RYC. DIMITRI SZEWONKOW-KISIELIOW



FOT. BOGDAN KRZYZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

takie dziwne, natomiast za osobliwe i domagające się nieznanego wyjaśnienia są sny, w których moja pamięć, pamięć śniącego, niejako dosztukowuje sobie wątki i wydarzenia, jakich na jawie nie mogę pamiętać, ponieważ owa śniona przeszłość jest tylko zmyśloną przez mój mózg iluzją.

Wiemy jeszcze, że marzenia senna są ulotne i odznaczają się często silną aurą przeżyciową, której nie można ani przekazać innym ludziom językiem, ani zrozumieć przyczyn powstania owej aury samemu.

Ekspersi, majstrujący przy komputerach, usiłują skonstruować – jak dotąd bez żadnego powodzenia – takie maszyny liczące, które by śniły. O zjawiskach Wszechświata dowiedzieliśmy się już dzięki nauce sporo, natomiast o procesach zachodzących w mózgu, czy będzie to tak zwana świadomość, czy też sny, prawdę powiedziawszy nie wiemy nic pewnego i nie wydaje mi się, żebyśmy mogli w najbliższym czasie tę sytuację zmienić.

Kończąc, dodam, że – jak twierdzą fachowcy – człowiekowi dobrze robi przeżywanie marzeń sennych, chociaż można bez nich żyć. Osobiście wyznam, że ostatnio poszukuję w snach cukierni, najczęściej daremnie, co tłumaczę wzbraniającą mi słodczy cukrzycą. Świadczyłyby to o tym, że po części śnimy, ażeby zrealizować nieziszczalne chętki. Rzecz jest o tyle kontrowersyjna, że śnimy także o licznych zająciach przykrych, a nawet okropnych, i zupełnie nie wiadomo, dlaczego cały zbiór ludzkich snów zdolny jest podlegać tak sprzecznym wzajemnym wyjaśnieniom.

Zatem nie ma takiej teorii snu, która by się choć po trosze nie dawała uzgodnić z częścią naszych przeżyć, zachodzących poza czuwaniem. Są nawet tacy, którzy sądzą, że wykrycie przyczyny i potrzeby snu przybliży nas do wyjaśnienia zagadki świadomości. Rzecz jest o tyle istotna, że każdy człowiek przeżywa jedną trzecią życia, śpiąc i śniąc, i mnóstwo ludzi uważa ten czas za zmarnowany. Interesów robić w nim nie można, natomiast zdarzają się wyśnione, nawet matematyczne, odkrycia oraz mistyczne iluminacje. Wszystko to razem jest wprawdzie bardzo dziwne, ale – jako powszechne – nie zmusza nas do refleksji.

STANISŁAW LEM
4 grudnia 2001

MAGAZYN ROKU

tytuł przyznany
przez MEDIA i MARKETING POLSKA



KALENDARZ na rok 2002

WYJĄTKOWA
PŁYTA – kolędy
w wykonaniu
Trzech Tenorów
José Carreras
śpiewa „Lulajże
Jezuniu”
po polsku



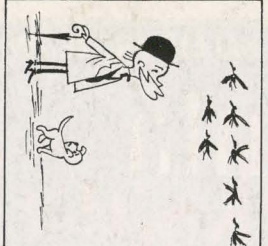


PROSIMY NIE POWIARZAĆ

Z angielsko-polskiego savoir-vivre'u: DON'T PEPPER JAK LEPPER.

O WACUSIU

- Dopiero dwa lata nosisz tę pelisę z lisów i już jest stara? - zdziwił się Falczak. - A pomyśł ty! - Zairapostowała Falczakowa - ile lat przedtem nosiły ją lisy!



IDŹ NA CARUS

Rubryka PAN PONIŻANA PANIĄ z nr 270 „Dziennika Polskiego”.

Sympatyczny, stateczny, sypakowaty, szczupły, czuły Catus pragnie poznać atrakcyjną, wrażliwą, z erotycznym gustem, szalową i askorteczką i biustem.

Pardon, my są nie-uswiadomieni, co to takiego ta askorteczka?

(Nadeszła: E. Bolejko)

Zamozni chłopci nigdy nie wychodzą za mąż za biednych, tylko za siebie.

W wierszu „Spieszmy się kochać ludzi” Jan Twardowski przekonuje nas do szybkiej miłości. Łapówki dawane w dobrej wierze nie powinny być karane, lecz zwracane z odsetkami.

Skóra zebry jest w psaki i dlatego znajduje się na przejściu dla pieszych.

HUMOR ZESZTYŃWIAŁ: A. Korazewski z Putłuska, T. Tymakiewicz z Kluczborka, M. Trachimowicz z Ostrowa Wielkopolskiego i J. Golanowski z Osturzeszowa. Dziękujemy.

NA PRZYJAZD CARA MIKOŁAJA II DO WARSZAWY

Więc stanęła kwestia na tem, Jak pogodzić d... z batem.

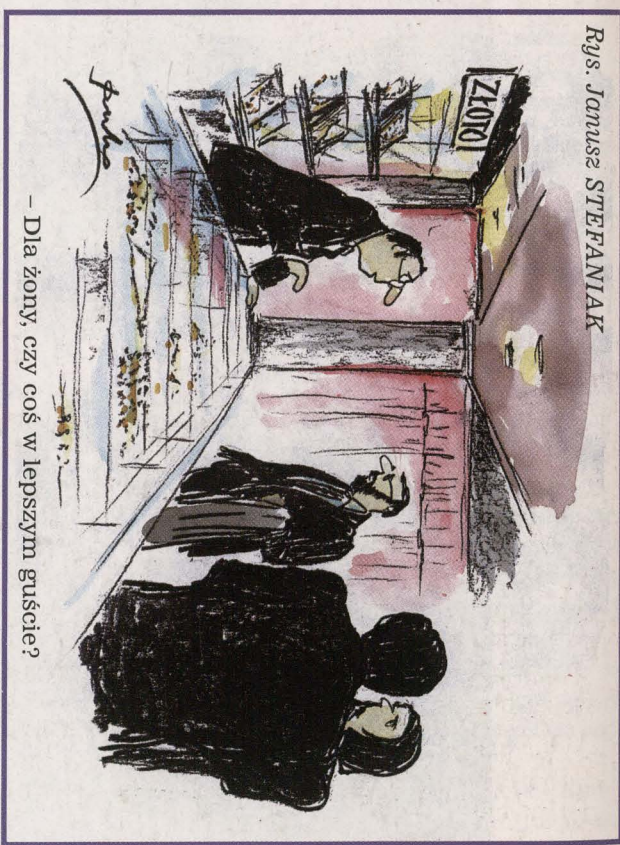
(Henryk Sienkiewicz)

NEWSWEAK

„Newsweek” z 21 października pisze: Nowy Jork stracił 150 mld dolarów w wyniku ataku terrorystów na

Manhattan. To nie tylko koszt zniszczeń dokonanych 11 września, ale też późniejszy spadek kursów z turystyki. Burmistrz stołecy USA wyda na jej promocję 40 mld dolarów.

(Nadeszła: I. Startek)



- Dla żony, czy coś w lepszym guście?

NASZA TIURAMA BABEL

Znajomość języków obcych tak się u nas rozwinęła, że zaczynają się one plątać. W „Głosie Włokopolskim” z 11 sierpnia czytamy:

Nasza redakcję odwiedził Wolfgang Buscher, dziennikarz The Welt...

W następnym tygodniu przyszedł do nich drugi z Die New Yorker.

(Nadeszła: B. Falkowski)

GRAFICZNA PRAWDA

„Życie” z 20 listopada zaprezentowało nam graficznie prawdziwy obraz naszego budżetu:

Budżet 2002	
wpływy	183 mld zł
wydatki	143 mld zł
deficyt	= 40 mld zł

Jest to tzw. deficyt plusowy.

(Nadeszła: B. Kozierowska)

AKR IAKR

W „Gazecie Wroclawskiej” (nr 257) czytamy:

W części artystycznej pokazany będzie spektakl „Jedzie, jedzie na kaszanie”...

Coś tej Kaszance Komendanta dodał chyba?

(Nadeszła: M. Piernowca)

DRZEMKA

Niech żona nas nazywa Borsukiem lub niedźwiedziem, Niech radio u sąsiadów Na całą parę gra - My się i tak, panowie, Zdrzemniemy po obiedzie, Bo nasz jest ten kwadransik, To słodkie a-a-a...

Nikommu nie zaszkodzi Wyciągnąć się troszczyć; Pamiętać tylko radzę, Moi panowie, by Krawacik przedtem zluźnić I zdjąć marynareczkę, I zezuć butki z nożek, Niech sobie leżą przy...

Uroczy jest tapczanik, Cudowna jest kozetka, Na samą myśl, panowie, Przechodzi dreszczyk aż. A do rączuchny jeszcze Niezbędna jest gazetka, By najpierw ją poczytać, A potem nakryć twarz.

O WACUSIU

- Falczak polecił komuś lekarza. „A można mu zaufać?” - zapytał kandydat na pacjenta. „Z całą pewnością” - zapewnił Falczak. - Mnie już leczą trzy lata, a ciągle żyję”.

OSEKOWI W ZŁOBY DANO

„Super Express” (nr 227) pisze, że gdzieś tam jest do nabycia za 99 groszy

CHLEB OSEKKA

400 g. Tanioczał! Tyłko że do tego osekka trzeba jeszcze bochenek maselka.

(Nadeszła: D. Czernakowca)

